

VON **Däniken** Erich

Z powrotem do gwiazd



Erich von Däniken

Z POWROTEM DO GWIAZD

Argumenty na rzecz niemożliwego

Tytuł oryginału: Zurück zu den Sternen. Argumente für Unmögliche

© 1969 by Econ Verlag GmbH, Dusseldorf und Wien

Przedmowa

Z powrotem do gwiazd!

Z powrotem? Czyżbyśmy z gwiazd przybyli?

Pragnienie pokoju, poszukiwanie nieśmiertelności, tęsknota do gwiazd - wszystko to tli się gdzieś w ludzkiej świadomości, od zarania dziejów niepowstrzymanie prąc ku urzeczywistnieniu.

Czy ów głęboko zakorzeniony w ludzkiej naturze pęd naprawdę jest taki oczywisty? Czy naprawdę chodzi tylko o ludzkie "pragnienia"?

A może za tymi dążeniami do całkowitego spełnienia, za tą tęsknotą do gwiazd, kryje się coś innego?

Jestem przekonany, że naszą tęsknotę do gwiazd podsyca pozostawiona na Ziemi przez "bogów" spuścizna. W naszej świadomości współgrają ze sobą w równym stopniu pamięć naszych ziemskich przodków, jak też pamięć naszych kosmicznych nauczycieli. Inteligencja człowieka nie wydaje mi się być rezultatem nie kończącej się ewolucji.

Zbyt raptownie się ten proces dokonał. Uważam, że nasi przodkowie otrzymali inteligencję od "bogów", którzy musieli dysponować wiedzą umożliwiającą im szybkie zakończenie tego transferu.

Oczywiście niewiele znajdziemy na to dowodów na Ziemi, jeśli zadowolimy się dotychczasowymi metodami badań przeszłości. W ten sposób skutecznie pomnożylibyśmy jedynie już istniejące zbiory ludzko-zwierzęcych znalezisk. Każde znalezisko otrzymałoby tabliczkę z numerem, odstawiono by je do muzealnej gabloty, a pracownicy muzeum dbaliby, żeby się nie zakurzyło. Za pomocą wyłącznie takich

metod nigdy jednak nie dotrzemy do sedna problemu, który w moim przekonaniu zawiera się w doniosłym pytaniu: Kiedy i w jaki sposób nasi przodkowie stali się inteligentni?

Niniejsza książka stanowi próbę dostarczenia nowych argumentów na poparcie mojej tezy. Ma posłużyć jako kolejny bodziec do przemyśleń na temat przeszłych i przyszłych dziejów ludzkości. Zbyt długo zwlekaliśmy z badaniem naszej prehistorii narzędziami śmiałej wyobraźni. Nie uda się zebrać ostatecznych dowodów za życia jednego pokolenia, lecz mur, który dziś jeszcze oddziela fantazję od rzeczywistości zaczyna się kruszyć. Ja ze swej strony staram się w tym dopomóc, dziurawiąc go coraz to nowymi niewygodnymi pytaniami. Może będę miał szczęście. Może pytania, które stawiają też Louis Pauwels, Jacques Bergier i Robert Charroux doczekają się odpowiedzi jeszcze za mojego życia.

Dziękuję niezliczonej rzeszy czytelników moich Wspomnień z przeszłości za listy i sugestie. Pragnąłbym, aby potraktowali niniejszą książkę jako moją odpowiedź na ich słowa zachęty.

Dziękuję wszystkim, którzy pomogli mi doprowadzić do powstania tej książki. Napisałem ją w areszcie śledczym kantonu Graubunden w Chur.

Erich von Daniken

I. Gdyż nie może być prawdą,
co prawdą być może...

Gdy w roku 1879 Tomasz Alva Edison wynalazł żarówkę z włóknem węglowym, z dnia na dzień spadły akcje gazowni. Brytyjska Izba Gmin powołała komisję do zbadania perspektyw nowego rodzaju oświetlenia. Wyniki przedstawił Izbie Gmin Sir William Preece, dyrektor poczty i zarazem prezes komisji, oświadczając, że podłączenie domów do elektrycznego oświetlenia to czysta utopia!

Dzisiaj żarówki palą się we wszystkich domach cywilizowanego świata.

Już Leonardo da Vinci, opętany pradawnym marzeniem ludzkości, by wznieść się w powietrze, przez całe dziesięciolecia z pasją pracował nad konstruowaniem maszyn latających zdumiewająco przypominających pierwsze modele nowoczesnych śmigłowców. Z obawy przed Świętą Inkwizycją ukrył jednak swoje szkice. Kiedy opublikowano je w roku 1797, reakcja była jednoznaczna: maszyna cięższa od powietrza nigdy nie będzie w stanie oderwać się od ziemi. Jeszcze na początku naszego stulecia sławny astronom Simon Newcomb twierdził, iż nie sposób wyobrazić sobie siły zdolnej sprawić, by latające maszyny mogły pokonywać w powietrzu dłuższe dystanse.

Zaledwie kilka dziesięcioleci później samoloty przeniósł już ogromne ciężary przez morza i kontynenty.

Znane na całym świecie naukowe czasopismo "Nature" w roku 1924 skomentowało książkę profesora Hermanna Obertha Die Rakete zu den Planetenraumen (Rakieta międzyplanetarna) stwierdzeniem, iż plany rakiety kosmicznej doczekają się urzeczywistnienia prawdopodobnie dopiero pod koniec istnienia ludzkości. A jeszcze w latach 40-tych, kiedy pierwsze rakiety oderwały się już od ziemi pokonując po kilkaset kilometrów, specjaliści od medycyny wykluczali jakąkolwiek możliwość załogowych lotów kosmicznych, ponieważ ludzki metabolizm nie jest zdolny przetrzymać wielodniowego stanu nieważkości.

Cóż, rakiety od dawna stały się czymś powszednim, ludzkość nie wymarła, zaś ludzki metabolizm wbrew wszelkim prognozom najwyraźniej całkiem nieźle wytrzymuje stan nieważkości.

Twierdzę, iż w określonym momencie historycznym techniczne możliwości urzeczywistnienia każdej z nurtujących ludzkość idei są "nie do udowodnienia". U początku zawsze stały spekulacje tak zwanych fantastów, którzy musieli znosić gwałtowne ataki lub też - co jest często znacznie trudniejsze do przełknięcia - pełne politowania uśmieшки współczesnych.

Bez owijania w bawełnę oświadczam, że w tym właśnie sensie jestem jednym z fantastów. Z tym że nie uciekam ze swoimi spekulacjami w splendid isolation. Moje przekonanie, że w odległych epokach Ziemię odwiedziły istoty rozumne z innych planet, uwzględniali już wcześniej

w swoich rozważaniach liczni naukowcy tak na Zachodzie, jak i na Wschodzie.

I tak na przykład profesor Charles Hapgood powiedział mi w czasie jednej z moich wizyt w USA, że Albert Einstein, którego znał osobiście, jak najbardziej przychylnie odnosił się do tezy o prehistorycznych odwiedzinach pozaziemskich istot rozumnych.

W Moskwie profesor Josif Samoiłowicz Szkłowski, jeden z czołowych astrofizyków i radioastronomów naszej epoki, zapewnił mnie, iż jest przekonany, że Ziemię co najmniej raz odwiedzili przybysze z Kosmosu.

Znany astrobiolog Carl Sagan (USA) również nie wyklucza możliwości, "że w toku swoich dziejów Ziemia co najmniej raz została odwiedzona przez przedstawicieli pozaziemskiej cywilizacji".

Zaś "ojciec rakiety", profesor Hermann Oberth, powiedział mi dosłownie: "Wizytę pozaziemskiej rasy na naszej planecie uważam za jak najbardziej prawdopodobną".

Miło jest widzieć, że pod wrażeniem pomyślnych lotów kosmicznych naukowcy zaczynają intesywnie zajmować się ideami, które jeszcze kilka dziesięcioleci temu bezlitośnie wyszydzano. Jestem też przekonany, że z każdą rakieta, jaka wylatuje w Kosmos, słabnąc będzie dotychczasowy opór przeciwko mojej tezie o wizycie "bogów".

Jeszcze dziesięć lat temu szaleństwem było mówić o istnieniu w Kosmosie istot rozumnych innych niż ludzie. Dzisiaj nikt już na serio nie wątpi, że w Kosmosie jest życie. Kiedy w listopadzie 1961 roku

jedenaście znakomitości świata nauki rozchodziło się po tajnym posiedzeniu w Greenbank (Zachodnia Wirginia), pozostawiły uzgodniony wzór, wedle którego w samej tylko naszej galaktyce wyliczyć można istnienie nawet 50 milionów cywilizacji. Roger A. MacGowan, wysoki rangą pracownik NASA w Redstone (Alabama), po uwzględnieniu najnowszych zdobyczy nauki doszedł nawet do 130 milionów hipotetycznych ośrodków cywilizacji w Kosmosie. Te szacunkowe dane okażą się stosunkowo skromne i ostrożne, jeśli potwierdzi się przypuszczenie, iż "klucz do życia" czyli cztery podstawowe zasady organiczne: adenina, guanina, cytozyna oraz tymina, występują w całym Kosmosie. W tej sytuacji Wszechświat powinien się wręcz roić od różnych form życia!

Pod naporem faktów naukowcy przyznają dziś z niechęcią, że loty kosmiczne w obrębie Układu Słonecznego są jak najbardziej do pomyślenia, w tym samym jednak zdaniu dodają od razu, że podróże międzygwiazdne są wykluczone ze względu na gigantyczne odległości. Prestidigitatorskim ruchem wydobywa się przy tym z kapelusza stwierdzenie, że skoro my nigdy nie będziemy mogli odbywać podróży międzygwiazdnych, to w żadnym okresie naszych dziejów nie mogła mieć miejsca wizyta przedstawicieli obcych cywilizacji, którzy musieliby przemierzyć międzygalaktyczną przestrzeń. Koniec, kropka!

A dlaczego tak właściwie podróż międzygwiazdna ma być niemożliwa?

Opierając się na prędkościach, jakie możemy dziś osiągnąć, wyliczo-

no, że na przykład lot do najbliższej nam, odległej o 4,3 lat świetlnych gwiazdy Alpha Centauri musiałby trwać 80 lat, a więc żaden człowiek nie przeżyłby drogi powrotnej. Czy ten rachunek jest prawidłowy? No tak, przeciętna długość życia człowieka wynosi dziś mniej więcej 70 lat. Szkolenie kosmonautów jest skomplikowane, tak że nawet najbardziej inteligentny młody człowiek nie jest w stanie zdać mistrzowskiego egzaminu na astronautę przed ukończeniem dwudziestego roku życia. Trudno też oczekiwać, że zostanie wysłany w podróż kosmiczną mając lat więcej niż 60. Tak więc pozostaje mu co najwyżej 40 lat w roli astronauty. W tej sytuacji stwierdzenie, że 40 lat to za mało na wyprawę międzygwiezdną wydaje się jak najbardziej logiczne!

Lecz jest to wniosek mylny! Już najbardziej prymitywny przykład pokazuje dlaczego, demonstrując jednocześnie, jak znacznie we wszystkich naszych ideach odnoszących się do przyszłości skrepowani jesteśmy starymi kategoriami myślenia: Oto otrzymuję powiedzmy precyzyjne wyliczenie, którego wynik ma dowodzić, iż dla żyjącej w wodzie bakterii niemożliwe jest przedostanie się od punktu A do punktu B, ponieważ mikrob ów może się poruszać jedynie z prędkością "x", przy czym ani prądy wodne ani różnice poziomów nie są w stanie podnieść tej prędkości więcej niż o "y" procent. Wygląda to nader przekonująco. Niemniej jednak w wyliczeniu takim tkwi pewien błąd myślowy! Wodna bakteria może bowiem przedostać się z A do B na bardzo różne sposoby. Możemy ją dajmy na to zamrozić, a potem kostka lodu z zamrożoną bakterią zostanie

przetransportowana samolotem z punktu A do punktu B! Lód zostaje rozpuszczony i bakteria znajduje się u celu! Zgoda, pod warunkiem, że uda się wyłączyć motor życia - słyszę. Mnie sposób ten wydaje się jak najbardziej prawdopodobną, a w dodatku nader praktyczną metodą transportowania mikrobów - przy czym twierdzę jeszcze (i dlatego przytoczyłem ten właśnie przykład), że osiągnęliśmy dokładnie ten punkt, kiedy przestarzałe metody trzeba zastąpić nowymi.

Moja prognoza, że w niezbyt nawet odległej przyszłości, astronauta będą na czas międzygwiazdnej podróży zamrażani, by w określonym terminie mogli być potem odmrożeni i przywrócić do życia, z pewnością nie jest szaleństwem, nawet mimo zastrzeżeń, jakie się przeciwko niej wysuwa. Profesor Alan Sterling Parkes, członek National Institute for Medical Research w Londynie, reprezentuje pogląd, iż nauki medyczne już na początku lat siedemdziesiątych w pełni opanują metody nieograniczonego w czasie konserwowania w niskich temperaturach narządów do transplantacji.

Jak wiadomo, części zawsze kiedyś układają się w całość, toteż jestem przekonany co do słuszności mojej prognozy.

We wszystkich eksperymentach ze zwierzętami niezmiennie pajawia się problem utrzymania przy życiu szybko obumierających przy braku tlenu komórek mózgowych. O tym, jak poważnie pracuje się nad tym zagadnieniem, świadczy już choćby fakt, że bezustannie zajmują się nim zespoły badawcze nie tylko sił powietrznych i morskich USA, lecz także

takich firm jak General Electric czy RAND Corporation. Pierwsze doniesienia o pomyślnych wynikach pochodzą z Western Reserve School of Medicine w Cleveland (Ohio): przez prawie 18 godzin udało się tam podtrzymać funkcjonowanie pięciu oddzielonych od ciał mózgow, w których stwierdzono ponad wszelką wątpliwość występowanie reakcji na bodźce dźwiękowe.

Badania te mieszczą się w szeroko zakrojonych ramach prac nad skonstruowaniem "cyborga" (skrót od angielskiego "cybernetic organism"). Niemiecki fizyk i cybernetyk Herbert W. Franke przedstawił w jednej z rozmów zakrawające dziś jeszcze na sensację twierdzenie, iż za kilka dziesiątków lat w drogę ku obcym planetom, by szukać w Kosmosie śladów obcej inteligencji, wyruszą statki kosmiczne bez astronautów na pokładzie. Patrole kosmiczne bez astronautów?

Herbert W. Franke zakłada, że elektroniczna aparatura sterowana będzie przez oddzielony od ludzkiego ciała mózg. Ten zanurzony w odżywczym płynie zasilanym bez przerwy świeżą krwią mózg stanie się ośrodek sterujący statku kosmicznego. Franke przypuszcza, że do takiego spreparowania najlepiej nadawać się będzie mózg nie narodzonego dziecka, ponieważ - nie obciążony jeszcze procesami myślowymi - bez przeszkód zdoła wchłonąć niezbędne do wypełnienia specjalnej misji kosmicznej zasady działania i informacje.

Tak spreparowany mózg pozbawiony będzie świadomości bycia "człowiekiem". Herbert W. Franke twierdzi: "Emocje, jakie znamy, byłyby takiemu cyborgowi obce. Nie znałby on uczuć. Pojedynczy

mózg ludzki awansuje do rangi wysłannika całej naszej planety."

Również Roger A. MacGowan prognozuje użycie cyborga, pół-człowieka, pół-maszyny. Zdaniem tego naukowego praktyka, cyborg stanie się jak najbardziej pełną elektroniczną "istotą", której funkcje zaprogramowane zostaną w wypreparowanym mózgu, przetwarzającym je potem na polecenia.

Frankfurcki jezuita, Paul Overhage, cieszący się sławą dużej klasy biologa, tak powiedział o tym "fantastycznym projekcie przyszłości":

"Nie może być w zasadzie najmniejszych wątpliwości co do powodzenia tego projektu, ponieważ gwałtowny rozwój biocybernetyki coraz bardziej upraszcza tego rodzaju eksperymenty". W ciągu ostatnich dwóch dziesięcioleci biologia molekularna oraz biochemia w niejako przyspieszonym tempie zapoczątkowały i zakończyły prace, które dosłownie stawiają na głowie istotne fragmenty dotychczasowej wiedzy i metod z zakresu medycyny. W zasięgu ręki znajduje się możliwość spowalniania, a nawet czasowego powstrzymania procesu starzenia się, również fantastyczna konstrukcja cyborga przestała być dziś rodem z czystej utopii."

Oczywiście projekty te niosą ze sobą problemy natury etycznej i moralnej, których rozwiązanie może się okazać trudniejsze niż sam medyczno-techniczny aspekt zagadnienia. Wszystko to jednak przestanie odgrywać zasadniczą rolę, jeśli wziąć pod uwagę całkiem prawdopodobną ewentualność, że pewnego dnia pojazdy międzyplanetarne będą uzyskiwać tak niewyobrażalne prędkości, iż kosmonauci

nawet przy normalnym biegu procesów starzenia się będą mogli przebywać odległości kosmyczne. Rozwiązanie tego zagadnienia technicznego zawiera się w całości uznanym już przez naukę zjawisku dylatacji czasu.

Musimy sobie uświadomić i zrozumieć, że dla uczestników podróży międzygwiazdnej "ziemskie lata" nie odgrywają w ogóle żadnej roli! Czas upływający w statku kosmicznym poruszającym się z prędkością bliską prędkości światła "pełza" powolutku w porównaniu z czasem, który pędzi na macierzystej planecie. Można to dokładnie wyliczyć za pomocą wzorów matematycznych. Jakkolwiek niewiarygodnie to zabrzmiało, to w wyliczenia te wcale nie trzeba wierzyć - one są po prostu udowodnione.

Musimy się uwolnić od naszego pojęcia czasu, mianowicie czasu ziemskiego. Za pomocą prędkości i energii można manipulować czasem. Nasze wyruszające w Kosmos prawniki przebijają barierę czasu. Osoby sceptycznie nastawione do kwestii technicznej możliwości podjęcia podróży międzygwiazdnych przytaczają pewien argument zasługujący na dokładniejsze zbadanie. Otóż nawet jeśliby któregoś dnia zbudowano silniki rakietowe, zdolne osiągnąć prędkość 150 tys. km/s i więcej, to podróż międzygwiazdna i tak nadal byłaby niemożliwa, ponieważ przy takiej prędkości każda najmniejsza nawet cząsteczka, jaka zetknęłaby się z zewnętrzną powłoką statku, miałaby niszczącą moc bomby. Zastrzeżenia tego z pewnością nie da się dziś nie uznać. Ale jak długo jeszcze? Zarówno w USA, jak i w ZSRR trwają

już prace nad skonstruowaniem elektromagnetycznych pierścieni ochronnych, których zadaniem byłaby ochrona statków kosmicznych przed poruszającymi się w próżni niebezpiecznymi drobinami. We wspomnianych projektach badawczych zanotowano już nader istotne rezultaty cząstkowe.

Sceptycy twierdzą ponadto, że prędkość przekraczająca 300 tys. km/s jest czymś całkowicie utopijnym, ponieważ już Einstein wykazał, iż prędkość światła stanowi absolutną granicę możliwego przyśpieszenia... Również i ten argument jest do utrzymania jedynie wtedy, gdy wyjdziemy z założenia, że statki kosmiczne przyszłości tak jak dotychczas odrywać się będą od Ziemi dzięki energii milionów litrów paliwa i że ta sama energia napędzająca będzie w Kosmosie. Urządzenia radarowe operują dziś falami o prędkości rozchodzenia wynoszącej 300 tys km/s. Co jednak mają fale do sprawy napędu statków kosmicznych przyszłości?

Dwaj Francuzi, Louis Pauwels i Jacques Bergier, opisują w swojej książce *Der Planet der unmöglichen Moglichkeiten* (Planeta niemożliwych możliwości) fantastyczny projekt badawczy radzieckiego naukowca K.P. Staniukowicza, członka Komisji Komunikacji Międzyplanetarnej Akademii Nauk ZSRR. Staniukowicz zajmuje się w swych rozważaniach sondą kosmiczną napędzaną antymaterią. Ponieważ sonda uzyska przyśpieszenie tym większe, im szybsze będą emitowane przez nią cząsteczki, moskiewski profesor i jego zespół wpadli na pomysł "latającej lampy", pracującej na zasadzie emisji światła, zamiast

rozczarowanych gazów. Prędkości, jakie dadzą się w ten sposób osiągnąć, są niewyobrażalne. Bergier tak powiada na ten temat: "Załoga takiej latającej lampy zupełnie nic by nie dostrzegała. Siła ciężenia na statku kosmicznym byłaby taka sama jak na Ziemi. Czas w odczuciu kosmonautów płynąłby normalnie. Lecz w ciągu niewielu lat mogliby dolecieć do najodleglejszych gwiazd. Po 22 latach (ich czasu) znajdowałiby się już w gęstym jądrze naszej Drogi Mlecznej odległym o 75 tys. lat świetlnych od Ziemi. Po 28 latach dotarliby do Mgławicy Andromedy, czyli najbliższej nam galaktyki, której odległość od Ziemi wynosi 2 miliony 250 tys. lat świetlnych."

Profesor Bergier, uznany na całym świecie naukowiec, podkreśla, że wyliczenia te nie mają nic ale to naprawdę nic wspólnego ze science fiction, ponieważ Staniukowicz zweryfikował eksperymentalnie wzór, którego prawdziwość może sprawdzić każdy, kto umie się posługiwać tablicą logarytmiczną. Zgodnie z tym moskiewskim wzorem dla załogi "latającej lampy" mija zaledwie 65 lat "czasu kosmicznego", podczas kiedy na naszej planecie upływa 4,5 miliona lat!

W mrocznym łonie przyszłości rodzi się coś, czego skutków nie potrafię sobie wyobrazić nawet w najśmielszej fantazji. W roku 1967 Gerald Feinberg, profesor fizyki teoretycznej na uniwersytecie Columbia w Nowym Jorku opublikował w naukowym czasopiśmie "Physical Review" swoją teorię tachionów (nazwa "tachion" pochodzi od greckiego słowa tachys szybki). Nie chodzi tu bynajmniej o jakieś utopijne koncepcje, lecz o poważne naukowe badania. Na politechnice zuryskiej

prowadzi się już na ten temat seminaria!

Oto skrótowa prezentacja teorii tachionów. Według einsteinowskiej teorii względności masa ciała rośnie proporcjonalnie do wzrostu prędkości. Masa (czyli energia), która osiągnie prędkość światła, stanie się nieskończenie wielka. Feinberg wyprowadził matematyczny dowód istnienia swoistego pendant do einsteinowskiej masy, a mianowicie cząsteczki, które poruszają się nieskończenie szybko ulegają jednak dezintegracji, gdy zbliżą się do prędkości światła. Według Feinberga tachiony są biliony razy szybsze od światła, lecz przestają istnieć, kiedy spowolni się je do prędkości światła bądź poniżej tej prędkości.

Tak jak teoria względności (bez której nie może się dziś obejść ani fizyka, ani matematyka) przez całe dziesięciolecia dowiedziona była jedynie metodami matematycznymi, tak też istnienie tachionów wykazać można dziś jeszcze wyłącznie matematycznie, a nie eksperymentalnie. Profesor Feinberg właśnie pracuje nad dowodem eksperymentalnym.

Przy mojej wierze w przyszłość, kiedy słyszę o tego rodzaju badaniach, ponosi mnie fantazja. Aż nazbyt często w ciągu ostatnich stu lat otrzymywaliśmy rzecz uważaną niegdyś za niemożliwą w postaci wytwarzanego seryjnie produktu. Dlatego też pozwolę sobie na rozwinięcie pewnej myśli, która jak już powiedziałem, jest jeszcze w stadium załączkowym.

Co może się wydarzyć?

Jeśliby się udało sztucznie wytworzyć lub "schwytać" tachiony,

można by przetworzyć je na energię napędzającą sondy kosmiczne.

Wówczas, jak sobie wyobrażam, statek kosmiczny najpierw zostałby rozpędzony za pomocą silnika fotonowego do prędkości światła, a z chwilą jej osiągnięcia komputery przełączyłyby silniki na napęd tachionowy. Z jaką prędkością mógłby wówczas poruszać się statek? Ze stukrotną, a może tysiąckrotną prędkością światła? Dzisiaj nikt tego jeszcze nie wie, istnieją natomiast przypuszczenia, że z chwilą przekroczenia prędkości światła statek kosmiczny opuściłby tak zwaną czasoprzestrzeń Einsteina i został wyrzucony w bliżej nie zdefiniowany wyższy wymiar. W owym wymiarze dla lotów kosmicznych czynnik czasu będzie niemalże bez znaczenia.

Znam wiele badań z różnych dziedzin, których rezultaty w ostatecznym rozrachunku służą głównie sprawie lotów międzygwiazdnych.

Byłem w paru laboratoriach i rozmawiałem z naukowcami. Nikt nie potrafi określić liczby fizyków, chemików, biologów, fizyków atomowych, parapsychologów, genetyków i inżynierów, którzy pracują nad zagadnieniami (określa się je niejednokrotnie, choć niezbyt fortunnie, nazwą "badania futurologiczne"), które umożliwić mają człowiekowi podróż z powrotem do gwiazd.

Wydaje mi się zwykłym błędem ludzkiej samooceny, jeśli pod naporem niepodważalnych faktów dostarczanych przez rozwijającą się bezustannie technikę dopuszczamy wprawdzie możliwość badań Kosmosu w jakiejś bliżej nieokreślonej przyszłości, jednocześnie zaś uporczywie zaprzeczamy możliwości istnienia w Kosmosie cywilizacji, która

już tysiące lat przed nami opanowała arkana lotów międzygwiazdnych i dlatego mogła odwiedzić naszą planetę.

Ponieważ z dawien dawna już w szkole wpaja się uczniom dumne przekonanie, jakoby człowiek był "koroną stworzenia", rewolucyjną i widocznie niezbyt miłą jest myśl, że już przed wieloma tysiącami lat istniała obca cywilizacja znacznie przewyższająca "koronę stworzenia". Niezależnie od tego, jak nieprzyjemna może być ta myśl, trzeba się z nią pogodzić!

II. Na tropach życia

W swoich Wspomnieniach z przyszłości (Erinnerungen an die Zukunft) sformułowałem spekulatywną myśl, iż "bóg" stworzył człowieka na własny obraz i podobieństwo drogą sztucznych mutacji. Wyraziłem przypuszczenie, że Homo sapiens został wyodrębniony spośród małp w drodze celowej mutacji. Twierdzenie to spotkało się z licznymi atakami.

Ponieważ powstanie i rozwój człowieka prześledzono dotychczas jedynie na naszej planecie, moja hipoteza o ewentualnej ingerencji w ten proces istot pozaziemskich jest istotnie śmiała. Gdyby jednak włączyć tę

myśl w obręb rzeczy możliwych, zniszczyłoby to małownicze drzewo genealogiczne: małpy zeszyły z drzew, przeszły proces stopniowej mutacji i stały się praprzodkami człowieka. Od czasu, kiedy Karol Darwin (1809-1882) przedstawił swoją teorię doboru naturalnego, wszystkie skamieniałości poczynając od szkieletu prehistorycznego małpoluda po przedstawiciela Homo sapiens zdawały się być niezbitymi argumentami przemawiającymi za darwinowską teorią ewolucji. Kiedy nauczyciel Johann Carl Fuhlrott (1804-1877) znalazł w miejscowości Neanderthal pod Dusseldorfem kilka starych kości i zmontował z nich czaszkę neandertalczyka, żyjącego w ostatnim okresie międzylodowcowym i na początku zlodowacenia Wurm, czyli mniej więcej 80 do 120 tys. lat temu, stworzył też na podstawie tego znaleziska teorię o małpoludzie. Wywołało to niemałe oburzenie w świecie nauki. Spętani religijnym dogmatem przeciwnicy teorii Fuhlrotta argumentowali mało przekonująco, iż nie może być człowieka prehistorycznego, albowiem nie ma prawa go być.

Jest wielu różnych przedstawicieli typu określanego jako "człowiek neandertalski". Pod El Fajum w pobliżu Kairu znaleziono żuchwę małpy z gatunku naczelnych. Żuchwę tę datowano na okres oligoceński, czyli jakieś 30-40 milionów lat temu. Jeśli nie ma w tym pomyłki, stanowiłoby to dowód, że istoty człekopodobne musiały istnieć na długo przed pojawieniem się neandertalczyka. Skamieniałe szczątki hominidów znajdowano również w Anglii, Afryce, Australii, na Borneo i w wielu innych częściach świata.

Czego te znaleziska dowodzą?

Tego, że nie można powiedzieć nic na pewno, ponieważ niemal z każdym nowym znaleziskiem trzeba weryfikować dopiero co wprowadzone do podręczników daty. Pomimo dużej liczby tych znalezisk należy jasno powiedzieć, że nie dają one dostatecznych punktów zaczepienia, by można było mówić o historycznej ciągłości pochodzenia i rozwoju rodzaju ludzkiego. Wprawdzie drzewo genealogiczne od pierwszych hominidów po gatunek *Homo sapiens* daje się jednoznacznie prześledzić na przestrzeni milionów lat, ale jeśli idzie o powstanie inteligencji, nie da się nic konkretnego powiedzieć. Istnieją minimalne ślady z zamierzchłej przeszłości, które jednak w żadnym wypadku nie układają się w spójną całość. Jak dotąd nie miałem szczęścia spotkać choćby tylko w miarę przekonującego wyjaśnienia problemu powstania inteligencji u człowieka. Liczba proponowanych koncepcji i teorii na temat, jak dokonać się miał ów "cud", jest wielka. Dlatego uważam, że moja teoria ma takie samo prawo oczekiwać uznania i weryfikacji.

Wygląda na to, że w toku miliardów lat istnienia życia na Ziemi ludzka inteligencja "pojawiła się" niejako z dnia na dzień. W skali miliardów lat można mówić o "nagłym" wystąpieniu tego zjawiska.

Ledwie co wyszedłszy ze stadium antropoidów nasi przodkowie w toku zdumiewająco krótkiego procesu ewolucji stworzyli to, co nazywamy ludzką kulturą. W tym celu jednak musiało dojść do nagłego pojawienia się inteligencji! Minęło kilkaset milionów lat, zanim wskutek naturalnych mutacji pojawiły się antropoidy, za to później nastąpił błyskawicz-

ny rozwój do hominidów i dalej. Ni stąd, ni zowąd jakieś 40 tys. lat temu nastąpił niesamowity skok w rozwoju: odkrycie maczugi jako broni, łuk jako narzędzia polowań, użycie ognia jako pomocnej siły, wprowadzenie kamiennych tłuków jako narzędzi, na ścianach jaskiń pojawiają się pierwsze malowidła. Ale pierwsze ślady działalności technicznej, czyli garncarstwo, dzieli od pierwszych znalezisk z koczowisk hominidów dystans 500 tysięcy lat! Loren Eiseley, profesor antropologii Uniwersytetu Pensylwania pisze, że człowiek wyodrębnił się ze świata zwierząt przez miliony lat, bardzo wolno nabierając ludzkich cech. "Z jednym tylko wyjątkiem od tej reguły: wszystko wskazuje na to, że jego mózg pod koniec tego procesu przeszedł gwałtowny wzrost i dopiero wskutek tego człowiek ostatecznie oderwał się od swoich zwierzęcych krewniaków", pisze profesor. Kto nauczył nas myślenia?

Jakkolwiek nader szanuję wysiłki antropologów, chciałbym otwarcie przyznać, że niezbyt mnie interesuje, na jakie to zamierzchłe lata pozwalają datować moment pojawienia się pierwszych zębów trzonowych u antropoidów bądź hominidów skamieniałe znaleziska. Nie jest też dla mnie zbyt ważne, kiedy pierwszy pracłowiek zaczął używać kamiennych narzędzi. Jest dla mnie rzeczą oczywistą, że pracłowiek był najinteligentniejszą istotą żywą na naszej planecie, tak jak jest dla mnie logiczne, że "bogowie" wybrali do sztucznej mutacji właśnie tę istotę. Bardziej interesuje mnie, kiedy pracłowiek po raz pierwszy wprowadził do swojej wspólnoty takie pojęcia obyczajowe jak wierność, miłość czy przyjaźń. Pod którym wpływem dokonała się w nim taka

przemiana? Kto wpoił ludzi uczucia takie jak pokora? Kto nauczył ich wstydić się aktu płciowego?

Czy istnieje jakieś wiarygodne wyjaśnienie faktu, że dzikie istoty zaczęły się nagle przyodziewać? Niektórzy wskazują na zmiany klimatu bądź jego wahania, ale wcale mnie to nie przekonuje, bowiem już wcześniej takie wahania z pewnością występowały. Mówi się też, że antropoidy chciały się w ten sposób przyozdobić! Gdyby to była prawda to żyjące dziko goryle, szympansy i orangutany też powinny stopniowo zacząć obwieszać się ozdobami czy nakładać spodnie.

Dlaczego antropoidy, ledwie wyszedłszy z całkowitej dzikości, nagle zaczęły grzebać ciała swoich pobratymców?

Kto doradził dzikim istotom, aby sięgnęły po nasiona konkretnych dziko rosnących roślin, rozdrabniały je, rozcierały, dodawały wody i wypiekały z tej masy pożywienie?

Po prostu intryguje mnie pytanie, dlaczego antropoidy, hominidy i praludzie przez całe miliony lat niczego się nie nauczyły i dlaczego potem praczłowiek nagle tak dużo sobie przyswoił. Czyżby dotąd zbyt mało się nad tym istotnym pytaniem zastanawiano?

Dziedzina badań, która postawiła sobie za zadanie wyjaśnienie sprawy pochodzenia człowieka jest bardzo ciekawa i warta zaangażowania.

Co najmniej tak samo interesująca wydaje mi się jednak kwestia dlaczego, po co, w jaki sposób i kiedy człowiek stał się inteligentny.

Loren Eiseley pisze: "Dzisiaj natomiast musimy przyjąć, że człowiek

pojawił się stosunkowo niedawno, ponieważ dopiero niedawno tak żywiolowo zaznaczył swoje istnienie. Mamy wszelkie powody przypuszczać, iż niezależnie od sił, jakie mogły mieć swój udział w kształtowaniu ludzkiego mózgu, jest rzeczą niemożliwą, aby tak znaczne zdolności umysłowe, jak te obserwowane dziś wśród wszystkich ludów na Ziemi, wykształciły się wyłącznie wskutek zażartej i długotrwałej walki o byt pomiędzy licznymi ludzkimi gromadami. Musiało istnieć coś innego, jakiś inny czynnik rozwoju, który umknął jak na razie uwadze teoretyków ewolucji."

Tak właśnie przypuszczam. We wszystkich rozważaniach pominięto jak dotąd decydujący aspekt. Prawdopodobnie nie uda się wypełnić wszystkich luk w koncepcji rozwoju człowieka, jeśli nie uwzględni się teorii o wizycie przedstawicieli obcej cywilizacji na naszej planecie i nie sprawdzi, czy te obce istoty nie są aby odpowiedzialne za wprowadzenie sztucznych zmian w czynnikach dziedzicznych, za manipulacje kodem genetycznym i raptownie nabytą inteligencją człowieka... Postaram się przeprowadzić tutaj kilka wywodów na poparcie mojej tezy, iż człowiek jest tworem pozaziemskich "bogów".

W roku 1847 Justus von Liebig napisał w 23. z kolei "liście chemicznym": "Jeśli ktokolwiek zajmował się kiedyś kwaśnym węglanem amonowym, fosforkiem wapniowym czy potasowym, ten od razu uzna za rzecz wykluczoną, by z tych substancji wskutek działania ciepła,

elektryczności czy innej siły naturalnej kiedykolwiek mógł powstać zdolny do dalszego rozrodu i wyższego rozwoju załóżek..." Wielki chemik pisał dalej, że tylko dyletant może przyjąć, iż życie powstało z materii nieożywionej. Dziś już wiemy, że tak jednak było w istocie. Współczesna nauka przyjmuje, iż pierwsze ślady życia pojawiły się na Ziemi 1,5 miliarda lat temu. Profesor Hans Vogel pisze: "Nagie lądy i rozległy praocean otoczone były atmosferą pozbawioną jeszcze tlenu. Metan, wodór, amoniak, para wodna, może jeszcze acetylen i cyjanowodór, tworzyły powłokę wokół pozbawionej jeszcze życia Ziemi. W takim właśnie środowisku miało powstać pierwsze życie."

W swoich staraniach, by natrafić na trop powstania życia, naukowcy próbowali wytworzyć materię organiczną z nieorganicznej w warunkach imitujących pierwotną atmosferę Ziemi.

Amerykański laureat nagrody Nobla, profesor Harold Clayton Urey przypuszczał, że pierwotna atmosfera Ziemi była nieporównanie bardziej przepuszczalna dla promieni ultrafioletowych niż nasza obecna atmosfera. Dlatego też zachęcił on swojego współpracownika, dra Stanleya Millera, aby ten sprawdził doświadczalnie, czy po naświetleniu wytworzonej w retorcie mieszanki imitującej pierwotną atmosferę Ziemi uda się uzyskać niezbędne dla powstania wszelkiego życia aminokwasy. W roku 1953 dr Stanley Miller przystąpił do eksperymentów.

Skonstruował on szklany pojemnik, w którym z amoniaku, wodoru, metanu i pary wodnej wytworzył imitację pierwotnej atmosfery Ziemi. Aby eksperyment odbył się w warunkach jałowych, przez 18 godzin

wygrzewał swoją dziś już przysłowiową "aparaturę Millera" w temperaturze 180 stopni Celsjusza. W górnej połowie szklanej kuli zatopione były dwie elektrody, między którymi bez przerwy przeskakiwały iskry. W ten sposób za pomocą prądu wysokiej częstotliwości o napięciu 60 tys. woltów wytwarzano nieustającą "praburzę". W mniejszej kuli podgrzewano wyjałowioną wodę, której pary doprowadzano za pomocą rurki do kuli z pierwotną atmosferą. Schłodzone składniki spływały z powrotem do kuli z wyjałowioną wodą, były tam ponownie podgrzewane i znowu przedostawały się do kuli z pierwotną atmosferą. W ten sposób Miller wytworzył w warunkach laboratoryjnych obieg, który od zarania dziejów występuje na Ziemi. Eksperyment odbywał się bez przerwy przez tydzień.

Co powstało z pierwotnej atmosfery pod wpływem bezustannych piorunów praburzy? W upichconym tym sposobem "prabulionie" stwierdzono obecność aminokwasu masłowego, asparaginowego, alani-ny oraz glicyny, czyli aminokwasów niezbędnych do budowy systemów biologicznych. Z materii nieorganicznej powstały w toku eksperymentu Millera skomplikowane związki organiczne.

W następnych latach przeprowadzono niezliczoną ilość takich eksperymentów przy zmieniających się warunkach początkowych. W sumie udało się uzyskać dwanaście aminokwasów. Wtedy już nikt nie mógł wątpić, że z pierwotnej atmosfery panującej na Ziemi mogły powstać niezbędne dla wszelkiego życia aminokwasy.

Niektórzy uczeni zastosowali zamiast amoniaku azot, zamiast meta-

nu formaldehyd, a nawet dwutlenek węgla. Wyładowania elektryczne Millera zastąpiono ultradźwiękami lub też zwykłym światłem. Rezultaty pozostały te same! Ze wszystkich tych jakże różny skład mających praatmosfer za każdym razem powstawały m.in. aminokwasy oraz bezazotowe organiczne kwasy węglowe. W kilku eksperymentach uzyskano nawet cukry.

Jak należy rozumieć to zjawisko?

Od kiedy człowiek nauczył się myśleć, zawsze dąży do tego, aby wszystko, co go otacza, zawsze rozpatrywać dwubiegunowo: światło stoi w opozycji do cienia, gorące do zimnego, śmierć do życia. W tym jak najszerzej rozumianym polu przeciwieństw mieści się też określanie wszelkiej materii żywej mianem "organicznej", a wszelkiej materii nieożywionej mianem "nieorganicznej". Tak jak między ekstremalnymi określeniami istnieje wiele stopni pośrednich, tak samo od dawna już nie sposób zakreślić jednoznacznej granicy między chemią organiczną a nieorganiczną.

Kiedy nasza planeta zaczęła się ochładzać, z lekkich związków, których gazowe cząsteczki mieszały się chaotycznie ze sobą utworzyło się to, co nazywamy "pierwotną atmosferą" Ziemi. Składała się ona przeważnie z tych związków, z których Miller ugotował w toku laboratoryjnych eksperymentów "prabulion". Wskutek wysokich początkowo temperatur panujących na Ziemi i niewielkiej siły przyciągania, lekkie gazy takie jak hel i wolny wodór ulotniły się w Kosmos, podczas kiedy ciężkie cząsteczki gazowe, takie jak azot, tlen, dwutlenek

węgla a także ciężkie atomy gazów szlachetnych zostały zatrzymane.

Wodór w swojej postaci pierwiastkowej właściwie w obecnej atmosferze nie występuje, znajdujemy go tylko w postaci składnika innych związków chemicznych. Dwa atomy wodoru z jednym atomem tlenu tworzą na przykład niezwykle ważny dla życia na Ziemi związek - wodę (wzór chemiczny H_2O).

I tak zaczął się obieg składników: woda parowała unosząc się w górę wraz z prądami ciepła, by zebrana w chmury ochłodzić się w wyższych partiach atmosfery i opaść z powrotem w postaci deszczu. Ten pierwotny deszcz wypłukiwał z gorącej kamiennej skorupy najróżniejsze związki nieorganiczne, unosząc je do praoceanu. Z praatmosfery również oddzielały się związki nieorganiczne, takie jak amoniak czy cyjanowodór, i przedostawszy się do praoceanu brały udział w zachodzących tam reakcjach chemicznych. W ciągu milionów lat atmosfera Ziemi stopniowo wzbogacała się w tlen.

Proces ten dokonywał się bardzo powoli. Nauka jest dziś zgodna co do tego, że przemiana pierwotnej atmosfery redukującej w naszą utleniającą dokonała się w ciągu mniej więcej 1,2 miliarda lat. U początków tego procesu była wspomniana prazupa, w której liczne rozpuszczone związki stanowiły doskonałą pożywkę dla pierwszych prymitywnych form życia.

Przyjęło się uważać, że życie musi być związane z jakimś organizmem, w najprostszym przypadku tym organizmem jest pojedyncza komórka. O tym, że jakiś organizm żyje, świadczy zachodząca w nim przemiana

materii i energii, świadczy też jego rozwój. O życiu stanowią funkcje.

Czy wszystkie te uznawane dziś kryteria rzeczywiście muszą być spełnione? Jeśli tak, to wirus nie żyje, ponieważ sam jako taki nie wykazuje przemiany energii i materii, nie spożywa i nie wydala. Wirus tylko rozmnaża się w obrębie obcych komórek przez reprodukcję - jest pasożytem.

Czym w takim razie jest życie? Czy uda nam się je zdefiniować?

Jeśli prześledzimy najważniejsze etapy powstania życia na Ziemi, nasuwa się pytanie: Jak to było z pierwszą żywą komórką? Fundamentalne w tym względzie były badania Theodora Schwanna (1810 - 1882) i Matthiasa Schleidena (1804-1881). Schwann dowiódł, że zwierzęta i rośliny zbudowane są z komórek, Schleiden z kolei zrozumiał znaczenie jądra komórkowego. Potem przeor zakonu augustianów Gregor Johann Mendel (1822-1884), wykładowca przyrodznawstwa i fizyki w Brunn (Brno), przeprowadził swoje doświadczenia z krzyżowym zapłodnieniem grochu i fasoli. Postępowy duchowny, który na podstawie swoich uporczywych doświadczeń doszedł do sformułowania trzech praw dziedziczenia cech, stał się ojcem nauki o dziedziczeniu. Jego prawa uznaje się dziś za bezsporne w odniesieniu zarówno do człowieka, jak też zwierząt i roślin.

W połowie XIX wieku dowiedziono, że komórka jest nośnikiem wszystkich funkcji życiowych. Dowód ten stał się fundamentem wszystkich wielkich odkryć biologii. Dopiero nowe metody techniczne (rentgenologia, elektroforeza, ultramikroskopia, mikroskopia fazowo-kon-

trastowa itd.) umożliwiły badania komórki i jądra komórkowego.

W komórkach i jądrach komórkowych upatruje się centra informacyjne do przechowywania i przekazywania zespołu cech. Stosunkowo niedawno podjęte badania w tej dziedzinie wykazały już dla każdego gatunku istot żywych inną stałą liczbę i formę chromosomów.

Chromosomy są nośnikami informacji genetycznej. Komórki organizmu ludzkiego mają na przykład 23 pary, czyli 46 chromosomów, organizmu pszczoły 8 par czyli 16 chromosomów, a owcy 27 par czyli 54 chromosomy...

Cząsteczki białka w komórkach składają się z łańcuchów aminokwasów. Po dokonaniu tej naukowej konstatacji wyłoniło się nowe pytanie: W jaki sposób z aminokwasów powstają żywe komórki?

W związku z nie do końca jeszcze rozwiązaną kwestią, w jaki sposób mogło powstać białko zanim jeszcze istniały żywe komórki, Rutherford

Platt przedstawia teorię dr. George'a Walda z Harvardu. Otóż Wald zakładał, że w określonych warunkach naturalnych aminokwasy same muszą dać na to odpowiedź. Dr S.W. Fox z Instytutu Ewolucji

Molekularnej w Miami sprawdził tę tezę wysuszając związki aminokwasów. Fox i jego współpracownicy zobaczyli, że aminokwasy przybierają formę długich, nitkowatych tworów submikroskopowych tworząc łańcuchy zawierające setki cząsteczek aminokwasów. Dr Fox nazwał je "proteidami", czyli związkami białkopodobnymi.

W uzupełnieniu badań profesorów J. Oró i A. P. Kimballa chemikom dr. Matthew'owi i dr. Moserowi udało się w roku 1961 wytworzyć

białko ze żrącego kwasu pruskiego i wody. Trzej naukowcy z Salk-Institute, Robert Sanchez, James Ferris i Leslie Orgel dokonali sztucznej syntezy niezbędnych w przemianie materii i rozmnażaniu kwasów nukleinowych czyli występujących w jądrze komórkowym związków składających się z zasad nukleinowych, wodorotlenków i kwasu fosforowego.

Ważne jest, abyśmy po tej wycieczce przez chemię i biologię pojęli, iż tworzenie żywego organizmu jest procesem chemicznym. "Życie" można stworzyć w laboratorium. Co jednak kwasy nukleinowe mają wspólnego z życiem?

Kwasy nukleinowe decydują o skomplikowanym procesie dziedziczenia. Kolejność ustawienia czterech podstawowych zasad: adeniny, guaniny, cytozyny oraz tyminy tworzy kod genetyczny wszelkiego życia. Z chwilą dokonania tego odkrycia, chemia pozbawiła misterium życia znacznej części jego tajemniczości.

Są dwie grupy kwasów nukleinowych, których skrótowe nazwy RNA (kwas rybonukleinowy) i DNA (kwas dezoksyrybonukleinowy) są już znane każdemu uważnemu czytelnikowi prasy ostatnich lat. Obydwa te kwasy, zarówno DNA jak i RNA, są niezbędne do syntezy białka w komórkach. Jest rzeczą stwierdzoną, że cząstki białkowe wszystkich przebadanych do dziś organizmów zbudowane są z 20 aminokwasów i że kolejność, uporządkowanie aminokwasów w cząsteczce proteino-

wej, wyznaczana jest przez kolejność czterech głównych zasad w DNA (= kod genetyczny).

Chociaż wiemy, jak tworzy się kod genetyczny, to jednak daleko nam jeszcze do odczytania informacji zawartej w pojedynczym chromosomie. Niemniej jednak myśl, że 20 aminokwasów stanowi nośnik wszelkiego życia i że ich uporządkowanie w cząsteczce białka wyznaczone jest przez kod genetyczny, otwiera zupełnie nieznaną sferę. Gordon Rattray Taylor w swojej książce *Die biologische Zeitbombe* (Biologiczna bomba zegarowa) przytacza w kontekście tych niewyobrażalnych możliwości poglądy laureatów nagrody Nobla, dr. Maxa Perutza i profesora Marshalla W. Nierenberga.

Dr Max Perutz: "W jednej tylko ludzkiej komórce znajduje się około 1000 milionów zasadowych par nukleotydowych rozdzielonych między 46 chromosomów. Jak moglibyśmy zatem wyeliminować lub dodać jakiś jeden określony gen konkretnego chromosomu czy też naprawić daną parę nukleotydową? Wydaje mi się to mało realne."

Profesor Marshall W. Nierenberg, który w zasadniczy sposób przyczynił się do odkrycia kodu genetycznego, jest zupełnie innego zdania: "Nie mam właściwie wątpliwości, że pewnego dnia trudności uda się przezwyciężyć. Jedyne pytanie, to kiedy to nastąpi. Przypuszczam, że już w ciągu najbliższych 25 lat uda się programować komórki za pomocą syntetycznych informacji genetycznych."

I wreszcie wspomnijmy profesora genetyki Uniwersytetu Stanforda w Kalifornii, Joshuę Lederberga, który uważa, iż już za 10 czy 20 lat

będziemy potrafili manipulować naszym materiałem genetycznym.

W każdym razie wiemy przynajmniej tyle, że możliwy jest wgląd w czynniki dziedziczenia i dokonywanie w nich zmian. A ponieważ wiemy to już my, ludzie, nie widzę powodu, dla którego nie miała by o tym wiedzieć pozaziemska cywilizacja, radząca sobie z podróżami międzygwiazdowymi a więc wyprzedzająca nas w badaniach o tysiące lat.

Fizyk i matematyk Herman Kahn, kierownik Hudson Institute w Nowym Jorku oraz Anthony J. Wiener, doradca amerykańskich instytucji rządowych i współpracownik tegoż instytutu, w swojej książce *Ihr werdel es erleben* (Zobaczycie to na własne oczy) cytują publikację z "Washington Post" z 31. 10. 1966 roku, w której przedstawiono efektywne możliwości manipulacji kodem genetycznym:

"Zajedynie 10-15 lat może być tak, że kobieta pójdzie do odpowiedniego sklepu, obejrzy sobie różne paczuszki, podobne do tych, w jakich sprzedaje się dziś nasiona roślin, i w ten sposób wybierze sobie dziecko, wedle opisu na etykiecie. Każda paczuszka będzie zawierać zamrożony jednodniowy embrion, zaś etykieta poinformuje nabywcę o kolorze włosów i oczu, przypuszczalnym wzroście i ilorazie inteligencji. Będzie też dołączona gwarancja, że embrion nie jest obciążony żadnymi wadami dziedzicznymi. Kobieta pójdzie z wybranym embrionem do lekarza, który jej go wszczepi. Od tego momentu dziecko przez dziewięć miesięcy rozwijać się będzie w jej łonie jak jej własne."

Takie wizje przyszłości nie są całkowitą utopią, ponieważ DNA zawiera genetyczne informacje na temat budowy komórki oraz wszystkich pozostałych czynników dziedzicznych. Łańcuch DNA to idealna karta perforowana umożliwiająca stworzenie wszelkiego życia, ponieważ nie tylko zawiera 20 aminokwasów, lecz także - podobnie jak przygotowana dla współczesnego komputera karta perforowana - zgłasza komendą "start" lub "stop" początek i koniec łańcucha protein.

I tak jak w jednostce centralnej elektronicznej maszyny liczącej zapisany jest "bit kontrolny" mający za zadanie sprawdzenie każdej operacji obliczeniowej, tak samo łańcuchy DNA poddawane są w komórkach stałej kontroli pod kątem prawidłowości funkcjonowania.

James D. Watson, który w wieku 24 lat w rozstrzygający sposób przyczynił się do odkrycia budowy DNA, zdążył już opisać koleje swej pracy w książce *Die Doppel-Helix (Podwójn spirala)*. Za 900 słów, którymi Watson opisał w czasopiśmie "Nature" dziwaczne kręcone schodki, czyli formę budowy cząsteczki DNA, otrzymał on wraz ze swoimi współpracownikami Francisem H.C. Crickiem oraz Mauricem H.F. Wilkinsem nagrodę Nobla w roku 1962. Jego książka o mały włos by się nie ukazała: dyrekcja uniwersyteckiego wydawnictwa na Harvardzie była przeciwna otwartości tego tekstu obawiając się, że swoboda wywodów Watsona zniszczy mit o ascetyzmie badań naukowych.

Watson przyznaje bowiem z absolutną otwartością, że swój sukces zawdzięcza przede wszystkim temu, czego dokonano już przed nim oraz błędom kolegów naukowców.

W grudniu 1967 roku miało miejsce w Ameryce spektakularne wydarzenie. Ówczesny prezydent USA Lyndon B. Johnson osobiście zaanonsował na konferencji prasowej pewne osiągnięcie naukowe takimi oto słowami: "Będzie to najciekawszy artykuł, jaki kiedykolwiek zdarzyło się państwu czytać! Budzące szacunek osiągnięcie! Otwiera nam ono drzwi do nowych odkryć oraz pozwala wejrzeć w fundamentalne tajemnice życia."

Jakie to odkrycie było aż tak ważne, iż zajęły się nim najwyższe sfery polityczne?

Naukowcom Stanford University z Palo Alto w Kalifornii udało się zsyntetyzować biologicznie aktywne jądro wirusa. Opierając się na genetycznym wzorze wirusa typu Phi X 174 zbudowali z nukleotydów jedną z owych wielkich molekuł sterujących wszelkimi procesami życiowymi, mianowicie DNA. Następnie wszczepili sztuczne jądra wirusów do komórek-gospodarzy. Sztuczne wirusy zaczęły się tam rozwijać zupełnie jak prawdziwe! Jak przystało na pasożyty zmusiły zarażone komórki do wyprodukowania milionów nowych wirusów według wzoru Phi X 174. Tak jak się to dzieje w organizmie zarażonym infekcją wirusową sztuczne wirusy wydostały się potem z komórek-gospodarzy po wyeksploatowaniu ich energii życiowej.

Informacje zawarte w DNA sprawiają, że komórka wytwarza cząsteczki białka z aminokwasów łączonych w milionowe kombinacje. Każda nowa kombinacja odpowiada dokładnie zaprogramowanemu wzorcowi. Kalifornijscy uczeni wyliczyli, że w procesie powstawania

około 100 milionów komórek może się zdarzyć zaledwie jeden "genetyczny błąd drukarski".

Do tego doniosłego odkrycia doszło zaledwie w 15 lat po wyjaśnieniu struktury DNA przez Watsona, Cricka i Wilkinsa. Laureat nagrody Nobla, profesor Arthur Kornberg wspólnie ze swoimi współpracownikami przebadał niezliczone tysiące kombinacji odcyfrowując kod genetyczny wirusa Phi X 174. W laboratoriach Kalifornii "wyprodukowano" życie.

Ten i ów czytelnik zadaje sobie pewnie pytanie, co te wszystkie biochemiczne dywagacje mają wspólnego z tematem mojej książki. Od chwili pojawienia się pierwszych doniesień śledziłem wspomniane badania z wielką ciekawością. Dlaczego?

Rezultaty tych badań wręcz zmuszają mnie do wyciągnięcia pewnego konsekwentnego wniosku, wniosku, który tak oto sformułował Sir Bernard Lovell, twórca i dyrektor obserwatorium radioteleskopowego w Jodrell Bank w Wielkiej Brytanii: "Wydaje się, że w ciągu ostatnich dwóch lat dyskusja nad pytaniem, czy istnieje życie poza Ziemią, nabrała powagi i doniosłości. Powaga ta jest konsekwencją dzisiejszych poglądów naukowych, wedle których powstanie Układu Słonecznego oraz życia organicznego na Ziemi prawdopodobnie nie są jedynymi tego typu przypadkami w Kosmosie."

Latem 1969 roku "Physical Review Letters" poinformowało, że amerykańskim naukowcom udało się wykryć za pomocą radioteleskopu w Greenbank w Zachodniej Wirginii ślady formaldehydu w gazowych

i pyłowych obłokach w przestrzeni kosmicznej. Formaldehyd, który nasza chemia stosuje m.in. do konserwowania i dezynfekowania, to bezbarwny gaz o nieprzyjemnym, gryzącym zapachu. Ten, jak dotąd najbardziej złożony ze wszystkich związków występujących w Kosmosie, wykryty przez amerykańskich naukowców w 15 spośród 23 źródeł promieniowania, uzupełnia listę prasurowych wykorzystywanych przez aminokwasów jako cegiełki życia. Powyższa wiadomość dostarcza nowej pożywki przypuszczeniom, że w Kosmosie istnieje życie.

Jeśli jednak na innych planetach istnieje życie, to uważam za rzecz bardzo prawdopodobną, że obcy kosmonauci przywieźli ze sobą na Ziemię tę wiedzę, którą my dopiero zdobywamy i za pomocą manipulacji kodem genetycznym sprawili, że nasi przodkowie stali się inteligentni. W starszym z biblijnych opisów dzieła stworzenia świata czytamy (I Mojż. 5, 1-2):

"[...] Kiedy Bóg stworzył człowieka, na podobieństwo Boże uczynił go.

Jako mężczyznę i niewiastę stworzył ich oraz błogosławił im i nazwał ich ludźmi, gdy zostali stworzeni."

Mogło to nastąpić - takie jest moje przypuszczenie - w drodze sztucznej mutacji kodu genetycznego euhominidów dokonanej przez przedstawicieli cywilizacji pozaziemskiej. Wskutek tego nowi ludzie od razu otrzymali swoiste cechy, takie jak świadomość, pamięć, inteligencję czy umiejętności rzemieślnicze i techniczne.

W nowszym z biblijnych opisów stworzenia świata (I Mojż. 2, 21-23)

znajdujemy inną wersję dzieła stwarzania kobiety:

"Wtedy zesłał Pan Bóg głęboki sen na człowieka, tak że zasnął. Potem wyjął jedno z jego żeber i wypełnił ciałem to miejsce.

A z żebra, które wyjął z człowieka, ukształtował Pan Bóg kobietę i przyprowadził ją do człowieka.

Wtedy rzekł człowiek: Ta dopiero jest kością z kości (sic!) moich i ciałem z ciała (sic!) mojego. Będzie się nazywała mężatką, gdyż z męża została wzięta."

Jest rzeczą jak najbardziej możliwą, że kobietę stworzono z mężczyzny. Trudno jednak przyjąć, by Ewa dzięki czarnoksiężskiej sztuczce - po zabiegu chirurgicznym? - rozwinęła się w nagą piękność z wyjętego z męskiej klatki piersiowej żebra! Być może powstała dzięki męskiej komórce nasiennej, Ponieważ jednak wedle biblijnej Genesis w raju nie było innej istoty żeńskiej, która mogłaby donosić zapłodnioną komórkę, Ewa tnsiała zostać wyhodowana w "próbówce". Po dziś dzień zachowały się pewne rysunki naskalne, na których w pobliżu wizerunków pracźlowieka widać jakieś przypominające chemiczną kolbę twory. Czyżby zatem znacznie bardziej od nas zaawansowani naukowo przedstawiciele obcej cywilizacji, znając reakcje immunobiologiczne, wykorzystali kość Adama, a może szpik kostny, jako kulturę komórkową, umieszczając w niej zarodek i doprowadzając do jego rozwoju. Oczywiście stosunkowo łatwo dostępne w ludzkim ciele zebro byłoby przy tym biologicznie jak najbardziej prawdopodobnym akcie stworzenia odpawiednim pojemnikiem. Jest to jedynie spekulacja

cja, lecz absolutnie umotywowana na tle wiedzy jaką dysponuje
dzisiejsza nauka.

Ponieważ także w Biblii Ewa dość nagle zostaje Adamowi dana na
towarzyszkę życia, w świetle przedstawionej przeze mnie hipotetycznej
wizji sztucznego stworzenia kobiety równie nagle wizerunek kobiety
powinien pojawić się w malowidłach naskalnych bądź wizerunkach
rzeźbionych na kości przez ludzi epoki kamiennej. I rzeczywiście
przypuszczenie takie znajduje rozliczne potwierdzenia: dopiero bowiem
w starszej epoce kamiennej pojawiają się tak zwane "bóstwa-matki".
Figurki kobiece z epoki kamiennej znaleziono m.in. w La Gravette,
Leussel i Lespugue we Francji, w Cukurca w południowej Turcji,
w Kostienkach koło Woroneża, w Willendorf w Austrii i Petersfels
w Niemczech.

Wszystkie te kobiece figurki określa się pochlebny mianem "We-
nus". W przypadku niemal każdej z nich artysta położył największy
nacisk na uwydatnienie cech płciowych i uwidocznienie ciąży. Archeo-
logowie zaliczają te kobiece figurki z epoki kamiennej do kultury La
Gravette. Nie dowiemy się już, jakiemu mogły służyć celowi, ani też
dlaczego wszystkie bez wyjątku pojawiają się dopiero w plejstocenie.
Można przypuścić, że proces powstawania praczłowika w różnych
częściach naszego globu przebiegał w różny sposób: w drodze zamierzo-
nych mutacji kodu genetycznego euhominidów oraz sztucznego stworze-
nia istoty żeńskiej hodowanej w probówce.

Mimo to "nowi" ludzie znów parzyli się potem ze zwierzętami. Tymi

występkami trzeba chyba obciążyć prehistorycznego Adama, ponieważ tylko on mógł pamiętać, że kiedyś parzył się z małpami. Po przeprowadzeniu sztucznej mutacji krzyżówki miały następować tylko między nowymi ludźmi, ponieważ każdy "skok w bok" do poprzednich "małpich" partnerów, jeśli prowadził do ciąży, oznaczał regres. Czy nie można się w tym dopatrywać grzechu pierworodnego? Czyż bowiem nie mamy tu niejako do czynienia z grzechem przeciwko właściwym dla nowego gatunku komórkom?

W kilka tysięcy lat później "bogowie" - bgdzie jeszcze o tym mowa - skorygowali ten "grzech pierworodny" niszcząc człekopodobne zwierzęta, odsiewając od nich dobrze zachowaną grupę nowych ludzi i wszczepiając jej w drodze drugiej sztucznej mutacji nowy materiał genetyczny.

Również dla paleontologii nagłe, nieomal błyskawiczne wyłonienie się neantropów, czyli tej grupy hominidów, do której należymy, z rodziny prehominidów charakteryzujących się jeszcze formami przedludzkimi stanowi nie rozwiązana zagadkę. Proces ten próbuje się na razie wyjaśnić mówiąc o samoistnej mutacji.

Jeśli w naszych spekulacjach na temat sztucznej zamierzonej mutacji przeprowadzonej przez obce istoty inteligentne przyjmujemy datowania paleoantropologiczne wyznaczające najistotniejsze zmiany, jakim podlegali nasi praprzodkowie, to pierwsza sztuczna mutacja musiała mieć miejsce 20 do 40 tysięcy lat przed Chrystusem. Druga z kolei przypadłaby już na czasy nam bliższe, mianowicie 3500 do 7000 lat przed

Chrystusem.

Jeśli przyjmę te daty, to pierwsza "wizyta bogów" musiałaby przypadać mniej więcej na okres, kiedy pojawiły się pierwsze przedstawienia plastyczne i figurki kobiet.

Kompetentna nauka wzbrania się przed tak odległymi datowaniami.

Ale czyż akceptowane przez naszą dzisiejszą naukę bez zastrzeżeń zjawisko dylatacji czasu nie obowiązywało w każdym punkcie naszych dziejów?

We wszystkich planowanych na dziś i na przyszłość lotach kosmicznych dylatacja jest wielkością wiadomą. Zasada ta została wprawdzie "odkryta" dopiero w naszej epoce, ale ponieważ jest zasadą, obowiązywała przecież od zawsze, a więc także dla "bogów", którzy mogli przybyć na Ziemię statkami kosmicznymi rozwijającymi prędkość zbliżoną do prędkości światła.

Czy nie nadszedł już właściwy moment, by także antropologia zechciała wreszcie zauważyć to zweryfikowane przez naukę zjawisko?

Czyż nie wyjaśniłoby to za jednym zamachem wielu jakże zagadkowo wyglądających kwestii dotyczących powstania i nabycia inteligencji przez naszych przodków?

Od chwili ich ostatniej bytności na Ziemi dla "bogów" wcale nie upłynęła wieczność! Jeśli złożyli wizytę na naszej planecie tysiące ziemskich lat temu, to dla załogi statku kosmicznego może to oznaczać

zaledwie kilka dziesięcioleci...

Dla kogoś, kto uzna prawdziwość zasady dylatacji czasu także dla kosmonautów z innych planet, natychmiast stanie się jasne, że ci sami "bogowie", którzy z Homo sapiens stworzyli kobietę, mogli być tymi, którzy przekazali Mojżeszowi skomplikowane techniczne wskazówki dotyczące budowy Arki Przymierza.

Wiem, że trudno to pojąć, ale tak właśnie mogło być. Pozwolę sobie jeszcze raz podkreślić, że wszystko to wcale nie musi być spekulacją.

Astronomia już od dłuższego czasu z powodzeniem radzi sobie z tymi osobliwymi przesunięciami czasu. Właściwie chodzi już tylko o to, aby również archeologia i paleoantropologia uznały ten czynnik...

III. "Niedzielny" badacz zadaje pytania...

To wielki przywilej, kiedy człowiek jako "niedzielny badacz" i laik wolny od "obciążeń" znawców przedmiotu może puścić wodze fantazji i zadawać pytania, które w pierwszej chwili zbijają specjalistów z pantafyku. Oczywiście korzystam z tego przywileju wstrząsając fundamentem, na którym spoczywa wiele koncepcji dotyczących naszej prehistorii obłożonych akademickim tabu. Niedzielni badacze są jak

wiadomo nieprzyjemnie skrupulatni. Bardzo dużo zbierają, czytają i podróżują, ponieważ lubią, by ich pytania były strzałami o ostrzach z najlepszej stali, w nadziei, że trafią nimi w dziesiątkę...

Instytut Badań Elektroakustycznych w Marsylii przeniósł się wiosną 1964 roku do nowego budynku. W kilka dni po przeprowadzce wielu współpracowników profesora Vladimira Gavreau zaczęło się skarżyć na bóle głowy, mdłości i swędzenie skóry, wielu było tak osłabionych, że trzęśli się jak osiki. Ponieważ instytut zajmował się problemami elektroakustyki pojawiło się podejrzenie, iż złe samopoczucie wywołuje jakieś niekontrolowane promieniowanie powstające w laboratoriach.

Naukowcy przebadali budynek od piwnic po strychy niezwykle czułymi przyrządami szukając przyczyny złego samopoczucia pracowników instytutu. I znaleźli ją. Okazało się jednak, że nie było to żadne niekontrolowane promieniowanie elektryczne, tylko fale dźwiękowe o bardzo niskiej częstotliwości wytwarzane przez jeden z wentylatorów i wprawiające cały budynek w drgania infradźwiękowe!

Zagrał tu jeden ze szczęśliwych zbiegów okoliczności, które jakże często pomagają nauce. Otóż profesor Gavreau od 20 lat zajmował się badaniem fal dźwiękowych.

Po tym incydencie powiedział on sobie, że zjawisko wywołane "nieumyślnie" przez wentylator można przecież z pewnością wytworzyć także doświadczalnie. W ten sposób wybudował ze swoimi współpracownikami pierwsze działo dźwiękowe świata. Do kratownicy przymocowano 61 węży, przez które równomiernie tłoczono sprężone

powietrze aż do uzyskania ledwie słyszalnego dźwięku o częstotliwości 196 herców. Rezultat okazał się druzgocący: ściany świeżo postawionego budynku zarysowały się, żołądki i wnętrzości obecnych w laboratorium naukowców wpadły w bolesne drgania. Urządzenie trzeba było natychmiast wyłączyć.

W konsekwencji tego pierwszego eksperymentu profesor Gavreau zbudował osłony dla obsługi i skonstruował prawdziwą "trąbę śmierci" o mocy 2000 watów, wytwarzającą fale akustyczne o częstotliwości 37 herców. W Marsyli nie można było wypróbować tej konstrukcji na pełną moc, ponieważ spowodowałyby to runięcie w gruzy budynków w promieniu kilku kilometrów. Obecnie trwają prace przy budowie "trąby" o długości 23 metrów, która ma wytwarzać fale akustyczne nawet o śmiertelnej częstotliwości 3,5 herca.

Pomijając przerażającą wizję przyszłych zastosowań takiej "trąby śmierci", przed oczami staje nam pewne wydarzenie ze starożytności...

Kiedy naród wybrany suchą stopą przekroczył wody rzeki Jordan i rozpoczął oblężenie bronionego przez siedmiometrowej grubości mury miasta Jerycho, jego kapłani otrzymali skomplikowaną instrukcję dęcia w "trąby". W Księdze Jozuego (6, 20) czytamy:

"[...] A gdy lud usłyszał głos trąb [...] mur rozpadł się w miejscu, lud zaś wkroczył do miasta, każdy prosto przed siebie [...]"

Ani siła wszystkich kapłańskich płuc ani wielotysięczny chór trąb nie zdołałyby zdmuchnąć siedmiometrowych murów! Za to - jak już dziś wiemy - fale akustyczne o niszczycielskiej częstotliwości z powodze-

niem mogły obrócić je w ruinę.

W polemice przed mikrofonami szwajcarskiego radia pani dr Mot-
tier, archeolog z Uniwersytetu Berneńskiego oświadczyła mi, że nigdy
w naszych dziejach nie było olbrzymów, że nie znaleziono jak dotąd
żadnych skamieniałości pozwalających wysnuć wniosek o istnieniu
jakiejs prehistorycznej rasy olbrzymów.

Przeciwnego zdania jest natomiast dawny francuski delegat Towarzy-
stwa Prehistorycznego, dr Lovis Burkhalter, który w roku 1950 na
łamach "Revue du Musee de Beyrouth" napisał: "Trzeba w tym miejscu
jasno powiedzieć, że istnienie gigantycznych istot ludzkich w epoce
aszelskiej uznać trzeba za rzecz naukowa potwierdzoną."

Co zatem jest prawdą? Znajdziano narzędzia nadzwyczajnej wielko-
ści. Ludzie normalnego wzrostu nie mogliby się nimi posługiwać.

Archeologowie wykopali w pobliżu Sasnych (6 km od Safita w Syrii)
tłuki pięściawe a wadze 3,8 kg. Nie od macochy są także tłuki znalezione
w Ain Fritissa (wschodnie Maroko): długie na 32 cm, szerokie na 22 cm,
waga 4,2 kg. Przyjmując proporcje czławieka normalnego wzrostu
istoty zdolne posługiwać się takimi nieporęcznymi narzędziami musiały-
by mieć około 4 metrów wzrostu.

Oprócz wspomnianych narzędzi co najmniej trzy inne uznane nauko-
wo znaleziska świadczą o istnieniu w prehistorycznych czasach olb-
rzymów:

1. Olbrzym z Jawy.
2. Olbrzym z południowych Chin.
3. Olbrzym z południowej Afryki (Transwal).

Jakiej rasy byli przedstawicielami?

Czy były to pojedyncze osobniki?

Czy były to produkty błędnie zaprogramowanej mutacji?

Czy byli to bezpośredni potomkowie obcych kosmonautów?

Czy były to wytworzone za pomocą nowego kodu genetycznego

szczególnie inteligentne istoty o wysokiej wiedzy technicznej?

Na podstawie znalezionych skamieniałości nie sposób sformułować

spójnych odpowiedzi na moje pytania. Znaleziska są zbyt fragmen-

taryczne, by mogły posłużyć za cegiełki do skonstruowania prawdziwej

genealogii. Czy w ogóle gdziekolwiek na świecie prowadzi się sys-

tematyczne badania pod tym kątem? Od czasu do czasu ogłasza się

sensacyjne odkrycia, ale prawie zawsze znaleziska są całkowicie przy-

padkowe.

Starożytne dokumenty natomiast - a nie ma powodu im nie wierzyć

- jednoznacznie potwierdzają istnienie w pradawnych czasach olb-

rzymów. W Pierwszej Księdze Mojżeszowej, w rozdziale 6, wersecie

4 czytamy:

"A w owych czasach, również i potem, gdy synowie boży obcowali

z córkami ludzkimi, byli na ziemi olbrzymi, których im one rodziły.

To są macarze, którzy z dawien dawna byli sławni."

Obrazowy opis znajdujemy w Czwartej Księdze Mojżeszowej, roz-

dział 13, werset 33:

"Widzieliśmy też tam olbrzymów, synów Anaka, z rodu olbrzymów, i wydawaliśmy się sobie w porównaniu z nimi jak szarańcza, i takimi też byliśmy w ich oczach."

W Piątej Księdze Mojżeszowej, w rozdziale 3, werset 11, są nawet dane pozwalające w przybliżeniu oszacować wymiary tych istot:

"Gdyż ów Og, król Aszanu, był ostatnim z rodu olbrzymów; wszak jego grobowiec, grobowiec żelazny znajduje się w Rabbat synów Ammonowych, a ma dziewięć łokci długości, cztery łokcie szerokości według zwykłego łokcia męskiego."

Łokiec hebrajski mierzy prawie 48,4 cm!

Ale nie tylko w księgach Mojżeszowych jasno i wyraźnie mówi się o olbrzymach. Również powstałe później księgi Starego Testamentu podają opisy tych superludzi. Autorzy tych ksiąg żyli w różnych czasach i w różnych miejscach, nie mogli się więc ze sobą umówić. Równie mało prawdopodobne jest - jak próbują niekiedy dowodzić teologowie - by motyw olbrzymów wpleciono w teksty dopiero później, by stworzyć symbole "zła". Gdyby owi apologeti bliżej przyjrzeliby się biblijnym tekstom, musieliby zauważyć, że olbrzymy pojawiają się zawsze przy okazji wykonywania jak najbardziej praktycznych zadań - na przykład w czasie wojen i pojedynków - nigdy natomiast przy okazji roztrząsania pojęć moralnych czy moralnego zachowania.

Zresztą dokumentacja dotycząca starożytnych olbrzymów zawarta jest nie tylko w Biblii. Również Majowie i Inkowie podają w swoich

mitach, że pierwsze plemię stworzone przez "bogów" po potopie było plemieniem olbrzymów. Imiona dwóch najważniejszych olbrzymów brzmią Atlan (Atlas) i Theitani (Tytan).

Podobnie jak "latający bogowie" olbrzymy przewijają się przez wszystkie podania, legendy i święte księgi na całym świecie. W żadnym z tych źródeł jednak olbrzymy nie były stawiane na równi z bogami.

Pewna istotna ułomność trzymała je na ziemi: olbrzymi nie umieli mianowicie latać! Wyłącznie kiedy jakiś olbrzym określany jest jednoznacznie jako potomek "boga" zabierany bywa w podniebną podróż.

Ogólnie rzecz biorąc w stosunku do bogów olbrzymy są zawsze posłuszne i spełniają funkcje służebne, wypełniają boskie polecenia, wreszcie zaczyna się je określać mianem "głupich istot" i stopniowo ślad po nich całkowicie znika z literatury.

Poważny badacz, profesor Denis Saurat, dyrektor Centre International d'Etudes Francaises w Nicei, podążył śladami olbrzymów.

Potwierdza on jednoznacznie ich istnienie w dawnych czasach, zresztą nawet badacze, którzy żywią pewne wątpliwości prędzej czy później muszą zastanowić się nad gigantycznymi grobami, menhirami, zbudowanymi z pionowo ustawionych, grubo ciosanych bloków skalnych o wysokości nawet 20 metrów, nad dolmenami, czyli zbudowanymi z masywnych bloków komorami grobowymi, czy też nad innymi pomnikami megalitycznymi, nie mówiąc już po prostu o nie wyjaśnionej kwestii osiągnięć technicznych, jakimi były obróbka i transport gigantycznych kawałów skał. I właśnie tutaj, w tym przybytku niewyjaś-

nionego, kryje się dla mnie oczywisty dowód na to, że olbrzymy musiały istnieć. Sprawa wszystkich tych gigantycznych dzieł architektonicznych, kunsztownie obrobionych skalnych bloków, które możemy po dziś dzień podziwiać, tylko wówczas da się przekonująco wyjaśnić, kiedy za ich twórców uznamy olbrzymów lub istoty dysponujące nie znaną nam techniką.

W czasie swoich podróży stając przed prehistorycznymi świadectwami zawsze zadawałem sobie pytanie: Czy wolno nam zadowalać się dotychczasowymi interpretacjami i objaśnieniami tych cudów? Czy wspólnym wysiłkiem nie powinniśmy się zdobyć na odwagę, by zweryfikować (ewentualną) realność początkowo utopijnie brzmiących przypuszczeń?

W czasie swojej ostatniej podróży po Peru w roku 1968 wraz z moim przyjacielem Hansem Neunerem ponownie odwiedziłem megalityczne budowle Sacsayhuaman ("jastrzębie skały"), znajdujące się ok.

3500 - 3800 m n.p.m. na obrzeżach dawnej inkaskiej twierdzy Cuzco.

Z miarką i aparatem fotograficznym zbliżyliśmy się ponownie do tych ruin, które nie są ruinami w potocznym rozumieniu tego słowa, nie ma tu bowiem trudnych do zdefiniowania zwałów potrzaskanego kamienia, nie ma mało czytelnych resztek jakichś historycznych budowli. Skalny labirynt Sacsayhuaman sprawia wrażenie postawionej przy użyciu wyrafinowanej techniki superbudowli. Komuś, kto przez cały dzień wspinał się w rozrzedzonym powietrzu tego płaskowyżu wśród kamien-

nych gigantów, pieczar i monumentalnych skalnych bloków, kto dotykał gładkich, perfekcyjnie obrobionych murów, trudna zaakceptować wyjaśnienie, iż wszystko to zostało wykonane w zamierzonych prehistorycznych czasach ręką ludzką za pomocą moczonych w wodzie drewnianych klinów oraz zwyczajnych kamiennych pięściaków.

Oto jeden tylko z obmierzonych przez nas przykładów. Z granitowego bloku - 11 m wysokości, 18 m szerokości, jakby wyrwanego ze skalnej ściany - wycięto czworościan o wysokości 2,16 m, szerokości 3,40 m i głębokości 0,83 m. Pierwszorzędna robota! Nic tu nie zostało wykruszone, byle jak wyrąbane, nie ma żadnych nierówności ani śladów partackiej obróbki. Jeśli nawet resztką wiary jesteśmy skłonni przyjąć możliwość, że jacyś szczególnie biegli w rzemiośle kamieniarze w toku wieloletniej pracy zdołali oddzielić od skalnej ściany cztery boki giganta, to przecież w końcu i tak stajemy bezradni przed pytaniem, w jaki to sposób sprytni kamieniarze poradzili sobie z oddzieleniem tylnej ściany czworościanu? Jest rzeczą dowiedzioną, że prace wykonano w czasach preinkaskich. Wtedy kamieniarze nie mieli chyba jeszcze do dyspozycji wrębiarek, jakich używa się dziś do wycinania skał na tunele metra! Prawdopodobnie nie dysponowali też wiedzą chemiczną, która pozwoliłaby im oddzielać skalne bloki za pomocą kwasów...

A może jednak tak?

Wchodziliśmy do licznych skalnych grat o długości 60 do 80 m. Ich prosty niegdyś przebieg został zakłócony jakby przez jakąś pierwotną siłę, korytarze są częściowo zniszczone bądź przemieszczane. Długie

odcinki ścian i stropów zachowały się w całości. Perfekcją wykonania spokojnie mogą konkurować z najlepszymi współczesnymi odlewami z betonu. Nic tu nie jest składane z kawałków, nie ma części łączonych jakąś zaprawą - wszystko jest jak "odlane z jednego kawałka".

Krawędzie mają kąty proste i są ostre jak noże. Szerokie na 20 cm granitowe listwy układają się jedna nad drugą tak równiutko, jakby dopiero wczoraj usunięto drewniane szalunki.

Przechodziliśmy przez korytarze i komory wyprostowani, w ciągłym napięciu, jaka niespodzianka czeka nas przy następnym rozgałęzieniu.

Bez przerwy przywoływałem na pamięć dotychczasowe wyjaśnienia archeologów na temat tego cudu techniki budowlanej, ale jakoś nie chciały mi trafić do przekonania. O wiele bardziej prawdopodobne wydaje się, że w czasach prehistorycznych musiały się tu znajdować dopracowane do ostatniego szczegółu fortyfikacje. Wszystkie te bezbłędnie abrobione kamienne kolosy mogły stanowić elementy megalitycznej budowli. Przypuszczalnie, gdyby przeprowadzono tu systematyczne badania, dałoby się odsłonić cały kompleks bądź go zrekonstruować.

Oczywiście zastanawialiśmy się także, czy nie ma jakiegoś konwencjonalnego wyjaśnienia dlaczego budowla z Sacsayhuaman obróciła się w "pole ruin".

Erupcje wulkanu? Nigdzie w pobliżu żadnej nie było.

Przesunięcia skorupy ziemskiej? Ostatni silny wstrząs miał tu podobno miejsce 200 tysięcy lat temu.

Trzęsienie ziemi? Raczej mało prawdopodobne, aby ono poczyniło tego rodzaju szkody, w których widać jeszcze tyle porządku w nieporządku. Dodatkowe znaki zapytania przy tych wszystkich pytaniach biorą się z faktu, że obrobione granitowe bloki wykazują w dodatku zeszkliwienie powstające wyłącznie pod działaniem szczególnie wysokich temperatur.

Kaprys natury? Granitowe bloki mają precyzyjnie wykonane rowki, ponadto widać w nich otwory mocowań, zupełnie jakby bloki te zostały oderwane jedne od drugich.

Ani archeologowie z miasta Cuzco, ani ich koledzy z muzeów w Limie nie potrafili podać mi zadowalającego wyjaśnienia badanych przez nas tworów.

- Preinkaskie, albo może nawet z kultury Tiahuanaco - twierdzili.

Oczywiście to żadna hańba czegoś nie wiedzieć. Na temat obrobionych skał, które widzieliśmy w Sacsayhuaman nie wiadomo w każdym razie nic pewnego. Pewne jest tylko, że cały kompleks wykonały w nie znanym czasie nie znanymi metodami nie znane nam bliżej istoty. Pewne jest, że kompleks ten istniał już zanim powstała słynna inkaska twierdza Synów Słońca i że został zniszczony przed wybudowaniem tych inkaskich fortyfikacji.

To samo dotyczy Tiahuanaco w Boliwii.

Przestudiowałem mnóstwo książek, z których dowiedziałem się zdumiewających rzeczy na temat Tiahuanaco. Wszystkie jednak opisy błędne, kiedy się to widzi na własne oczy. Czytałem też to i owo na temat

osobliwych "wodociągów", które znaleziono w Tiahuanaco. Nimi właśnie szczególnie się zainteresowałem w czasie ostatniej wyprawy na płaskowyż.

Tak więc znalazłem się oto po raz drugi w Tiahuanaco, 4 tysiące metrów nad poziomem morza. W czasie ostatniej bytności poświęciłem "wodociągom" zbyt mało czasu. Tym razem chciałem nadrobić to niedopatrzenie.

Pierwsze zadziwiające fragmenty "przewodów" znalazłem w murze zrekonstruowanej świątyni. Uważnie przestudiowaliśmy ten detal: wmontowano go na chybił trafił. Przewód tkwił w ścianie zupełnie bez sensu. Wyglądał co najwyżej dekoracyjnie, jakby wykonano go z myślą o turystach.

Kiedy udało mi się potem dotknąć "rur wodociągowych" w innym miejscu, potwierdziło się to, co o nich czytałem: mają absolutnie nowoczesną formę, gładki obrys z polerowanymi powierzchniami w środku i od zewnątrz, równe krawędzie. Wgłębienia i rowki poszczególnych odcinków są dokładnie do siebie dopasowane. Można je ze sobą zestawiać jak klacki.

O ile zdumiewa już sama technika i rzemieślnicza precyzja tych dzieł, które archeologia przypisuje preinkaskim plemionom, o tyle człowiek doprawdy nie wie już, co myśleć, kiedy widzi, że to, co dotychczas skatalogowano jako "przewody wodociągowe" istnieje także w wersji podwójnej! Jeden przewód wodociągowy byłby już majstersztykiem, a co dopiero wykonane z jednego kamienia podwójne przewody! I to

podwójne przewody o idealnie wyszlifowanych elementach narożnych!

Jakjednak wytłumaczyć, że znaleziono jedynie górne połowy przewo-
dów?

W przypadku "wodociągów" można przecież zrezygnować co naj-
wyżej z górnej części, nigdy natomiast z dolnej!

Czy te kamienne przewody w ogóle służyły jako "wodociągi"?

A możejest zupełnie inne, na pierwszy rzut oka oczywiście fantastycz-
ne wyjaśnienie?

Legendarne przekazy oraz zachowane rysunki naskalne pozwalają
przypuszczać, że "bogowie" przybywali do Tiahuanaco na narady
zanim jeszcze został stworzony człowiek. W języku naszej epoki lotów
kosmicznych oznacza to, że obcy astronauta zbudowali sobie na
boliwijskim płaskowyżu główną bazę. Dysponowali wysoko rozwiniętą
techniką, tak jak my dysponujemy dziś laserowym promieniem, frezami
wibracyjnymi, elektronarzędziami. Przy pomocy tej techniki wykonali
szereg zwykłych użytkowych budowli. Czy w tej sytuacji "przewody
wodociągowe" nie były raczej osłanami kabli energetycznych łączących
poszczególne kompleksy budynków?

Istoty, które potrafiły wykonać rury takie jak te z Tiahuanaco,
musiały dysponować znakomitymi umiejętnościami technicznymi. Is-
toty o tym stopniu inteligencji nie mogły być tak głupie, aby robić
przewody wodociągowe z podwójnych rur, skoro w o wiele mniej
skomplikowanym procesie obróbki i przy znacznie mniejszym nakładzie
pracy mogły w tym samym kamieniu wywiercić po prostu większy

otwór, przez który przepływałyby podwójna ilość wody. Inteligentne istoty o takich zdolnościach nie wybrałyby poza tym do transportu wody konstrukcji o prostopadłych załamaniach, ponieważ wiedziałyby, że spowoduje to zahamowanie biegu wody i zbieranie się zanieczyszczeń. No i oczywiście technicy ci do transportu wody wykonaliby także dolne części rur.

Kiedy w latach trzydziestych XVI w. hiszpańscy zdobywcy pytali tubylców o budowniczych Tiahuanaco, ci nie potrafili nic o nich powiedzieć. Wspominali tylko o starej legendzie, wedle której Tiahuanaco było miejscem, gdzie "bogowie" stworzyli człowieka. Przypuszczam, że ci sami "bogowie" stworzyli także kamienne przewody, i że wcale nie były to przewody wodociągowe.

W przypadku wszystkich znalezisk archeologowie i antropolodzy starają się przede wszystkim je datować. Kiedy już znalezisko zostanie datowane, otrzymuje swoje przewidziane z góry miejsce w systemie dotychczasowej wiedzy. No i oczywiście swój numer katalogowy.

Najprecyzyjniejszą jak dotąd metodą, jaką posługuje się nauka, jest oznaczanie za pomocą węgla C-14. Stosuje się ją wychodząc z założenia, iż w naszej atmosferze zawarta jest stała ilość radioaktywnego izotopu węgla pierwiastkowego C o ciężarze atomowym 14. Izotop ten wchłaniany jest przez rośliny, tak że drzewa, korzenie, liście i źdźbła traw zawierają go w stałych ilościach. Wszystkie organizmy żywe z kolei

wchłaniają w tej czy innej formie części roślin, tak że również ciała ludzi i zwierząt zawierają stałą ilość węgla C-14. Każda substancja radioaktywna ma ściśle określony czas połowicznego rozpadu, o ile nie zostaną do niej doprowadzone nowe substancje radioaktywne. U człowieka i zwierzęcia rozpad ów zaczyna się w chwili śmierci, w przypadku roślin w momencie zerwania bądź spalania. Dla izotopu węgla C-14 czas połowicznego rozpadu wynosi około 5600 lat, co oznacza, że po upływie 5600 lat od chwili śmierci żywego organizmu pozostanie w nim już tylko połowa pierwotnej zawartości węgla C-14, po 11200 latach jedna czwarta, po 22400 latach jedna ósma i tak dalej. Ilość węgla C-14 w skamieniałej materii organicznej ustala się w drodze skomplikowanych badań laboratoryjnych. Uzyskane w ten sposób dane porównuje się ze stałą ilością izotopu C-14 w atmosferze otrzymując w ten sposób informację na temat wieku znalezionej kości czy kawałka węgla drzewnego.

Jeśli skosić i spalić trawy porastające pobocza autostrad, to popiół badany metodą oznaczania węgla C-14 okaże się mieć dziesiątki tysięcy lat. Dlaczego? Rośliny dzień w dzień wchłaniają wydobywający się z rur wydechowych przejeżdżających autostradą samochodów dwutlenek węgla powstający w procesie spalania ropy naftowej, która z kolei pochodzi z materii organicznej, która przed milionami lat przestała pobierać z atmosfery izotop C-14. Dlatego właśnie ścięte w jakimś okręgu przemysłowym drzewo może mieć według ilości słoików lat powiedzmy 50, a po próbie z węglem C-14 mogłoby się

okazać, że trzeba by je "zasadzić" w jakiejś niewyobrażalnie zamierzonej przeszłości.

Wątpię w precyzję a tym samym niezawodność tej metody. Dotychczasowe pomiary opierają się na założeniu, że ilość izotopu węgla C-14 w atmosferze zawsze jest i zawsze była stała.

Kto jednak może to wiedzieć na pewno?

A co będzie, jeśli to założenie jest błędne? W swojej książce

Wspomnienia z przyszłości wspominałem o starych tekstach, w których jest mowa o tym, że bogowie umieli wytworzyć gigantyczne temperatury, takie jakie powstać mogają jedynie w wyniku eksplozji jądrowej, oraz że posługiwali się radioaktywną bronią. W eposie o Gilgameszu Enkidu umiera, ponieważ "omiótł go jadowity oddech niebiańskiej bestii". W Mahabharacie znajdujemy opis, jak wojownicy rzucają się do wody, aby obmyć zbroje, gdyż wszystko było zatrute "śmiertelnym tchnieniem bogów".

A gdyby tak we wszystkich tych wypadkach, jak również w wypadku tajemniczego wybuchu w syberyjskiej tajdze 30 czerwca 1908 roku naprawdę chodziło o eksplozję jądrową?

Gdziekolwiek i kiedykolwiek - włącznie z Hiroszimą oraz wszystkimi próbami nuklearnymi w atolu Bikini, w Związku Radzieckim, USA, na Saharze i w Chinach - uwalnia się do atmosfery substancje radioaktywne, zawsze musi to w konsekwencji zachwiać równowagą zawartości izotopu C-14. Rośliny, ludzie i zwierzęta miały wówczas i mają więcej węgla C-14 w komórkach niż wynosiła i wynosi przy-

jmowana w pomiarach za niezmienną stałą jego zawartości w atmosferze. Tej tezy nie da się raczej podważyć. Jeśli ją przyjmujemy, to wówczas należy podać w wątpliwość tak zwane "precyzyjne" naukowe datowania. W naszej teorii o wizycie obcych astronautów operujemy tak rozległymi planami czasowymi, że bardzo łatwo mogą się do nich zakcaść "niewielkie" błędy rachunkowe, przy czym taki "niewielki" błąd bardzo łatwo może przyjąć rozmiary nawet 20 tysięcy lat i więcej! To właśnie jest powód, dla którego tak sceptycznie podchodzę do sięgających w bardzo odległą przeszłość datowań. Weźmy dla przykładu "sprawę" Tiahuanaco. Jeśli obcy kosmonauci odlecieli stamtąd po wykonaniu swoich zadań, to na pewno nie pozostawili po sobie dla archeologów i antropologów żadnych skamieniałości. Nowocześnie wyposażeni nie musieli się grzać przy ogniskach, a swoje kości zabrali ze sobą. Nie zostawili więc żadnych dających się datować śladów! Kości i resztki węgla drzewnego, które znajduje się w miejscach przypuszczalnego lądowania tych kosmonautów, a następnie analizuje i datuje, pochodzą zatem od ludzi, którzy osiedlili się w ruinach twierdzy bogów tysiące lat później. Uważam za błąd przyjmowanie założenia, iż wykopywane w tych miejscach kości są szczątkami budowniczych Tiahuanaco. Stawiam nowe pytania, ponieważ nie wystarczą mi stare odpowiedzi.

Archeologia jako dyscyplina naukowa istnieje dopiero od 200 lat. Od tego czasu jej przedstawiciele z podziwu godną wytrwałością gromadzą monety, gliniane tabliczki, fragmenty urządzeń, skorupy naczyń, figu-

rki, rysunki, kości i wszystko co wpadnie im pod łopatę. Starannie porządkują znaleziska w pewien chronologiczny układ, który można uznać za względnie poświadczony co najwyżej do 3500 lat wstecz.

Wszystko, co sięga głębiej, skryte jest za zasłoną domysłów i przypuszczeń. Nikt nie wie i nikt nie może na pewno twierdzić, co umożliwiło naszym praprzodkom sięgnięcie po szczyty techniki i architektury.

Podobno siłą napędową, dzięki której powstało wiele niezwykłych budowli miała być tęsknota do "bóstwa", chęć przypodobania się "bogom", wypełnienie nałożonych na ludzi przez "bogów" obowiązków.

Tęsknota do "bogów"?

Do jakich "bogów"?

Wypełnić nałożone przez "bogów" obowiązki?

Jacy to "bogowie" nałożyli na ludzi te obowiązki?

"Bogowie" muszą umieć dokonywać rzeczy zdumiewających, muszą umieć znacznie więcej niż wszystkie inne istoty. Wymyśleni "bogowie" tworzy tylko i wyłącznie wyobraźni, nie utrzymaliby się długo w świadomości gatunku ludzkiego. Dlatego jestem zdania, że "bogowie" o których mowa, musieli być realnymi istotami, tak mądrymi i potężnymi, że wywarły na naszych praprzodkach głębokie wrażenie przez całe wieki pozostając w świecie myśli i wierzeń człowieka.

Któż zatem ukazał się prehistorycznym plemionom?

Powinniśmy mieć odwagę wątplenia i wiary w wyobraźnię. Niestety po dziś dzień aktualne są słowa Heraklita z Efezu (ok. 500 r. przed Chr.),

który powiedział: "Przez niedowiarstwo prawda pozostaje nie poznana."

Na wschód od stolicy Peru, Limy, na stokach Cajamarquilla rozciąga się pole ruin. Budujące tam drogę żarłoczne buldożery codziennie niszczą nie uwzględnione jeszcze we właściwym stopniu przez naukę świadectwa ludzkiej przeszłości.

Przernierzyliśmy ten spustoszony teren. Nikt nie musiał nam pokazywać osobliwości, dosłownie co krok się o nie potykaliśmy. Oto bowiem zobaczyliśmy setki jednoosobowych dziur w ziemi, podobnych do okopów żołnierzy t■ietcongu, jakie znamy z czasopism ilustrowanych i telewizyjnych reportaży. Nie mamy odwagi twierdzić, że również te dziury z Cajamarquilla wykopano niegdyś dla ochrony mieszkańców przed atakami z powietrza. Nie wolno nam nawet tak twierdzić, ponieważ jak wiadomo, przed nastaniem XX w. ataki z powietrza w ogóle nie były możliwe.

Każda z dziur w Cajamarquilla ma przeciętnie średnicę 0,60 m i głębokość 1,70. Na jednej tylko drodze naliczyłem 209 (sic!) takich dziur. Musiały niegdyś służyć - bo jakże inaczej wytłumaczyć tak ogromny nakład pracy? - jakiemuś bardzo praktycznemu i nader ważnemu celowi,

A jakie proponuje nam się wyjaśnienie tego znaleziska?

Dziury miały być podobno małymi silosami na ziarno!

Zważywszy dostosowane do rozmiarów człowieka gabaryty tych

dziur, wyjaśnienie to wydaje się nvezbyt przekonujące. Oczywiście, że można takie dziury napęlnić ziarnem. Ale czy wskutek naturalnej wilgotności gleby i powstającego w samych ziarnach ciepła nie zaczęło- by ono wkrótce kiełkować czy wręcz gnić? No i jak potem wybrać ziarno z wąskich "silosów"?

Z braku ziarna zapełniliśmy jedną z takich dziur piaskiem. Próbo- waliśmy potem rękami wydobyć go z powrotem z ziemi. Jedna trzecia głębokości nie sprawiła nam zbyt wiele trudu. Od połowy jednak nasze usiłowania przerodziły się w bardzo męczącą czynność. Ostatnia jedna trzecia to była już jedna wielka tortura: trzeba było zanurkować głową w dół do otworu, nabrać garść piasku, unieść tułów i wysypać piasek na ziemię. W pewnym momencie jednak dochodzi się do takiej głębokości, że nie daje się wyjąć dłoni bez wysypania piasku. Bardzo szybko byliśmy zmuszeni odłożyć na bok nasze łopatki, ponieważ głębokość otworu nie pozwalała na zastosowanie dźwigni. Wreszcie przywiązaliśmy do sznurków małe wiaderka i opuszczaliśmy je w dół. Przy próbie napęlnienia ich łopatką, połowa piasku wysypywała się z powrotem. Próbowaliśmy na różne sposoby. Po wielu próbach i po całodziennej pracy udało nam się opróżnić jeden "silos", z tym że i tak została w nim jeszcze gruba na 15-20 cm warstwa piasku, która jest tam pewnie do dziś.

Od chwili, kiedy mi powiedziano, że te niezliczone jednoosabowe dziury miały służyć jako "silosy zbożowe" dręczyło mnie pytanie, po co pradawni mieszkańcy Cajamarquilla zadawali sobie tyle trudu, aby

kopać tak wąskie otwory?

Dlaczego nie budowali większych silosów rodzinnych?

Ponieważ Cajamarquilla była podobno doskonale zorganizowanym organizmem miejskim, powinna się nawet pojawić idea budowyjednego wielkiego i praktycznego silosu dla wszystkich.

Po zapoznaniu się z warunkami na miejscu, oficjalne wyjaśnienie wcale nie wydaje mi się pewne ani oczywiste. A wszyscy uparcie twierdzą, że to mogły być tylko silosy...

IV. Zachowana pamięć ludzkości

Dlaczego czasami nawet po uporczywym szukaniu w pamięci nie możemy sobie przypomnieć nazwisk, adresów, pojęć, numerów telefonicznych? A przy tym podświadomie "czujemy", że to czego szukamy na pewno ukryło się gdzieś w zakamarkach szarych komórek naszego mózgu i tylko czeka, abyśmy tam dotarli. Gdzie się podziewa wspomnienie tego, co "dokładnie wiemy"? Dlaczego nie możemy operować tym naszym zasobem wiedzy całkowicie dowolnie i w każdym momencie?

Robert Thompson i James McConnell z Teksasu przez 15 lat głowili

się nad tym, jak eksperymentalnie wytropić tajemnicę wspomnień oraz ich obecności w naszym mózgu. Po przeprowadzeniu niezliczonych prób znaleźli wreszcie odpowiednie obiekty, którymi zostały płazińce z rodziny o wdzięcznie brzmiącej nazwie *Dugesia dorotocephala*, dzięki którym przeprowadzono doświadczenia uwieńczone fantastycznymi wynikami. Wspomniane żyjątka są z jednej strony najprymitywniejszymi organizmami mającymi jeszcze jakieś ślady substancji mózgowej, z drugiej zaś strony odznaczają się bardzo skomplikowaną strukturą zdolną do całkowitej regeneracji za pomocą podziału komórkowego. Jeśli pociąć takiego wypławka na kawałki, to każdy z tych kawałków zregeneruje się do postaci całego i zdrowego osobnika.

Thompson i McConnell wpuścili gwiazdy swojego eksperymentu do plastikowej rynienki z wodą, ale bynajmniej nie po to, by sprawić im szczególną przyjemność! Z przewrotnością, jaka potrafi a nawet musi cechować zachowanie badaczy wobec obiektów eksperymentu, uczeni podłączyli do rynienki słaby prąd, ponadto umieścili nad nią biurową lampę z sześćdziesięciowatową żarówką. Ponieważ wypławki bardzo nie lubią światła, za każdym razem, kiedy włączano lampę, przebiegał je skurcz. Po kilku godzinach tej zabawy we włączanie i wyłączenie światła robaczki przestały jednak reagować na ciągle powtarzające się zmiany oświetlenia. Zrozumiały przypuszczalnie, że fakt następowania po sobie światła i ciemności nie stanowi dla nich zagrożenia. Thompson i McConnell połączyli wówczas bodziec świetlny ze słabym uderzeniem prądu, które aplikowano żyjątkom zawsze w sekundę po zabłyśnięciu światła.

O ile przedtem wypławki nauczyły się już ignorować bodziec świetlny, o tyle teraz znowu kurczyły się gwałtownie pod wpływem uderzenia prądem.

Po dwugodzinnej przerwie żyjątko poddano ponownym "torturom".

I co się okazało? Płazińce nie zapomniały, że po bodźcu świetlnym powinny się spodziewać uderzenia prądem. Kurczyły się w chwili zablýśnięcia światła, nawet kiedy nie nastąpiło spodziewane uderzenie prądem.

Wówczas niezmordowani badacze pokroili płazińce na drobne kawałeczki i poczekali miesiąc, aż kawałeczki zregenerowały się ponownie w kompletne osobniki, które znów umieszczono w rynience doświadczalnej nad którą znowu zapalono i gaszono w nieregularnych odstępach biurową lampę. Thompson i McConnell dokonali zdumiewającego odkrycia: nie tylko części głowowe, które zregenerowały ogon, ale także końcówki ogona które wytworzyły nowy mózg kurczyły się w oczekiwaniu na bodziec elektryczny!

Skąd zregenerowana część głowowa mogła zaczerpnąć wspomnienie uderzenia prądem?

Czyżby w komórkach, które "zapisały" w sobie dawne wspomnienia zaszły jakieś procesy chemiczne, dzięki którym wspomnienia te zostały przekazane nowo powstałym komórkom?

Tak właśnie było. Kiedy "nieuczony" płazinić skonsumuje "uczzonego" pobratymca, to przejmuje od swojej ofiary nabyte zdolności. Doświadczenia w innych laboratoriach pozwoliły stwierdzić, że po

wprowadzeniu do ciała zwierzęcia komórek osobnika, którego nauczo-
no pewnych zachowań, zachowania te przenoszą się na nowego
osobnika. I tak na przykład przyuczono szczury do naciskania przycis-
ku określonego koloru, kiedy chciały się dostać do pożywienia. Kiedy
zwierzęta idealnie opanowały ten odruch, zabijano je, sporządzano
ekstrakt z ich mózgów i wstrzykiwano do jamy brzusznej szczurów nie-
tresowanych. Już po kilku godzinach szczury te posługiwały się tymi
samymi barwnymi przyciskami. Doświadczenia ze złotymi rybkami
i królikami potwierdziły przypuszczenie, iż nabyta wiedza może być
przekazana innemu organizmowi w drodze procesów biologicz-
no-chemicznych.

Dziś już uważa się za naukowo dowiedzione, iż wspomnienia zapisują
się w molekułach pamięci, które zatrzymywane i transportowane są
przez cząsteczki RNA v DNA. W konsekwencji dalszych systematycz-
nych eksperymentów może już wkrótce dojść do tego, że wiedza
i wspomnienia nie będą ginęły wraz ze śmiercią danego człowieka, lecz że
będzie je można przechowywać i przekazywać innym.

Czy dożyjemy czasów, kiedy w głębiny opuszczać się będą nad podziw
rozumne i "zaprogramowane" na potrzeby podwodnych badań delfiny?

Czy zobaczymy na ulicach pracujące małpy, których mózgi "zaprog-
ramowane" będą na obsługę maszyn do budowy nawierzchni?

Moim zdaniem więcej dziś potrzeba odwagi, by zadać sobie pytanie
na temat ewentualnej realizacji najbardziej śmiałych pomysłów, niż by
poważnie na nie liczyć.

Naukowych dowodów na to, że obce istoty rozumne już w zamierzchłej prehistorii umiały posługiwać się tego rodzaju manipulacjami pamięcią, trzeba jeszcze dostarczyć. W każdym razie słynni uczeni, tacy jak Szklowski, Sagan i inni nie negują prawdopodobieństwa, iż na innych planetach żyją istoty dysponujące daleko bardziej zaawansowanym poziomem wiedzy niż my.

Znów daje mi tu do myślenia Stary Testament, w którym możemy przeczytać o niejednym proroku, że "bogowie" dali mu do zjedzenia książki.

O takiej książkowej uczcie informuje np. Ezechiel (3, 3):

"[...] dał mi ten zwój do zjedzenia. I rzekł do mnie: Synu człowieczy!

Nakarm swoje ciało i napełnij swoje wnętrze tym zwojem, który ci daję. Wtedy zjadłem go [...]"

Czy można się dziwić, że tak "nakarmieni" prorocy wiedzieli więcej od innych i byli mądrzejsi od swojego otoczenia?

Od momentu odkrycia przez naukę podwójnej spirali DNA wiadomo, że geny zawarte w jądrze każdej komórki zawierają wszystkie informacje dotyczące budowy danej istoty żywej. Pojęcie kart perforowanych jest tak popularne, że mam ochotę nazwać plan budowy organizmu zaprogramowany w jądrach komórkowych "kartami perforowanymi życia".

Te karty wytwarzają życie według ściśle ustalonego planu czasowego.

Prześledźmy to na przykładzie naszego gatunku: dziesięcioletni chłopiec i ośmioletnia dziewczynka to już oczywiście mali ludzie, niemniej jednak

brakuje im jeszcze wielu atrybutów, jakie będą mieli jako mężczyzna i kobieta. Zanim dorosną, komórki ich organizmów zdążą się jeszcze tryliony razy podzielić i z każdym podziałem "perforowane karty życia" uaktywnią kolejny poziom budowy: chłopiec i dziewczyna wystrzelają w górę, pojawia się owłosienie łonowe, chłopcu zaczyna rosnąć broda, dziewczynce piersi. Karty perforowane nie popełniają błędów, ich wycięcia precyzyjnie znaczą kolejne etapy stawania się człowieka.

Pozwolę sobie raz jeszcze podkreślić, że wszystko to jest faktem obowiązującym dla każdej istoty żywej. Teraz chciałbym na tej arcy-solidnej podstawie skonstruować i poddać pod dyskusję spekulatywną koncepcję, która mnie wydaje się jak najbardziej logiczna: czy nie jest możliwe, że tak jak dla każdego pojedynczego osobnika istnieje też od pradawnych czasów kompletny plan budowy dla całej ludzkości?

Antropologiczne, archeologiczne i etnologiczne fakty ośmielają mnie na tyle, aby do różnych hipotez na temat powstania ludzkości dorzucić także moją własną: przypuszczam mianowicie, że wszystkie informacje, czyli wszystkie zawarte w "perforowanej karcie" rozkazyr, zostały wprowadzone naszym praprzodkom w drodze celowej sztucznej mutacji.

Jeśli cofniemy się zaproponowanym przeze mnie śladem w mroczny labirynt prehistorii człowieka, to człowiek okaże się zarówno "synem Ziemi", jak i "synem bogów". Z tej krzyżówki wynikają niesłychane i wprost fantastyczne konsekwencje.

Nasi przodkowie doświadczyli "swoich" czasów - czyli naszej

prehistorii - bezpośrednio, wzbogacali nimi swoją świadomość, ich pamięć przechowywała wszelkie wydarzenia. W procesie rozmnażania część tych prawspomnień przechodziła na następne pokolenie. Jednocześnie każde z kolejnych pokoleń dodawało nowe nacięcia do już istniejącej "perforacji". Karty perforowane wzbogacały się bezustannie o nowe informacje. Nawet jeśli z biegiem czasu niektóre informacje ginęły czy też zostały wyparte przez silniejsze impulsy, to jednak suma informacji nie uległa zmniejszeniu! Toteż każdy człowiek nosi w sobie nie tylko perforację własnych wspomnień, lecz także program wprowadzony przez "bogów", którzy już w czasach Adama i Ewy odbywali podróże kosmiczne!

Pomiędzy naszą wiedzą a bogactwem pradawnych wspomnień stoi bariera, którą potrafi przebić tylko bardzo niewielu ludzi w nielicznych chwilach przebłysku. Ludzie wrażliwi - malarze, poeci, muzycy i uczeni - intuicyjnie wyczuwają te prawspomnienia starając się niejednokrotnie rozpaczliwym wysiłkiem dotrzeć do ukrytych w zakamarkach świadomości informacji. Szaman wprowadza się w trans za pomocą różnych toksycznych substancji i jednostajnych rytmów, aby przełamać barierę dzielącą go od prawspomnień. Wydaje mi się, że nawet za modnymi zachowaniami psychodelicznych skautów kryje się działanie prainstynktu, który popycha "dzieci kwiaty" do prób dotarcia za pomocą narkotyków i stymulującej psychikę muzyki do bram nieświadomości. Nawet jeśli w tym czy innym przypadku otworzy się brama zapomnianego świata, to i tak nie starcza przeważnie sił, by

przekazać bliźnim objawioną w transie wizję.

Oto przykład:

Kiedy mówimy o jakimś absolutnie utopijnym urządzeniu, o niezrozumiałym procesie, zdarza nam się użyć określenia "lampa Aladyna". Ja traktuję poważnie nie tylko słowa proroków, nauczyłem się także za najdziwniejszymi nawet prawspomnieniami np. ludzi antyku dopatrywać się echa rzeczywistości, rzeczywistości, która być może czeka na (ponowne) odkrycie przez nas, ludzi współczesnych.

Cóż zatem było takiego dziwnego w tej lampie, którą dysponował Aladyn? Niewątpliwie umożliwiała ona materializację jakiejś nadzwyczajnej istoty. Działo się to za każdym razem, kiedy młody Aladyn potarł lampę. Czyżby siłą tarcia uruchamiał jakąś maszynę do materializacji?

W dzisiejszym stanie wiedzy możemy już podać hipotetyczne wyjaśnienie działania cudownej lampy. Wiemy, że technika atomowa potrafi zmienić masę w energię, że fizyka potrafi zmienić energię w masę. Obraz telewizyjny zostaje rozłożony na setki tysięcy linii, które - przekształcone w fale promieniowania - emitowane są przez nadajniki. Skok w fantazję: oto stół - także ten, przy którym piszę teraz te słowa - składa się nieskończonej liczby połączonych ze sobą atomów. Gdyby tak udało się rozłożyć ten stół na atomowe części składowe, przesłać go w formie wiązki energii i odtworzyć zgodnie z pierwowzorem w jakimś innym miejscu, mielibyśmy do czynienia z przekazem materii. Czy stałaby się utopia? Dziś jeszcze tak, przyznaję! Ale czy także w przyszłości?

Być może po zakamarkach pamięci ludzi starożytności błąkało się jeszcze wspomnienie obserwowanych w najdawniejszych czasach materializacji: aby zahartować stal zanurza się ją dziś w płynnym azocie.

Procedura jak najbardziej dla nas oczywista, odkryta w czasach nowożytnych. Przypuszczalnie wskutek prawspomnienia proces hartowania stali był już techniczną rzeczywistością w czasach starożytnych, jakkolwiek praktykowaną w sposób nader okrutny: dla zahartowania powierzchni rozżarzone miecze wbijano w ciała pojmanych jeńców! Skąd jednak starożytni wiedzieli, że ciało człowieka wprast "napompowane" jest organicznym azotem? Skąd znano chemiczny efekt takiej operacji? Skąd nasi przaprzodkowie zaczerpnęli swoją jakże ogromną techniczną wiedzę i znajomość medycyny, jeśli nie od obcych istot inteligentnych?

Skąd u mądrych ludzi bierze się przekonanie, że wybiegająca poza rzeczywistość śmiała koncepcja da się krok po kroku osiągnąć empirycznie, że to, co początkowo uznajemy za fantazję czy utopię pewnego dnia stanie się rzeczywistością?

Jestem jak najbardziej przekonany, że uczeni owładnięci są nurtującym pragnieniem, by znowu wiedzieć tyle, ile wszczepiły w ludzką pamięć w pradawnych czasach obce istoty, by rzeczywistością stały się ponownie wszystkie te prawspomnienia. Musi być przecież jakiś wytłumaczalny powód, dla którego we wszystkich okresach dziejów ludzkości wielkim celem badań był Kosmos.

Czyż bowiem nie jest tak, że każdy etap rozwoju techniki, każdy krok

na drodze postępu, a nawet wszelkie utopijne koncepcje zawsze były tylko i wyłącznie drobnymi kroczkami na drodze ku wielkiej przygodzie - ponownemu zdobyciu Kosmosu?

To, co dzisiaj wydaje się nam niesłychanym a często nawet przerażającym futurologicznym wymysłem przypuszczalnie było już kiedyś na naszej planecie rzeczywistością.

Studiując pisma Teilharda de Chardin (1881-1955), które tak bardzo dziś wszystkich poruszają, po raz pierwszy natrafiłem na pojęcie "kosmicznej praczątki". Dopiero przyszłe pokolenia zrozumieją, jak wielki wpływ na horyzonty myślowe XX wieku miał ten jezuita i jego paleontologiczne oraz antropologiczne rozważania, których celem było pogodzenie katolickiej nauki o stworzeniu z nowoczesną wiedzą naukową. W roku 1962, w siedem lat po śmierci Teilharda de Chardin, po gwałtownej dyskusji teologicznej orzeczono, że jego koncepcja nie jest zgodna z katolickim dogmatem wiary.

Nie znam drugiego pojęcia, które tak jasno wyrażałoby istotę procesów kosmicznych. Praczątką materu jest atom. Również w Kosmosie materialną praczątką jest atom. Są też jednak także inne praczątki, takie jak czas, świadomość, wspomnienie. W nieodgadniony sposób wszystkie te praczątki są ze sobą połączone i pozostają we wzajemnych relacjach. Być może pewnego dnia natrafimy na praczątki, czyli siły, które nie dadzą się zdefiniować w kategoriach fizycznych, chemicznych ani jakichkolwiek innych kategoriach przyrodniczych. Mimo tego - chociaż nie sposób ich zdefiniować ani ująć

w kategoriach materialnych - oddziałują one na to, co dzieje się w Kosmosie. Tam właśnie, ale dopiero tam, przebiega dla mnie granica, przy której z konieczności chyba ustaną wszelkie badania.

Chciałbym, aby moje rozważania stały się nowymi drogowskazami, dzięki którym dadziemy do przekonujących rezultatów. Całkowicie w linii moich poglądów, iż w kolektywnej pamięci ludzkości czekają na odsłonięcie prawspomnienia, mieszczą się dwa "przypadki" opisane przez Pauwelsa i Bergiera w książce *Aufbruch ins dritte Jahrtausend* (U progu trzeciego tysiąclecia). Obydwa przypadki są jak najdalsze od okultystycznych fantasmagorii. W jednym chodzi o duńskiego laureata nagrody Nobla, Nielsa Bohra (1885-1962), który stworzył podwaliny nowoczesnej teorii atomu. Ten światowej sławy fizyk opowiadał, w jaki sposób doszedł do odkrycia poszukiwanego przez lata modelu atomu.

Otóż przyśniło mu się, że siedzi na słońcu z rozżarzonego gazu. Z sykiem mijały go rozpędzone planety, a każda z nich wydawała się połączona cieniutką nitką ze słońcem, wokół którego wszystkie krążyły. Nagle jednak gaz się zestalił. słońce i planety skurczyły się i zamarły w bezruchu. W tym właśnie momencie Bohr się obudził. Natychmiast zdał sobie sprawę, że to, co widział we śnie, to model atomu. W roku 1922 otrzymał za ten "sen" nagrodę Nobla.

Drugi z przytoczonych przez Pauwelsa i Bergiera przypadków mówi o dwóch przyrodnikach, którzy również śnią i działają. Pewien inżynier amerykańskiego towarzystwa telefonicznego Bell przeczytał w roku 1940 informację prasową o ciężkich nalotach bombowych na

Londyn. Bardzo się nimi przejął. Pewnej jesiennej nocy ujrzał we śnie siebie samego, jak pracuje nad konstrukcją urządzenia, dzięki któremu można wycelować działa przeciwlotnicze w wyliczony uprzednio punkt toru lotu bombowców, tak aby trafiały w cel niezależnie od prędkości, z jaką dany bombowiec będzie leciał. Następnego ranka inżynier naszkicował to, nad czym "pracował" we śnie. Doszło do konstruowania urządzenia, przy którym po raz pierwszy użyto radaru. Pracami konstrukcyjnymi aż do fazy produkcyjnej kierował słynny amerykański matematyk Norbert Wiener (1894-1964).

Twierdzę, że to, o czym "śnili" obydwaj genialni uczeni spoczywało już u korzeni ich "prastarej" wiedzy. Zawsze u początku stoi jakaś idea (lub sen!), której (którego) wykonalności trzeba dowieść. Wcale nie uważam za takie znowu wykluczone, że pewnego dnia genetycy molekularni, którzy już dziś wiedzą, jak działa kod genetyczny, będą potrafili wykazać, jak wiele - a być może nawet dokładnie które elementy - naszej wiedzy zostało zaprogramowane przez obce istoty w perforowanych kartach naszego życia. Byłoby czymś absolutnie fantastycznym (choć właściwie dlaczegóż nie wziąć i tego pod uwagę?), gdyby w jakiejś tam odległej przyszłości udało się nawet odkryć, jakie słowo kodowe uruchamia w "prapamięci" konkretne zasoby wiedzy potrzebnej do konkretnego celu!

Moim zdaniem w toku rozwoju ludzkości kosmiczne wspomnienia coraz bardziej przesuwają się w stronę świadomości. To one wspomagały narodziny nowych idei, które były już raz rzeczywistością w okresie

wizyty "bogów". W pewnych momentach padają bariery oddzielające nas od tych prawspomnień i uaktywniają się w nas siły ponownie wydobywające na światło dzienne przechowywaną wiedzę.

Czyż bowiem jest przypadkiem, że druk czy zegar, samochód czy samolot, że prawa ciężenia czy działanie kodu genetycznego odkryte bądź "wynalezione" zostały w różnych miejscach świata w tym samym czasie?

Czyż bowiem jest przypadkiem, że podniecająca myśl, iż obce istoty rozumne mogły kiedyś odwiedzić naszą planetę, pojawia się równocześnie u tak wielu autorów, którzy w swoich książkach przedstawiają całkowicie różne dowody prawdziwości oraz źródła?

Nader wygodnie jest kwalifikować wszelkie idee, dla których nie można od razu znaleźć zadowalającego wyjaśnienia, jako czysto przypadkowe. Nie wolno sobie tak ułatwiać sprawy. A już zupełnie niedopuszczalne jest, aby naukowcy, którzy generalnie zajmują się poszukiwaniem prawidłowości we wszystkich obserwowanych zjawiskach, wszelkie nowe koncepcje - niezależnie od tego, jak utopijne mogą się one z początku wydawać - zbywali lapidarnymi wyjaśnieniami z zakresu "poważnej" nauki.

Wiemy już dzisiaj, że w jądrze komórki każdej istoty żywej zakodowany jest plan jej rozwoju i końca. Dlaczego więc nie miałyby być wielkiego planu dla całej ludzkości, takiej wielkiej perforowanej karty, w której zakodowane byłyby praludzkie i kosmiczne wspomnienia. Założenie takie mogłoby dostarczyć przekonującego wyjaśnienia, dlaczego w ja-

kimś punkcie dziejów nagle pojawiają się epokowe idee, odkrycia i wynalazki. Otóż jest to zaprogramowane w naszych "kartach perforowanych"! Mechanizm wyszukiwawczy natrafia na określone miejsca w "karcie" i przywołuje dawno zapomnianą wiedzę zawartą w podświadomości.

Gorączka dnia powszedniego nie pozwala nam na chwilę wytchnienia, abyśmy mogli poznać swoją podświadomość. Wystawione na działanie coraz to nowych atrakcyjnych wrażeń nasze zmysły nie docierają do miejsc zakodowania pradawnych wspomnień. Dlatego też nie jest dla mnie przypadkowe, iż mnisi szukają odosobnienia w swoich celach, badacze w zaciszu laboratoriów, filozofowie w odludnym miejscu na łonie przyrody... Wtedy bowiem kroczącemu samotnie człowiekowi objawiają się wspaniałe wizje wspomnień z przeszłości oraz tego, co będzie w przyszłości.

Od niepamiętnych czasów żyjemy wszyscy w spirali ewolucji wznoszącej nas niepowstrzymanie ku przyszłości, która - jestem o tym przekonany - kiedyś była już przeszłością, przeszłością nie ludzi, lecz "bogów", przeszłością, która oddziałuje w nas i pewnego dnia stanie się teraźniejszością. Nadal czekamy na precyzyjne dowody nauki. Ja jednak wierzę w moc owych wybranych umysłów, którym dane jest posiadać subtelny mechanizm wyszukujący, dzięki któremu pewnego dnia w przyszłości objawi się im przechowywana od niepamiętnych czasów informacja o istniejącej niegdyś rzeczywistości. Aż do tego szczęśliwego momentu będę podzielał pogląd Teilharda de Chardin,

który powiedział: "Wierzę w naukę. Ale czyż nauka choć raz dotąd zadała sobie trud, by spojrzeć na świat inaczej niż od odwrotnej strony rzeczy?"

V. Kula - idealny kształt pojazdów kosmicznych

Wszystkie typy raket, jakimi dziś dysponujemy, mają kształt "ołówka". Czy musi tak być? Czy nie okazuje się coraz częściej, że w próżni taki kształt nie jest ani konieczny, ani idealny? Kiedy statek kosmiczny - który w odróżnieniu od wielostopniowej rakiety nośnej ma już formę stożka - mknie w stronę pobliskiego Księżyca, wielokrotnie musi zostać obrócony dookoła osi poprzecznej. Jakież to złożone i ryzykowne! Ze wszystkich relacji na temat lotów kosmicznych wiemy, że każda zmiana kierunku to niesłychanie skomplikowany manewr! W ciągu milisekund komputer pokładowy musi obliczyć odchylenia od kursu i równie szybko uruchomić niewielkie dysze sterujące dla ich skorygowania. Jednajedyna, niewielka nawet pomyłka pociągnęłaby za sobą niewyobrażalne skutki. Na pokładzie jest ograniczona ilość materiału napędowego, który szybko by się zużył, dysze raketowe nie mogłyby dokonać

korekty kursu, ponowne wejście pojazdu kosmicznego w gęste warstwy atmosfery okazałoby się niemożliwe i pojazd mknąłby bezwładnie przez Kosmos, aż do chwili spłonięcia.

Oczywiście pod względem technicznym dotychczasowe rakiety się sprawdzają, ponieważ przy użyciu istniejących dziś, nadal jeszcze stosunkowo słabych silników napędowych tylko spiczaste obiekty latające o niewielkim tarciu zdolne są przebić się przez gęstą "barierę" atmosfery. W ruchu międzygwiazdowym spiczaste "igły" nie są już rozwiązaniem idealnym. Powód jak wyżej.

Uwolnienie potężniejszej energii napędu stanowi klucz, który otworzy drzwi do konstrukcji statków kosmicznych nowego typu.

Dzień, w którym technika dysponować będzie nowymi, niewyobrażalnymi jeszcze dziś źródłami energii, nie jest wcale taki odległy. Rozwój techniki może doprowadzić do skonstruowania silników fotonowych w czystej formie, wytwarzających prędkość bliską prędkości światła i zapewniających odpowiedni ciąg przez niemal nieograniczony czas.

Wtedy nie trzeba już będzie zważać na każdy kilogram masy użytecznej pojazdu, tak jak dzisiaj, kiedy to każdy kilogram zabrany w lot na Księżyc wymaga 5180 kilogramów paliwa. Wtedy pojazdy kosmiczne przybiorą zupełnie inne kształty.

Starożytne teksty i znaleziska archeologiczne ze wszystkich zakątków Ziemi przekonały mnie, że pierwsze statki kosmiczne, jakie dotarły do Ziemi wiele tysięcy lat temu, miały kształt kuli, i jestem przekonany, że pojazdy kosmiczne przyszłości także (ponownie) będą miały kształt kuli.

Nie jestem konstruktorem raket, ale jest parę rzeczy, nad którymi zastanowić się może każdy i które wydają się jak najbardziej przekonujące: otóż kula nie ma ani "przodu", ani "tyłu", "dołu" i "góry" "lewej" ani "prawej" strony. Z każdej strony i w każdym położeniu ma tę samą powierzchnię natarcia. Jak na potrzeby Kosmosu, który też nie ma "góry" ani "dołu", "przodu" ani "tyłu" jest to kształt wręcz wymarzony.

Przespacerujmy się teraz po takim kulistym pojeździe kosmicznym, który dziś wydaje się jeszcze utopią. Nie bądźmy małostkowi i wyobraźmy sobie kulę o średnicy 500 metrów. Monstrum to stoi na amortyzowanych i chowanych pajęczych nogach. Wnętrze, tak jak na dzisiejszych statkach oceanicznych, podzielone jest na różnej wielkości pokłady. Wokół brzucha tej gigantycznej piłki, wzdłuż równika, biegnie masywny pierścień, w którym zainstalowano 20 lub więcej zespołów napędowych, z których każdy - dzięki bardzo prostej technicznej sztuczce - można obracać o 180°. Kiedy odliczanie dobiegnie końca wystrzelą z nich po milionkroć wzmocnione wiązki światła. Jeśli kosmiczna kula będzie się miała oderwać od powierzchni planety bądź od umieszczonej na orbicie platformy startowej, silniki najpierw wyrzucą słupy światła "w dół", w stronę miejsca startu, umożliwiając kuli majestatyczne wzniesienie się w górę. Kiedy dotrze ona do obszaru nieważkości i skieruje się w stronę docelowej gwiazdy; wówczas rozmieszczone wzdłuż "równika" kuli silniki włączać się będzie tylko od czasu do czasu dla przeprowadzenia korekty kursu. Nie ma niebez-

pieczeństwa, że kula w groźny dla życia sposób zboczy z kursu, ponieważ może się ona natychmiast "dopasować" do każdej sytuacji.

Ponadto znajdzie też coś, co bardzo przyjemnie odczują astronauty: kula wejdzie w ruch obrotowy, wskutek czego we wszystkich położonych na obrzeżach kuli pomieszczeniach powstanie sztuczna grawitacja da tego stopnia niwelująca stan nieważkości, że powstaną warunki zbliżone do ziemskich. Nawet lecąc w stronę gwiazd będziemy mogli pozostać przy starych prawach rządzących na Ziemi!

Trzeba zwrócić uwagę, że w przypadku takiej kosmicznej kuli korekty kursu mogą się bezpiecznie odbywać we wszystkie strony. Zamontowane wokół kuli w stalowym pierścieniu silniki pozwolą na błyskawiczne skoki i uniki w dowolnym kierunku. Bilardiści potrafią to sobie bez trudu wyobrazić. Kiedy chcemy uciec w prawo, wystarczy lekki impuls ze znajdującej się po lewej stronie dyszy i odwrotnie.

Kuliste statki kosmiczne, które od tysięcy lat przemierzają Galaktykę, to tylko mikroskopijne cząsteczki w nieskończoności Wszechświata. Pędząc z prędkością bliską prędkości światła astronauty odbierają to tempo jako powolne i łagodne szybowanie w przestrzeni.

W ich pojeździe czas wydaje się stać w miejscu.

Co jednak dzieje się w tym "bezczasowym czasie" we wnętrzu kosmicznej kuli? Cóż, kiedy w Kosmos wyruszy stacja tej wielkości, na jej pokładzie toczyć się będzie najzwyczajsze w świecie zrutynizowane życie. Automaty czuwają nad bezpieczeństwem. Komputery kontrolują kurs, astronauty wykonują prace badawcze w laboratoriach, wymyślają

nowe, jeszcze śmielsze projekty, obserwują gwiazdy i rozważają problemy wykorzystania obcych planet. Kiedy kula przemierza miliony kilometrów na minutę, dla załogi dni układają się w tygodnie, tygodnie w miesiące, miesiące w lata. A w hibernatorach czeka zapasowa załoga, którą obudzi się do biologicznego życia po dotarciu w pobliże celu podróży.

W tym samym czasie na wielu planetach giną całe cywilizacje, umierają pokolenia, rodzą się nowe, ponieważ tam, podobnie jak na naszej planecie, czas pędzi zgodnie z "ziemskimi" prawami.

Nie będziemy zbyt przesadzać z tą wyprawą w krainę utopu. Wizje statków kosmicznych przyszłości dostatecznie często opisywali ze wszystkimi szczegółami autorzy powieści s-f. Moja relacja z "kuli" miała na celu jedynie przygotowanie wyobraźni do pewnej bardzo poważnej refleksji, a mianowicie: Co by było, gdybyśmy tak spojrzeli na pierwsze strzępy ludzkich przekazów z perspektywy "kosmicznej kuli"?

W szkole uczono nas, że na początku były tylko niebo i ziemia, a ziemia była pustkowiem i chaosem. Tylko gdzieś w ciemności jaśniało światło i z tego światła, jak nas uczono, wyszło Słowo, które nakazało powstanie wszelkiego życia.

Jeśli idzie o chronologię wszystko w tej genezis jest jak najbardziej logiczne. W czasie długiej podróży kosmicznej nie było oczywiście światła, wszystko było ciemną nocą. Dopiero po wylądowaniu kosmicz-

negu pojazdu na planecie "stała się światłość" i nieznanne istoty poznały dzień i noc, zaś w miejscu ich przybycia - na ich rozkaz - mogło powstać życie i inteligencja.

Prawie we wszystkich znanych nam legendach o stworzeniu świata powtarza się jedna i ta sama prawda, że z ciemności wyszło Słowo. Na wyspach Polinezji już na długo przed wylądowaniem tam pierwszych białych, istniały bogate przekazy ustne. Krąg wybranych kapłanów troskliwie czuwał nad tym, aby nie zmieniono ani jednego słowa starych filozoficznych i astronomicznych mądrości. Cywilizacja zachodnia i chrześcijańska działalność misyjna zniszczyły bogatą wiedzę, jaką dysponowała tubylcza ludność. W roku 1930 Bishop Museum z Honolulu, posiadające największą na świecie kolekcję sztuki polinezyjskiej, wysłało na wysepki Polinezji dwie ekspedycje. Chodziło o utrwalenie legend i pieśni, które zdołały przetrwać wątpliwe dobrodziejstwa przywiezione przez zachodnich kolonizatorów. W wiele lat później szwedzki badacz Bengt Danielsson, który wraz z Thorem Heyerdahlem przemierzył Ocean Spokojny na tratwie "Kon-Tiki", wspólnie z żoną odwiedził kilka południowych wysepek notując zachowane jeszcze w świadomości wyspiarzy przekazy.

Na małej wysepce Raraia z grupy Tuamotu, 450 mil morskich na północny wschód od Tahiti, Danielsson spotkał sędziwego uczonego, który nazywał się Te-Jho-a-te-Pange. Danielsson podaje, że starzec ten z monotonią płyty gramofonowej wyrecytował mu historię swojego narodu. Jest ona zdumiewająca:

"Na początku była tylko pustka, nie było światła ani ciemności, ani lądu ani morza, ani słońca ani nieba. Wszystko było wielką, milczącą pustką. Upłynęło nieznane morze czasu [...]"

Czyż można sobie wyobrazić trafniejszą relację? Czy dopiero przedstawiciel "ludów prymitywnych" w przepasce na biodrach, żywiący się orzechami kokosowymi i rybami, nie dysponujący żadnego rodzaju wiedzą techniczną musi nam uświadamiać, jak wygląda Kosmos? Ale pozwólmy ponownie przemówić Te-Jho-a-te-Pange:

"[...] Potem pustka zaczęła się poruszać i przemieniła się w 'Po'.

Wszystko było jeszcze ciemne, było głęboką ciemnością, kiedy Po samo zaczęło krążyć [...]"

Czyżby mowa była o dotarciu do Układu Słonecznego, w sąsiedztwo orbit planetarnych ("pustka zaczęła się poruszać")? Jeszcze panuje ciemność. Można już dostrzec kulę, nazwaną tutaj "Po". Zaczyna ona krążyć.

"[...] Działywały nowe, dziwne siły. Noc przemieniła się [...]"

Bardzo trafny opis. Zaczynają oddziaływać siły przyciągania planety ("nowe, dziwne siły"). Statek zanurza się w atmosferę. Robi się jasno.

"[...] Nowa materia byłajak piasek, piasek stał się stałym lądem, który wyrastał w górę. Wreszcie objawiła się 'Papa', Matka Ziemia, i rozpostarła się i stała się rozległym lądem [...]"

A więc dotarto do stałego lądu, który rozciągał się na wszystkie strony. Zanim jednak osiągnięto powierzchnię Ziemi, która "rosła

w górę" (wrażenie takie powstaje, kiedy się na nią spada z góry) trzeba było przedostać się przez materię, która była "jak piasek". Czyżby chodziło tu o warstwy atmosfery, której tarcie objawiło swoje siły na powierzchni statku kosmicznego?

"[...] W wodzie były rośliny, zwierzęta i ryby i rozmnażały się.

Brakowało jedynie człowieka. I wtedy Tangaloa stworzył 'Tiki', który był naszym praprzodkiem [...]"

Nie wolno nam zapomnieć tego mitu stworzenia! Może dobrze byłoby wbić go do głowy uczniom w szkołach.

Inna zadziwiająca relację zawiera Popol Vuh. Księga ta, zaliczana do "wielkich dokumentów zarania ludzkości" (Cordan) i mająca charakter księgi tajemnej, była świętą księgą Indian Quiche z wielkiej rodziny Majów żyjących wokół jeziora Atitlan w środkowoamerykańskiej Gwatemali.

W ich obszernym micie stworzenia znajduje się stwierdzenie, że ludzie tylko częściowo są z tej Ziemi, że to "bogowie" stworzyli "pierwszą obdarzoną rozumem istotę", że zniszczyli wszystkie nieudane egzemplarze, a po spełnieniu swojej ziemskiej misji ponownie unieśli się do nieba i udali się tam, gdzie jest "Serce Nieba", czyli Huracan - "ten, który widzi w ciemnościach".

Czy to dlatego u Indian Quiche utrwały się wyobrażenia mieszkających w kamiennych kulach bogów, którzy potrafią wyjść z kamienia? Czy w tym tkwią korzenie uprawianego w tym plemieniu kultu gry w piłkę, o którym mówi Popol Tiuh. Gra w piłkę jako kosmicz-

no-magiczny rytuał, jako symbol lotu do gwiazd?

W całym szeregu mitów stwarzania, które umacniają moją tezę, prawdziwym klejnotem jest mit plemienia Chibcha (= ludzie). Historyczną ojczyznę tego ludu, który Hiszpanie odkryli w roku 1538 są wschodniokolumbijskie Kordyliery.

Hiszpański kronikarz Pedro Simon zapisał w swoich Noticias historiales de las con■uistas de tierra firme en las Indias Occidentales mity Chibchów:

"Była noc. Jeszcze nie było ani kawałka świata. Światło było zamknięte w wielkim 'niby-domu' i wyszło z niego. Ten 'niby-dom' jest 'Chiminigagua' i krył w sobie światło, aby mogło wyjść. W blasku światła rzeczy zacz■ły się stawać..."

Już widzę tłumaczy i interpretatorów mitów, jak natrafwszy na słowo "niby-dom" nie potrafią dojść do żadnych jednoznacznych wniosków.

Jak dobrze jednak, że zostawili to trudne do zrozumienia pojęcie w pierwotnej formie, nie zamieniając go na jakiś malowniczy synonim.

Być może wówczas w ogóle nie udałoby się zinterpretować nośności tego przekazu ani pojąć jego pełnego znaczenia. A tak możemy do tego

"niby-domu" przyłożyć pojęcia naszej dzisiejszej wiedzy. Ponieważ

Chibchowie nigdy przedtem nie widzieli statku kosmicznego, nie

wiedzieli oczywiście, jak nazwać ten "niby-dom", toteż opisali go

słowami, które były im znane: oto wylądowało coś jakby dom i wysiedli z niego "bogowie".

Przekazy peruwiańskich Inków mówią, że jeszcze zanim stworzony

został świat istniał już człowiek o imieniu "Uiracocha" (to Wirakocza, późniejszy bóg Quetzalcoatl), którego pełne imię Uiracocha Tachayachachic oznacza stwórcę rzeczy świata. Bóg ten miał być pierwotnie mężczyzną i kobietą jednocześnie, osiedlił się w Tiahuanaco i zapoczątkował tam ród olbrzymów.

A może imponujący monolit z Tiahuanaco, piękna Brama Słońca, której znaczenia nie udało się dotąd wyjaśnić, pozostaje w jakimś bezpośrednim związku z tą legendą o stworzeniu świata? Może nie jest zbyt swobodną interpretacją legendy o złotym jajku, które nadleciało z Kosmosu i którego pasażerowie stworzyli człowieka, założenie, iż mamy do czynienia z rzeczywistością, mianowicie autentyczną relacją z lądowania statku kosmicznego z obcej planety?

To złote lub też błyszczące jajo, które spadło z nieba, jest wyraźnym leitmotiwem w zachowanych do dziś legendach o stworzeniu ludzkości.

Na Wyspie Wielkanocnej bogów czci się jako "panów Wszechświata". Wśród nich jest też Makemake, bóg "mieszkańców przestworzy". Jego symbolem jest jajo!

W Tybecie istnieją dwie dziwne księgi, Kandzur i Tandzur. Właściwie nie można w ich przypadku mówić nawet o księgach, ponieważ sama Kandzur obejmuje 108 tomów, które podzielone na dziewięć wielkich działów obejmują 1083 księgi. Nazwa Kandzur oznacza "przetłumaczone słowo Buddy". W księdze zebrano święte teksty lamaizmu. Kandzur ma takie samo znaczenie jak Koran dla islamu. Nazwa Tandzur oznacza "przetłumaczona nauka" i jest 225-tomowym komentarzem do księgi

Kandzur. Chińskie klocki drzeworytnicze tej księgi zajmują tyle miejsca, że przechowywane są w piwnicach wielu wiosek ukrytych w górskich dolinach Tybetu. Odcinki tekstu wycięte są na drewnianych płytach o szerokości 1 m, grubości 10-20 cm i wysokości 15 cm. Ponieważ na jednej pergaminowej stronie odbitych jest przeważnie osiem klocków, nietrudno zrozumieć, że "pierwotny manuskrypt" trzeba przechowywać w piwnicach całych wiosek. Dotychczas przetłumaczono dopiero jedną setną tych tekstów, których czasu powstania nie udało się jeszcze ustalić. W obydwu tajemniczych księgach bez przerwy wspomina się o "perłach na niebie" i o przezroczystych kulach, w których mieszkali bogowie ukazujący się ludziom po długich okresach nieobecności. Gdyby podjęto konkretne i skoordynowane badania ksiąg Kandzur i Tandzur, przypuszczalnie dowiedzielibyśmy się bardzo, bardzo dużo na temat "bogów" i ich działalności na Ziemi...

Na obszarze Indu za najstarszą księgę uchodzi Rigweda. Pieśń o stworzeniu, którą w niej znajdujemy przenosi nas z powrotem w stan nieważkości i bezgłośniejszej ciszy, jakie panują w nieskończonej otchłani Wszechświata. Cytuję z książki Paula Frischauera pod tytułem *Es steht geschrieben* (Napisane jest):

"Nie było wówczas niebytu ani bytu. Nie było przestworzy ani nieba ponad nimi. Co krążyło tu i tam? Gdzie? Pod czyją opieką? Co było tym niezgłębionym? [...] Nie było wówczas śmierci ani nieśmiertelności. Nie było znaków dnia ani nocy. To JEDNO oddychało według własnych praw bez tchnienia. Niczego innego niż to nie było. [...] Na

początku była ciemność skryta w ciemności [...] Wypełnione mocą życia, otoczone pustką JEDNO urodziło się mocą swego gorącego pragnienia [...] Czyż był bowiem dół, czyż była góra? [...] Któż wie to na pewno, któż może tu obwieścić, z czego powstało, z czego wzięło się stworzenie?"

Słowa o tym, co "wypełnione mocą życia, otoczone pustką" trzeba jak najbardziej świadomie przyjąć do wiadomości. Jako ludziom XX wieku trudno naniż w tej "Pieśni o stwarzeniu" dostrzec coś innego niż tylko relację z podróży kosmicznej.

Jaki można padać przekonujący powód, dla którego w zamierzchłej przeszłości wszystkie ludy na całej Ziemi przekazywały z pokolenia na pokolenie, zawierającą wspólny rdzeń legendę o stworzeniu świata, chociaż nie wiedziały nawzajem o swoim istnieniu?

Starochińskie piśmiennictwo przekazuje nam w księdze

Tao-te-king jedną z najpiękniejszych definicji pochodzenia Kosmosu, życia i Ziemi:

"Sens, który można wymyślić,
nie jest wiecznym sensem.

Imię, które można wymienić,
nie jest wiecznym imieniem.

Po tamtej stronie nazywanego leży początek świata.

Po tej stronie nazywanego leżą narodziny stworzeń."

Również według tej definicji "początek świata" leży poza dostępną nam sferą. "Po 2ej stronie nazywanego" leżą tylko "narodziny stwo-

rzeń".

Egipcscy kapłani wkładali do grobowców zmumifikowanych zmarłych teksty zawierające wskazówki na temat ich przyszłego zachowania się w zaświatach. Te księgi umarłych były niezwykle szczegółowe, zawierały rady na wszelkie możliwe sytuacje. Celem tych wszystkich dyrektyw było ponowne połączenie się z prabogiem Ptahem. Jedną z najstarszych modlitw egipskiej Księgi Zmarłych brzmi:

"O, jajo światów, wysłuchaj mnie!

Jestem Horusem milionów lat!

Jestem Panem i Mistrzem tronu.

Uwolniony od zła przemierzam czasy

i przestrzenie bezgraniczne."

Zawsze jest mi bardzo przyjemnie na duszy, kiedy interpretacje tekstów mogę "podbudować" przedstawieniami plastycznymi czy -jeszcze lepiej - trwałymi dziełami z kamienia. Kręgi, kule i piłki spotykamy na każdym kroku. W górach Tassili na algierskiej Saharze w setkach miejsc na pokrytych malowidłami skalnych ścianach widać postaci w dziwacznych szatach. Mają na głowach okrągłe hełmy i antenki, a wyglądają tak, jakby unosiły się swobodnie w powietrzu. Warto tu zwrócić uwagę przede wszystkim na tak zwaną "kulę z Tassili", którą pod półokrągłą skałą odkrył Francuz Henri Lhote. W grupie unoszących się w powietrzu ludzkich par - jedna z kobiet ciągnie za sobą mężczyznę - wyraźnie widać kulę z czterema koncentrycznymi kręgami. Na górnej krawędzi kuli znajduje się otwarta kłapa, z której wylania się jak najbardziej nowoczes-

na antena. Z prawej strony kuli wychodzą niedwuznacznie dwie ręce z pięcioma rozczapierzonymi palcami. Pięć unoszących się w powietrzu postaci towarzyszących kuli ma na głowach hełmy, czy też ściśle przylegające czapki koloru białego z czerwonymi kropkami lub czerwone z kropkami białymi. Bardzo wyraźne są te barwne nakrycia głowy.

Czyżby hełmy skafandrów kosmicznych?

Gdyby dzisiaj dać dzieciom parę kredek i kazać im narysować, jak wyobrażają sobie podróż na Księżyc, przypuszczalnie stworzyłyby coś bardzo podobnego do malowideł z Tassili, ponieważ "dzicy" uwieczniający na skałach wspomnienie wizyty "bogów" rozumowo byli prawdopodobnie na poziomie dzisiejszego dziecka.

Kula z Tassili nie była jedynym dowodem, jaki "stoczył" się na moje biurko. Każdy, kto traf kiedyś w wymienione poniżej okolice, powinien zawnoczu przyszykować aparat fotograficzny bądź kamerę, bo może sobie uwiecznić dowolną ilość kul i kręgów, żeby się potem zastanawiać nad ich pochodzeniem. Poniższa lista stanowi za ledwie niewielki wybór:

Kivik Szwecja, mniej więcej 80 km na południe od Simris-hamn. W słynnym skalnym grobowcu, który w każdym przewodniku jest opatrzony gwiazdką, można znaleźć mnóstwo zwykłych jak też kilka przedzielnym w pionie kręgów będących symbolami bogów.

Tanum Szwecja, na północ od Goteborga. Wiele wspaniałych kul i otoczonych promieniami kręgów.

Val Camonica Włochy, w pobliżu Brescu. Około 20 tysięcy prehis-

torycznych rysunków, między innymi niezliczone pro-

mieniste kęgi i "bogowie" w hełmach.

Fuencaliente Hiszpania, 70 km na północny wschód od Cordoby.

Liczne kręgi i kule z wieńcem promieni lub bez.

Santa Barbara USA, 80 km na północny zachód od Los Angeles.

Częściowo splecione ze sobą kręgi z promieniami.

Inyo County USA, wschodnia Kalifornia, nad China Lake. Pierś-

cienie, gwiazdy, kule, wielobarwne promienie, po-

stacie "bogów".

Symbole w kształcie kul i okręgów pojawiają się w nieskończenie

wielu miejscach na całym świecie.

Zreasumujmy: Wszystkie kule i koła - czy to w mitach o stworzeniu

świata, czy to na prehistorycznych rysunkach, czy to na późniejszych

reliefach czy obrazach - symbolizują "boga" lub "bóstwo". Przeważnie

odchodzą od nich promienie skierowane w stronę ziemi. Uważam, że

powszechność tego zjawiska powinna nam dać do myślenia...

Jestem przekonany, że pojawiające się w przekazach boskie atrybuty

w kształcie kuli bądź jaja mają znaczenie nie tylko religijno-symbolicz-

ne. Powinniśmy wreszcie spojrzeć na ten znak także pod nieco innym

kątem. Nasze dotychczasowe modele myślowe mogą się okazać z gruntu

falsywne. Dotychczas brakowało nam podstaw, by całkowicie i w pełni

ogarnąć dziedzictwo "bogów" zawarte w świadectwach i dokumentach

pamiętających czasy naszych przodków. Lecz dzisiaj, kiedy człowiek

postawił stopę na Księżycu, nie powinniśmy się już zadowalać wyjaś-

nieniami, które powstały w stuleciach skostniałego obrazu świata, kiedy człowiek widział w sobie "koronę stworzenia"!

Aby zakończyć te rozważania lekko anegdotycznym akcentem powiem, że niecałe 30 km od miejsca mojego zamieszkania, w Carschenna nad rzeką Thusis, na terenie gminy Sils w kantonie Graubunden odsłonięto na odcinku 400 metrów prehistoryczne znaleziska. Cóż tam dotychczas znaleziono? Pokryte znakami pisma skalne ściany, płyty z licznymi kulami, kołami, spiralami, promienistymi kałami... Po co właściwie tłukę się po całym świecie, skoro dowody potwierdzające moją teorię leżą dosłownie za progiem mojego domu? Otoczone promieniami kule, jaja i kule ze skrzydłami znaleźć można nie tylko na skałach i ścianach jaskiń, na starożytnych reliefach kamiennych czy pieczęciach cylindrycznych. Spotykamy je także w trójwymiarowym wydaniu - sporządzone z twardego kamienia leżą w najróżniejszych miejscach na świecie - przeważnie rozsiane chaotycznie w nieurodzajnych okolicach. W USA na przykład znaleziono kule w Tennessee, Arizonie, Kalifornii i Ohio.

Profesor Marcel Homet, mieszkający dziś w Stuttgarcie archeolog i autor słynnej książki *Sohne der Sonne* (Synowie Siorica) odkrył w roku 1940 w górnym biegu Rio Branco w północnej Amazonii gigantyczne kamiennejajo o długości 100 i wysokości 30 metrów. Na 600-metrowej powierzchni potężnego monolitu, który nazwano "Pedra Pintada", Homet znalazł liczne znaki pisma, krzyże i symbole Słońca. Archeolog zapewnił mnie w rozmowie, że nie ma najmniejszych wątpliwości, iż

dzieło to nie jest wybrykiem natury, lecz raczej wynikiem trwającej całe dziesięciolecia pracy niezliczonych kamieniarskich dłoni.

Lecz właściwa archeologiczna sensacja w postaci kuli czeka na odszyfrowanie w małym środkowoamerykańskim państewku Kostaryka. W sercu dżungli i na szczytach wysokich gór, w deltach rzek i na wzgórzach spoczywają setki, jeśli nie wręcz tysiące sztucznych kamiennych piłek. Ich średnica waha się od kilku centymetrów do dwóch i pół metra. Najcięższa z odkopanych dotąd kul waży 16 ton!

Słyszałem o tej sensacji, dlatego pojechałem na dziesięć dni do Kostaryki, typowego państwa rozwijającego się, do którego jak na razie nie dotarły jeszcze masy turystów, toteż pogładowa lekcja, jaką sobie zaplanowałem nie należała do lekkich, łatwych i przyjemnych. Niemniej jednak to, co zobaczyłem, z nawiązką wynagrodziło mi wszelkie trudy.

Pierwsze kule jakie zobaczyłem, bez żadnej widocznej przyczyny leżały sobie na płaskim terenie. Następnie ujrzałem kilka skupisk kul na szczytach wzgórz. Kilka z nich leżało zawsze pośrodku podłużnej osi wzgórza. Brodziłem po mulistej rzece napotykając całe gromady kul ułożonych w dziwne, niezrozumiałe konfiguracje, w których widać jednak było pewien celowy porządek.

Na rozżarzonej równinie Diquis w bezlitasnych promieniach słońca od niepamiętnych czasów leży 45 kul. Czy miały powiedzieć nam coś, czego nie potrafiliśmy dotąd i nadal nie potrafimy pojąć?

Abym mógł zaspokoić swoją ciekawość i zobaczyć oraz sfotografować kule pod Piedras Blancas, na południowy weseód od Coto River - także

w Kostaryce - musieliśmy pokonać niecałe sto kilometrów, ale nasz landrover potrzebował na to całego dnia. Co chwila musieliśmy usuwać z drogi jakieś przeszkody, podnosić we czterech nasz pojazd, na siłę przeciskać się przez niektóre zakręty. W pewnym momencie nie mogliśmy już jednak jechać dalej. Bubu, półkrwi Indianin, który był naszym przewodnikiem, szedł przodem oczyszczając drogę. Gdyby nie jego znajomość rzeczy, dwa razy wplątaliśmy się w pajęczyny o niewyobrażalnych wręcz rozmiarach. Czyhające w nich obrzydliwe pająki są jadowite i mogą stanowić zagrożenie dla życia.

Wreszcie stanęliśmy przy dwóch potężnych kulach w środku pierwotnej dżungli, a każda z nich sięgała wyżej naszych głów. Chciałem je zobaczyć na własne oczy właśnie dlatego, że leżą w głębi dżungli. Istnieje opinia, że kule mają zaledwie kilkaset lat. Ktoś, kto jak ja raz się przy nich znalazł, nigdy w to nie uwierzy. Sama dżungla jest tutaj niewyobrażalnie stara, a w moim przekonaniu kule leżały w tym miejscu jeszcze zanim rozpleniła się bujna roślinność.

Wprawdzie potrafimy dziś przy zaangażowaniu olbrzymich środków "przesadzić" w inne miejsce świątynię Abu Simbel, ale wydaje mi się wątpliwe, abyśmy potrafili zdeponować takie kule w dżungli, jak to zobaczyłem pod Piedras Blancas.

Widziałem w Kostaryce jeszcze inne kule:

- w Golfo Dulce leży 15 gigaratycznych piłek ułożonych idealnie w linii prostej,
- na północ od Sierra Brunquera, w pobliżu miasteczka Uvita,

napotkałem 12 kul,

- w mulistym korycie rzeki Esquina odkryto 4 kule,

- na wyspie Camaronal leżą 2 kule,

- liczne kule znajdują się na szczytach Cordillera Brunquera

w okolicy Rio Diquis.

Większość tych zagadkowych kul wykonana jest z granitu lub lawy.

Z pewnością nie da się już ustalić dokładnej liczby istniejących

pierwotnie kul. Wiele z tych okazów zdobi dziś ogrody i parki lub też

budynki użyteczności publicznej. Ponieważ w jednej ze starych legend

jest mowa o tym, że w środku tych kul ukryte jest złoto, wiele z nich

roztrzaskano. Warto przy okazji zauważyć, że mimo tak licznych

znalezisk nigdzie nie ma śladu kamieniołomu, z którego mogłyby

pochodzić kule. Tak jak w wielu podobnych przypadkach tak i tutaj

brakuje śladów, które mogłyby nas doprowadzić do ich "wytwórców".

W latach 1940--1941, w czasie kultywacji trzęsawisk i lasów u stóp

Cordillera Brunquera po obu stronach Rio Diquis przez United Fruit

Company, archeolog Doris Z. Stone odkryła wiele kamiennych kul.

Napisała potem obszerną relację z tego odkrycia, kończąc ją pełnym

rezygnacji stwierdzeniem: "Kule z Kostaryki trzeba uznać za kolejną nie

rozwiązaną zagadkę megalityczną."

I rzeczywiście nie wiemy, kto stworzył kamienne piłki, nie wiemy,

jakimi narzędziami wykonano tę pracę, nie wiemy, w jakim celu wykuto

z granitu kule i nie wiemy też, kiedy się to stało. Wszystko co

archeologowie potrafią dziś powiedzieć na wyjaśnienie sprawy "indiań-

skich piłek", czy też "piłkę z nieba", jak nazywają kulę miejscowi, to czysta spekulacja. Miejscowa legenda powiada, że każda z kul symbolizuje słońce - jest to interpretacja, na którą można by się ewentualnie zgodzić. Badacze starożytności odrzucają jednak tę wersję, ponieważ akurat w tych szerokościach geograficznych słońce od dawien dawna przedstawiano jako złotą tarczę, krąg lub dysk, nigdy natomiast jako kulę, i to ani u Majów, ani u Azteków.

Jedno jest chyba pewne: kule nie mogły powstać bez pomocy urządzeń mechanicznych. Odznaczają się bowiem taką perfekcją wykonania, o jakiej można tylko marzyć - są doskonale kuliste i mają doskonale oszlifowane powierzchnie.

Archeolodzy badający kule z Kostaryki stwierdzili, że w żadnej z nich nie ma najmniejszych odstępstw od przyjętej średnicy. Dokładność wykonania pozwala przypuszczać, że ich twórcy dysponowali dobrą znajomością geometrii oraz specjalizowanymi narzędziami.

Gdyby prehistoryczni kamieniarze zakopywali surowiec w ziemi i obrabiali po kawałku wystające części, z konieczności pojawiłyby się nierówności i niedokładności, ponieważ nie można byłoby kontrolować kształtów ukrytych pod ziemią części. A więc tę prymitywną metodę trzeba całkowicie wykluczyć. Trzeba też było dużym nakładem sił sprowadzić skądś surowiec, ponieważ nigdzie w pobliżu nie było kamieniołomów. Ponadto skalne bloki trzeba było wycinać bądź odszczepiać od masywu. W wyniku rozważań doszedłem do wniosku, że musiała być w to zaangażowana ogromna ilość robotników dys-

ponujących w dodatku narzędziami, bez których ta pracajest całkowicie
nie do pomyślenia,

Nawet jednak przy takich założeniach pozostaje niepojęte, dlaczego
gotowe kule umieszczano w dowolnie wybranych miejscach, na przy-
kład na szczytach wzgórz. Cóż za absurdalny pomysł i jaki gigantyczny
nakład sił i środków! Wymyślono rozwiązanie tej zagadki, ale raczej na
potrzeby bardzo powierzchownych przewodników: otóż kule miały być
podobno wtaczane korytami rzek! Gdyby nie chodziło o tak poważną
dla mnie kwestię, to skwitowałbym tę naiwność śmiechem. W mulistych
- częściowo także zwirowatych - rzekach ciężkie kule po prostu
utknęły, zapadły się!

Jest pewien fakt, który dość bezceremonialnie wchodzi w paradeę
zwolennikom teorii "rzecznej" i który istniał niezmiennie przez
wieki: otóż na całym obszarze między granitowymi górami, z których
musiano pozyskiwać materiał na większość kul, a miejscami w delcie
Diquis, gdzie je znajdowano, rozeiąga się tylko i wyłącznie parująca
dżungla - trzy niewielkie rzeczki stanowią zaś dość poważną prze-
szkodę w transporcie tak potężnych bloków skalnych, jeśli nie dys-
ponuje się podnośnikami, dźwigami i specjalnymi łodziami transpor-
towymi. Nie dość na tym. Patrząc od strony granitowych skał stwier-
dzamy, że większość kul znajduje się dodatkowo na drugim brzegu Rio
Diquis! Przewoźnicy musieliby zatem przetransportować materiał
w czarodziejski sposób przez wody tej rzeki. Zauważyłem, że ilekroć
archeologowie nie potrafią wyjaśnić gigantycznych osiągnięć transpor-

towych, uciekają się do teorii "toczenia". Niestety ponosi ona sromotną klęskę w obliczu gigantycznych kul na szczytach wzgórz! Pewien fachowiec powiedział mi, że dla sporządzenia kamiennej kuli o wadze 16 ton konieczny jest materiał wyjściowy o wadze 24 ton. Biorąc pod uwagę niezliczoną ilość kul można sobie mniej więcej wyobrazić jak gigantyczną ilość surowca kiedyś na nie zużyto.

Widziałem ten fantastyczny świat kamiennych kul, przekonałem się o jego niepokojącym istnieniu. Teraz próbuję odnaleźć rozwiązanie jego zagadki. Kiedy zapytać Kostarykańczyków o pochodzenie i znaczenie kamiennych kul, napotyka się milczenie i nieufność. Choć nawróceni przez działalność misyjną Kaścioła i "oświeceni" przez kontakty z Zachodem, mieszkańcy tego kraju pozostają w głębi duszy zabobonni. Dwóch archeologów z Museo Nacional w San Jose, do których zwróciłem się z pytaniami wyjaśnili mi, że kamienne kule są Wyrazem kultu gwiazd, może stanowią też coś w rodzaju kalendarza lub też są ewentualnie symbolami religijnymi bądź magicznymi. Uporczywie pytałem dalej, ponieważ wyjaśnienia te wcale mnie nie zadowalały, w końcu jednak przyszło mi stwierdzić, że owo misterium kamiennych kul wciąż stanowi pewnego rodzaju niezgłębione dla moich interlokutorów tabu.

Ponieważ kompetentni archeologowie nie mogli lub nie chcieli mi pomóc, próbowałem wypytywać samych Indian. Wyćwiczony różnymi kontaktami z ludnością tubylczą wielu krajów świata szybko wyczułem, że gdy tylko rozmowa schodziła na sprawę kul, zaczynali się

czegoś bać. Jest rzeczą w najwyższym stopniu zdurniewającą, jak ci biedacy, zazwyczaj chciwi każdego grosza nawet za całkiem pokaźną sumę nie okazują chęci zaprowadzenia mnie na odległą o niecałe 600 m skałę z trzema kulami. Bubu stanowił wyjątek!

Pewien Niemiec, który od ponad czterdziestu lat jest właścicielem pensjonatu "Anna" w San Jose, uchodzi za człowieka, dysponującego najbogatszymi materiałami na temat kul. Długo rozmawiałem z nim o ich tajemnicy. Człowiek ten pokazał mi sporo robiących wrażenie zdjęć, ale przez cały czas zachowywał się tak, jakby kazano mu strzec tajemnicy drogiego skarbu. Pokazał mi szkice sytuacyjne, schematy ustawienia kul, odmawiał jednak dokładnego podania lokalizacji. Nie pozwolił mi nawet skopiować swoich szkiców.

- Nie, nie wolno! - brzmiała stereotypowa odpowiedź.

Gdybym nie wiedział tego wcześniej, to najpóźniej podczas pobytu w Kostaryce musiałbym sobie uświadomić, że sprawę kul okrywa jakaś tajemnica. Nie zdołałem wprawdzie uchylić jej rąbka, wzmocniło to jednak moje przypuszczenie, że prehistoryczne kule jak też wszystkie ich przedstawienia na reliefach oraz skalnych ścianach, pozostają w przy- czynowym związku z wizytą obcych istot rozumnych, które wylądowały na Ziemi w kulistym pojeździe. One już wiedziały i sprawdziły, że kula to najodpowiedniejszy kształt dla międzygwiazdowego statku kosmicznego.

Długa wyprawa z powrotem do gwiazd, jaką podejmiemy z naszej planety pewnego, nie tak już pewnie odległego dnia, również odbędzie się przypuszczalnie w kulistym pojeździe - ponieważ ze wszystkich form

geometrycznych właśnie kula w najbardziej naturalny sposób nadaje się do podróży kosmicznych.

VI. Wczoraj utopia - jutro rzeczywistość

Do mojej książki Wspomnienia z przyszłości napisałem też rozdział; w którym przepowiadałem masowy exodus ludzi z naszej planety na inne ciała niebieskie. Wydawało mi się, że ta sprawiająca utopijne wrażenie propozycja może być rozwiązaniem niesłychanej eksplozji demograficznej, na którą jak się zdaje, nie ma lekarstwa. Ostatecznie jednak usunąłem ów futurologiczny rozdział tuż przed drukiem. Nie chciałem stawiać moich czytelników w obliczu tak "niemożliwych" wizji, aby ich nie odstraszyć. Postęp przerasta moją ówczesną wizję - zupełnie spokojnie mogłem ją wtedy przedstawić!

Dziś wiemy już o radzieckich i amerykańskich eksperymentach, których celem jest urzeczywistnienie tej dziś jeszcze niewiarygodnie brzmiącej idei. Badania profesora Carla Sagana z Uniwersytetu Harvarda i profesora Martynowa z Instytutu Sternberga w Moskwie dotyczą w zasadzie tego samego: chodzi o zdobycie dla ludzkości Wenus, której odległość od Ziemi waha się od 40 milionów (konjunkcja dolna) do 259

milionów kilometrów (koniunkcja górna).

Badania laboratoryjne opierają się na "meldunkach szpiegowskich" radzieckich sond wenusjańskich oraz amerykańskich "Marinerów".

6 czerwca 1969 agencja TASS podała, że na powierzchni Wenus panują temperatury od 400 do 530°C. Pokrywa się to mniej więcej z danymi amerykańskiego "Marinera 5" przekazanymi na Ziemię w roku 1967 (temperatura około 480°C, ciśnienie 50-70 atmosfer). Dokładniejsze dane uzyskali Rosjanie po miękkim lądowaniu sond. Wynika z nich, że atmosfera Wenus zawiera 93-97% dwutlenku węgla, 2-5% azotu i gazów szlachetnych, a zawartość wolnego tlenu wynosi zaledwie 0,4o/o. Zawartość pary wodnej określono na 4--11 mg/l.

Dane te stanowią cenny materiał roboczy. Zarówno Sagan, jak i Martynow opracowali na tej podstawie plany biologicznego uzdatnienia naszej Gwiazdy Zarannej. Carl Sagan zdążył już opublikować swoje przemyślenia w naukowym czasopiśmie "Science", o którym się powiada, że nie publikuje żadnych materiałów, które nie zostały wcześniej kilkakrotnie zweryfikowane.

Sagan twierdzi, iż w niedalekiej przyszłości (mówi o kilku dziesięcioleciach) statki kosmiczne o wielkich przestrzeniach ładunkowych "wysypią" w atmosferę Wenus wiele tysięcy ton sinic, tzn. "wydmuchną je w stronę powierzchni. Sinice potrafią przeżyć nawet w wysokich temperaturach i w toku przemiany materii zmniejszają zawartość dwutlenku węgla. Wskutek stale zachodzących procesów przemiany materii stopniowo obniżyłaby się temperatura powierzchni spadając

w końcu poniżej 1 000 C. Sinice doprowadziłyby zatem do takich samych reakcji chemicznych, jakie zachodziły w "prazupie" na naszej Ziemi - dzięki światłu i wodzie cząsteczki dwutlenku węgla uwalniałyby tlen. Gdyby jednak doszło do obniżenia temperatury do wartości poniżej 100°C, spowodowałyby to ulewne deszcze. Światło, tlen i woda stworzyłyby wówczas warunki do powstania pierwszych prymitywnych form życia!

Ponieważ badacze myślą już o ewakuacji ludzi na inną planetę, zaplanowali też pewne środki zapobiegawcze dla ochrony wrażliwych, przerasowionych istot, jakimi jesteśmy. W drugim etapie kolonizacji Wenus rozpylono by specjalne chemikalia dla zniszczenia drobnoustrojów, które mogłyby się ewentualnie okazać szkodliwe dla "korony stworzenia".

Realizacji tego gigantycznego projektu doczekają dopiero przyszłe pokolenia i to w bardzo odległej przyszłości, bowiem mimo iż tego rodzaju procesy można będzie pewnie przyspieszyć dzięki postępowi w technice, to jednak trzeba się liczyć z miarami czasu właściwymi powstawaniu nowych światów. Obecnie badacze przyjmują, że pierwszy statek kosmiczny z emigrantami będzie mógł wylądować na Wenus za 1000 lat.

Technika nas rozpieszcza. 20 lipca 1969 roku setki milionów ludzi oglądało moment, kiedy to o godzinie 3:56 czasu środkowoeuropejskiego astronauta Neil Alden Armstrong i Edwin E. Aldrin jako pierwsi ludzie stawiali stopę na Księżycu. To jak dotąd najdonioślejsze wydarzenie

w dziejach podróży kosmicznych wprowadziło ludzkość na całą Ziemię w euforię i podziw. Lecz kiedy człowiek odbywa zapierającą dech w piersiach podróż na Księżyc, uczeni zajmują się już lotami zwiadowczymi na Marsa i Wenus, a także problemami wielkich przemieszczeń ludzkości na siostrzaną planetę Ziemi. Tak jak podbój Księżyca rozpoczęto od wysłania bezzałogowych sond, tak samo wysyła się bezzałogowe sondy dla zbadania Wenus. 18 maja 1969 nadeszła z Moskwy wiadomość, że po 130 dniach lotu sonda kosmiczna "Wenus-5" pokonała liczącą 250 milionów kilometrów trasę przemieszczając masę użyteczną 1130 kilogramów. Kiedy do Wenus zostało już tylko 50 kilometrów, stacja naziemna przekazała drogą radiową ostatnie polecenie, nakazujące wyrzucić na spadochronie lądownik z aparaturą badawczą. Jak podała agencja TASS, lądownik opadał przez 57 minut.

Odległość Wenus od Ziemi zależy od odległości jej orbity od naszej planety i waha się w przedziale od 40 do 259 milionów kilometrów. Radzieckie sondy nie lecą do Wenus najkrótszą drogą. Brzmi to paradoksalnie, ale radziecka zasada planowania trajektorii lotu sond wenusjańskich obowiązuje dziś dla wszystkich lotów międzyplanetarnych. Otóż tor lotu dobiera się pod kątem najmniejszego zużycia paliwa niezbędnego do przeniesienia pojazdu w żądany punkt Kosmosu. Przy starcie do lotu bezpośrednio w stronę Wenus sonda musiałaby osiągnąć prędkość 31,8 km/s. Do startu a także do późniejszego wyhamowania prędkości początkowej trzeba by zużyć wielkie ilości paliwa, dlatego

specjaliści od balistyki wyliczają najbardziej korzystne trajektorie lotu, możliwie dopasowane do ruchu Ziemi. Najkorzystniejsza przy tych założeniach trajektoria jest wprawdzie dziesięciokrotnie dłuższa od bezpośredniej trasy, pozwala jednak ograniczyć prędkość startową do 11,48 km/s i poprzestać na znacznie mniejszym zużyciu paliwa.

Co właściwie jest dziś jeszcze prawdziwą utopią? Badania podstawowe w tak szaleńczym tempie stają się naukami stosowanymi, że autorom s-f trudno dziś dalej wymyślać rzeczy nie do pomyślenia.

Profesor Hannes Laven, dyrektor Instytutu Genetyki uniwersytetu w Moguncji, oświadczył w maju 1969 na forum publicznym, że obecnie bez użycia insektycydów - czyli środków chemicznych, którymi dotychczas zwalczano szkodliwe owady i ich potomstwo - można będzie zniszczyć miliardy owadów, groźnych dla ludzi, zwierząt i roślin jako roznosiciele chorób. Profesor Laven dowiódł skuteczności swoich badań już w roku 1967 w nawiedzonym plagą komarów Okpo w Burmie. Otóż w ciągu paru miesięcy Okpo było wolne od komarów.

Przez długie lata profesor Laven eksperymentował w laboratoriach uniwersytetu i stwierdził, że pomiędzy komarami pochodzącymi z różnych okolic istnieje naturalna niemożność kojarzenia się. Komary z północnych Niemiec jak najbardziej były gotowe do lotów godowych z komarami z południa Niemiec, lecz splodzone na przekór wszystkim

federalnym odmiennościom potomstwo było niezdolne do życia. Wyszło stąd wniosek, że skoro nie ma zgodności już między komarami z różnych części jednego kraju, to skojarzone ze sobą komary z różnych kontynentów tym bardziej powinny wydać na świat niezdolne do życia potomstwo. Wyhodowano więc rasę, będącą krzyżówką komarów kalifornijskich i francuskich - jednym słowem prawdziwe "mieszance". Samce rasy mieszanej z Mainz przewiezione do wioski Okpo i wypuszczone na wolność okazały się nadzwyczaj chutliwe, robiąc prawdziwą konkurencję samcom miejscowym. Lecz z jajeczek, które składały zapłodnione przez nie samiczki nie wylęgały się już komary. Liczba chromosomów u komarów różnych ras nie zgadzała się ze sobą - doszło do genetycznej zagłady. Pożytek z takiej genetycznej likwidacji komarów jest oczywisty: odpada mianowicie niebezpieczeństwo, że przy okazji trucia owadów zatruje się też produkty spożywcze i rośliny. Profesor Laven kontynuuje swoje badania posługując się najnowszymi zdobyczami wiedzy. Napromieniowuje mianowicie samce komarów dawką promieni rentgena wynoszącą 4000 remów. Dawka ta nie wywołuje jeszcze wprawdzie zmian organicznych owada, ale dochodzi do przerwania łańcuchów chromosomowych zawartych w płynie nasiennym. Powoduje to zaburzenie gospodarki chromosomowej, dochodzi do zamiany genów, rozwój zachodzi w niewłaściwej kolejności, nowo powstałe owady są wprawdzie nadal zdolne do rozrodu, ale ich potomstwo jest coraz mniej liczne. Na temat kilku pokoleń komarów, które przeszły tego rodzaju zabieg Laven powiedział: "Na seminieplod-

ność nie ma antidotum, ponieważ jest ona dziedziczna".

Profesor Laven jest przekonany, iż jego modelowy eksperyment w stosunkowo krótkim czasie będzie można zastosować także przeciwko innym szkodliwym owadom, a nawet że tą drogą uda się zwalczyć plagę szczurów.

Niesłychane możliwości, jakie stwarzają manipulacje kodem genetycznym nie są utopią. Mamy do czynienia z faktami naukowymi.

Oczywiście między "wczoraj" a "jutro" rozpościera się przepaść, którą trzeba przeskoczyć. To, co jeszcze odkryjemy, najprawdopodobniej już raz kiedyś było.

Nowa wiedza i nowe wiadomości pomogą pewnego dnia stworzyć niezbędny do lotów międzygwiazdnych ludzki organizm, który nie będzie podatny na choroby i zniesie wszelkie możliwe obciążenia.

Nauki medyczne już od ponad 20 lat zajrnują się problemem transplantacji narządów, ale dopiero po przeszczepieniu ludzkiego serca wokół tych niezwykle znaczących dla nauki zabiegów zrobił się niezdrowy szum. Kiedy w latach 40-tych przeszczepiono kawałki skóry i zęby, kiedy w 1948 dokonano wymiany kości, a w 1950 transplantacji nerki, nikogo to specjalnie nie zainteresowało. W roku 1954 dokonano pierwszej udanej transplantacji kończyny psa. W 1955 po raz pierwszy wszczepiono człowiekowi płuco. W 1967 po raz pierwszy zmieniła właściciela trzustka. W roku 1969 lekarze odważyli się na przeszczep

wątroby. Transplantacje innych narządów również przebiegały pozytywnie.

Dopiero kiedy przyszła kolej na serce, w którym tradycyjnie upatrujemy czegoś więcej niż tylko zwykłej pompy tłoczącej krew, we wszystkich gazetach świata rozgorzały gwałtowne dyskusje i polemiki wokół sprawy transplantacji. Co dziwne, ludzie, którzy przecież tak lubią żyć i tak bardzo boją się śmierci, bynajmniej nie przyklasnęli jednogłośnie temu postępowi w sztuce lekarskiej. A przecież to nader znaczący krok naprzód, jeśli można uratować życie człowieka wymieniając źle funkcjonujący narząd! Wiele zespołów operacyjnych opanowało już chirurgiczne techniki transplantacji. Gdy tylko uda się zahamować reakcje układu immunologicznego bez obniżenia naturalnej odporności organizmu na infekcje, transplantacje staną się czymś oczywistym, jak dziś operacja wyrostka robaczkowego. W tym jednak momencie trudnością stanie się zapewnienie narządów do transplantacji. Aby w sytuacji, kiedy dla uratowania życia konieczna jest natychmiastowa operacja, uniknąć przeszkody, jaką stanowią tabu się gromadziło ludzkie narządy dla nieznanymi potencjalnych biorców. Było nie było "sok życia" i w dodatku coś znacznie bardziej tajemniczego niż serce-pompa. No tak, to prawda, krew ludzie oddają z własnej woli. Ale dlaczego pewnego dnia nie miałyby tak samo być z narządami?

Jestem zdania, że także przeszczepy narządów stanowią jedynie stadium przejściowe. Jeśli pewnego dnia uda się zaprogramować

w podwójnej spirali DNA informację na temat odtworzenia poszczególnych narządów, już wkrótce metody doktora Frankenstein'a pójdą w zapomnienie. Radzieckiemu naukowcowi L.W. Poleżajewowi udało się już spowodować samodzielną regenerację uszkodzonej pokrywy czaszki jak też odrostanie amputowanych kończyn. Pewnego dnia będziemy też mieli chirurgię genetyczną. Utopia? Nie wydaje mi się, zwłaszcza kiedy wiem, że doktor Teh Ping Lin z San Francisco już w roku 1966 dokonał iniekcji do komórki jajowej myszy. Komórka jajowa myszy ma wielkość zaledwie jednej dziesiątej czerwonej krwinki i jest niewidoczna gołym okiem!

Profesor E.H. Graul, dyrektor Instytutu Radiobiologii i Zastosowania Izotopów w Medycynie na Uniwersytecie Filipa w Marburgu oraz cybernetyk dr Herbert W. Franke opublikowali w czasopiśmie medycznym "Deutsches Arzteblatt" prognozy na lata 1985 i 2000.

Prognoza osiągnięć medycyny na rok 1985:

- Opanowanie transplantacji narządów ludzkich i zwierzęcych, eliminacja reakcji odrzucania przeszczepów.
- Rutynowe stosowanie sztucznie wytworzonych narządów lub też systemów biologicznych (protezy narządów z tworzyw sztucznych i/lub części elektronicznych - idea cyborgów).
- Wielkie postępy w dziedzinie gerontologii i geriatrii. Przeciętna długość życia człowieka wynosi 85 lat.

- Udana próba manipulacji procesami starzenia się organizmu; uwarunkowane wiekiem zmiany psychiczne i fizyczne zostają spowolnione.
- Pierwsze pozytywne wyniki w próbach stworzenia prymitywnych form życia.
- Bioelektronika wywiera istotny wpływ na medycynę praktyczną (elektroniczne protezy, radar dla niewidomych, kończyny z serwomechanizmami itd.).

Prognoza osiągnięć medycyny na rok 2000:

- Hibernowanie ludzi na przeciąg godzin i dni.
- Ustalenie płci dziecka przed narodzinami.
- Możliwość transplantacji dowolnego narządu.
- Korekta defektów dziedzicznych.
- Rutynowe manipulac■e materiałem genetycznym zwierząt i roślin.
- Wytworzenie sztucznych form prymitywnego życia.
- Zastosowanie promieni laserowych z zakresu promieniowania rentgenowskiego i gamma.
- Powszechne biochemiczne uodpornienie na choroby.
- Powszechne zastosowanie rozwiązań typu cyborg (sztuczne narządy).
- Manipulowanie istotami żywymi poprzez elektryczną stymulację mózgu.
- Zastosowanie narkotyków do stabilizowania stanów psychicznych

człowieka. Środki chemiczne na poprawę pamięci i zdolności uczenia się.

Twierdzę, że: obce istoty inteligentne dysponowały tymi umiejętnościami w zamierzchłej przeszłości naszej planety.

Twierdzę, że: "bogowie" pozostawili tę wiedzę na Ziemi.

Twierdzę, że: odkrycia, jakich dokonamy jeszcze w najróżniejszych dziedzinach badań od niepamiętnych czasów przechowywane są w kolektywnej pamięci ludzkości i tylko czekają na to, by je wywołać.

Krok na tej drodze stanowią eksperymenty Davida E. Breslera z uniwersytetu w Los Angeles oraz Mortona Edwarda Bittermana z Bryn Mawr College w Pensylwanii. Naukowcy ci wszczepili dodatkową tkankę mózgową rybam. Bogatsze o przeszczepioną tkankę ryby bardzo szybko okazały się znacznie mądrzejsze od swoich pobratymców. W Cleveland Hospital (USA) trwa seria eksperymentów, polegających na przeszczepianiu małpich mózgów psom.

Dlaczego kapłani Majów wydzielali z piersi jeńców trzepoczące jeszcze serca?

Dlaczego kanibale byli przeświadczeni, że zjadając ciała zabitych wrogów wchłoną ich siłę i inteligencję?

Dlaczego w jednym z mitów z zamierzchłej przeszłości twierdzi się; że ciało człowieka należy do niego tylko przejściowo i że w każdej chwili

musi być przygotowany na konieczność oddania go swojemu "dobroczyńcy"?

Czy mamy prawo dopatrywać się w odprawianym przez tysiące lat rytuale składania ofiar z ludzi czegoś więcej niż tylko działań okultystycznych? Czy są to okruchy wspomnień z transplantacji, operacji, regeneracji komórek, przekazywane przez wieki w okaleczonej formie? Rozważmy kolejną możliwość: "myślący" komputer będzie pomocny człowiekowi także podczas pokojowego zdobywania Kosmosu. Nawet jeśli już dziś zdumiewają nas zdolności obliczeniowe tego urządzenia, to jednak możliwości przetwarzania informacji przez te elektroniczne cudowniki są dopiero w powijakach.

Ponad 200 lat temu genialny matematyk Leonhard Euler obliczył liczbę pi z dokładnością do 600 miejsc po przecinku. Na osiągnięcie tego niebywałego rezultatu potrzebował wielu lat. Jeden z pierwszych komputerów w ciągu paru sekund wypuł liczbę pi obliczoną z dokładnością do 2000 miejsc po przecinku! Nowoczesny komputer podaje tę stałą z dokładnością do 100 tysięcy miejsc po przecinku w czasie jednej nanosekundy, czyli jednej miliardowej sekundy!

"Mózg" komputera, jego pamięć centralna, operuje dziś mniej więcej milionem jednostek informacji. W języku fachowców komputerowych nazywają się one "bitami". Mózg ludzki pracuje na bardzo podobnej zasadzie, bowiem informacje przechowywane i przetwarzane są przez molekularne jednostki pamięci i neuronowe "przełączniki". Informacje wchłania już - choć nieświadomie - nawet niemowlę w kołysce. Przez

całe życie gromadzimy informacje, by sięgać po nie w razie potrzeby.

Niestety, aż za często przychodzi nam stwierdzić, że nasz mózg niezbyt sprawnie operuje przechowywaną wiedzą.

Pamięć komputera działa z zupełnie inną precyzją! A przecież nasz mózg dysponuje ponad 15 miliardami przełączników, podczas kiedy duży komputer ma ich do dyspozycji zaledwie IO milionów. Dzięki połączeniom krzyżowym między tymi przełącznikami mogą powstać nowe elementy informacji. Dlaczego zatem komputer pracuje o niebo sprawniej od ludzkiego mózgu? Z reguły dziewięć dziesiątych naszego mózgu leży odłogiem - komputer natomiast ma stały dostęp do wszystkich swoich "bitów".

Już dziś przewaga komputera jest wręcz zawstydzająca. Jeśli nasz mózg ma pracować z maksymalną wydajnością, musimy się skoncentrować na jednym zadaniu. Komputer natomiast może wykonywać miliony różnych działań jednocześnie.

Najszybsza obecnie maszyna licząca w Europie pracuje w Instytucie Fizyki Plazmowej w Garching pod Monachium. Potrafi ona przeprowadzić 16,6 miliona operacji na sekundę. W elektronicznym brzuchu maszyny znajduje się 750 tysięcy tranzystorów połączonych ze sobą na obwodach drukowanych tak, aby drogi między nimi były jak najkrótsze. Fale elektromagnetyczne umożliwiające komunikację poruszają się z prędkością światła! Fachowcy od komputerów operują rutynowo czasami przełączeń wynoszącymi 1,5 nanosekundy. W czasie jednej nanosekundy promień świetlny przebywa drogę 45 cm...

Kiedy jednak uświadomimy sobie, że najnowszy komputer w Control Data Corporation wykonuje 36 milionów operacji na sekundę, to najszybsza maszyna licząca Europy znowu wydaje się dosyć ślamazarnym urządzeniem. W porównaniu z nimi jeden z modeli General Electric oznaczony symbolem GE-235 można określić mianem komputera domowego. Wprawdzie wykonuje zaledwie 165 tys. operacji na sekundę, ale za to nie trzeba go od razu kupować na własność! Za 4 centy za sekundę od każdego użytkownika można sobie wynająć jego usługi.

Na przestrzeni jednego milimetra kwadratowego pamięć ferrytowa nowoczesnego komputera potrafi przechować 200 tys. liczb. Pamięć bębnowa bez przerwy łyka posłusznie do IO milionów danych. Wszystkie komputery są w dodatku wybitnie wzorowymi uczniami: same się sprawdzają i nigdy nie popełniają dwa razy tego samego błędu.

Dziś komputery potrzebują jeszcze tłumaczy, którzy przełożą nasz język na cyfry i pojęcia różnych języków komputerowych. Jednak już na rok 1980 przewiduje się bezpośredni kontakt głosowy z tymi niesamowitymi pomocnikami. W Ameryce, ale także w Anglii, która jest bardzo zaawansowana w technice komputerowej, trwają prace nad rozbiciem języka ludzkiego na grupy symboli, które byłyby zrozumiałe dla komputera. W tym właśnie kierunku zmierzają prace badawcze wszystkich producentów komputerów. Koncern IBM natomiast, największy producent komputerów, uważa ludzki język za zbyt powolny środek komunikacji człowieka z maszyną. Trwają tam poszukiwania całkowicie nowego medium do przekazywania informacji.

Powiedziałem poprzednio, iż technika komputerowa stoi dopiero u progu wielkich możliwości. W przyszłości badania mają zmierzać ku zaiste upiornemu celowi: stworzeniu pamięci biotronicznej. Wszystko wskazuje na to, że kwasy nukleinowe posiadają właściwości magnetyczne. Jeśli przypuszczenie to okaże się prawdziwe, to właśnie one będą stanowiły najmniejsze nośniki informacji. Gdyby wyniki badań były pomyślne, to znaczne dziś jeszcze gabaryty maszyn liczących można by zredukować do wielkości ludzkiego mózgu. Biotroniczne komórki z informacją miałyby "rozmiary" cząsteczek łańcucha nukleinowego. Przypuszczam, że uda się osiągnąć zamierzony cel, obawiam się jednak zarazem, że takie biotroniczne maszyny liczące będą podatne na infekcje bakteryjne i wirusowe.

W podróży międzygwiazdnych operuje się odległościami rzędu setek milionów kilometrów. Przy zakładanych prędkościach komputer będzie czymś więcej niż tylko niezbędnym niewolnikiem do wykonywania obliczeń. Nawet jeśli producenci komputerów uważają dziś jeszcze za czczy wymysł pogląd, iż pewnego pięknego dnia komputery zaczną samodzielnie myśleć i samodzielnie działać, to jednak ten dzień niewątpliwie nadejdzie. Wówczas komputery same będą sterowały statkami kosmicznymi w czasie podróży między planetami.

Daleki jestem od twierdzenia, iż nasi praprzodkowie wiedzieli cokolwiek o komputerach, obwodach scalonych czy przyrządach pomiarowych. Ponieważ jednak jestem przekonany, że pozaziemskie istoty rozumne złożyły kiedyś wizytę na naszej planecie, ich statki

kosmiczne nausiały być wyposażone w odpowiednią aparaturę. A ponieważ my, ludzie, zastaliśmy zaprogramowani przez "bogów", już wkrótce będziemy rozporządzać podobnymi cudami techniki.

VII. Rozmowy w Moskwie

Sobota, 18 maja 1968 roku. Aleksander Kazancew, renomowany radziecki pisarz ostrożnie schował z powrotem do stojącej naprzeciwko okna w jego moskiewskim mieszkaniu gabloty trzy figurki, których widok zrobił na mnie głębokie wrażenie. Były to trzy odlane z brązu starejapońskie statuetki, mające na sobie coś jakby skafandry kosmiczne. Największa z nich mierzy prawie 60 cm wysokości i ma średnicę 12 cm. Od ramion biegną w dół przylegające do ciała taśmy krzyżujące się na piersiach i łączące się następnie między udami na wysokości pośladków. Szeroki, nabijany nitami pas opina biodra. Na całym kombinezonie aż do samych kolan widoczne są przypominające kieszenie wybrzuszenia. Hełm jest ściśle połączony z tułowiem guzami i taśmami. Niesamowicie wyglądające puste powierzchnie są zapewne otworami wbudowanych w hełm aparatów oddechowych

i urządzeń łącznościowych. Na dolnej połowie głowy widać jeszcze dwa inne otwory.

Najbardziej fascynujące są w tych figurkach niewątpliwie wielkie okulary o ukośnych szparach. Żadnej broni przy nich nie zauważyłem, chyba że jako broń zinterpretujemy krótką pałeczkę, trzymaną w rękawicy prawej dłoni. "Minimiotacz laserowy" mógłby powiedzieć autor powieści science fiction.

- Skąd pochodzą te rzeźby? Od kogo pan je ma? - spytałem

Kazancewa z wielką ciekawością.

Kazancew uśmiechnął się szelmowsko pod wąsem.

- Podarował mi je jeszcze przed wojną, wiosną 1939 roku, pewien japoński towarzysz. Figurki znaleziono w czasie wykopalisk na wyspie Hondo. Datowane są na czasy grubo przed naszą erą. Postaci mają uderzające, by nie powiedzieć jednoznaczne cechy kosmonautów. Nikt jednak nie potrafi powiedzieć, z jakiego to powodu japońscy artyści wyposażyli te miniaturowe statuetki w takie ubiory. Jedno wydaje się w każdym razie pewne: w prehistorycznej Japonii nie znano ani "okularów przeciwsłonecznych", ani tego rodzaju szkła.

Zaraz potem Aleksander Kazancew zabrał mnie na przejażdżkę swoim sfatygowanym autem po cudownie szerokich ulicach metropolii do Instytutu Sternberga na Uniwersytecie Moskiewskim, gdzie zaaranżował dla mnie rendez-vous z profesorem Josifem Samoїłowiczem Szkłowskim, dyrektorem Wydziału Radioastronomicznego.

Warto zobaczyć ten instytut przy Uniwersyteckim Prospekcie 13!

Brzęczy w nim jak w ulu, rojno tam jak w mrowisku. Pulpity i stoliki studentów stoją jak popadnie, gdzie tylko jest trochę miejsca. Puste puszki po konserwach służą za popielniczki. Na ścianach wiszą gigantyczne mapy astronomiczne, przy których stoją rozdyktowane grupki studentów. W jednym kącie wybucha kłótnia o jakiś wzór matematyczny, w innym znów kilku studentów zajmuje się skomplikowanym przyrządem pomiarowym. Od razu się czuje, że praca badawcza jest tu zajęciem kolektywnym.

Drzwi do gabinetu profesora Szkłowskiego były lekko uchylone.

W środku powitała nas mieszanka zapachu książek, papierów i kurzu, która - jak często miałem okazję się przekonać - jest charakterystyczna dla pomieszczeń, gdzie przechowuje się to, co stare, i poddaje krytycznej ocenie to, co nowe.

Profesor Szkłowski podniósł się zza potężnego, usłanego zadrukowanymi i zapisanymi ręcznie papierami biurka i przywitał mnie mówiąc z nieufnym uśmiechem:

- A, to pan jest ten Szwajcar!

Zabrzmiało to niemal jak wyrzut, zupełnie jakby ten kościsty mężczyzna chciał powiedzieć: "Jak to możliwe, aby obywatel tak spokojnego państwa mógł przerażać swoich bliźnich tak szokującymi teoriami". Nasza prowadzona po angielsku konwersacja odznaczała się początkowo pewną rezerwą. Spokojnie, rozważnie, czasami szukając właściwych określeń, słynny uczonek - widać od razu, że ma on świadomość swojej sławy - wyłożył mi swoją teorię księżyców Marsa.

Szkłowski przypuszcza, że obydwie księżycy tej pobliskiej planety są sztucznymi satelitami. Podając mi argumenty na poparcie swojej teorii co chwila wtrącał skromnie, że jest to tylko i wyłącznie jego zupełnie prywatna opinia.

Po wspólnym obiedzie w przepelnionej stołówce profesor Szkłowski rozluźnił nieco nakładany chyba świadomie gorset nieufności i wywiązała się między nami ożywiona dyskusja na temat niemożliwych możliwości w Kosmosie. W końcu mogłem ku swemu zadowoleniu stwierdzić, że również ten czołowy naukowiec bloku wschodniego nie wyklucza możliwości wizyty na Ziemi obcych istot rozumnych. Według jego przypuszczeń w promieniu 100 lat świetlnych od nas powinny się znajdować planety, na których żyją istoty rozumne.

- Ale te odległości, profesorze! W jaki sposób można pokonać tak niewyobrażalne odległości między gwiazdami?

- Oczywiście nie ma dziś na to jednoznacznej odpowiedzi - odpowiedział spontanicznie Szkłowski. - Jak pan wie automaty czy powiedzmy sterowane cybernetycznie stacje nie znają problemu "normalnego" kalendarza ludzkich lat. Cóż więc stoi na przeszkodzie, aby jakiś robot bez uszczerbku odbył trwającą tysiąc lat podróż? Przecież niektóre z wysłanych przez nas dzisiaj satelitów będą funkcjonowały nadal, kiedy my już dawno będziemy gryźć ziemię.

Taka jest opinia uczonego żyjącego za pan brat z materia. Wskazuje ona na techniczną możliwość pokonania niewyobrażalnych odległości.

Z tym że i ona nie wyjaśnia, jakim sposobem istoty żywe mogą przetrwać

tak niesłychanie długie okresy czasu.

Uczynny Aleksander Kazancew czekał już na mnie w swoim przedpotopowym wehikule. Wcześniej odwiedził swoich studentów. W Instytucie czuje się jak w domu. Teraz chciał mnie zawieźć do Muzeum Puszkina szczycącego się znakomitymi zbiorami sztuki asyryjskiej, perskiej, greckiej i rzymskiej. Po drodze rozmawialiśmy o fascynujących sukcesach badawczych, które właściwie powinny do głębi poruszyć naszych archeologów. Kiedy jechaliśmy, Kazancew mówił mi o wielu szczegółach najnowszych badań, a ja rejestrowałem to hasłowo na dyktafonie. W czasie przymusowych postojów pod światłami prosiłem o dokładne przeliterowanie nazwisk i nazw miejscowości. Dzięki temu przywiozłem taśmę z ekscytującą relacją, która z nawiązką zrekompensowała mi trudy tej podróży.

Kazancew zrelacjonował mi przede wszystkim sprawę osobliwych znalezisk w masywie chińskich gór Baian Kara Ula. Jest to opowieść zakrawająca na bajkę.

A oto relacja Kazancewa:

- Był rok 1938, kiedy chiński archeolog Czi Pu Tei odkrył w górskich jaskiniach Baian Kara Ula na granicy chińsko-tybetańskiej kilka grobów szeregowych. Znalazł w nich małe szkielety istot o filigranowej budowie i stosunkowo dużych czaszkach. Na ścianach jaskiń odkrył malowidła naskalne przedstawiające istoty w okrągłych hełmach.

W skałach wyryto także gwiazdy, Słońce i Księżyc, które były ze sobą połączone wiązkami punktów wielkości ziarenek grochu. Czi Pu Tei

i jego pomocnikom udało się wydobyć - i to jest właśnie najbardziej sensacyjne w całym tym odkryciu - 716 granitowych talerzy o grubości dwóch centymetrów każdy, bardzo przypominających wyglądem nasze płyty długogrające. Każdy z kamiennych talerzy miał pośrodku otwór, od którego odchodził spiralnie do krawędzi podwójny rowkowany ciąg znaków.

Chińscy archeologowie wiedzieli, że w tej apuszczonej okolicy żyły niegdyś plemiona Dropa i Kham (Sikang). Twierdzili też, że właśnie przedstawiciele tych górskich plemion byli niewielkiego wzrostu, osiągając przeciętnie 1,30 m...

- A skąd się wzięły takie wielkie czaszki?

- Właśnie to odkrycie zburzyło wszystkie dotychczasowe klasyfikacje antropologiczne. Wielkie, szerokie czaszki nie dawały się za nic dopasować do drobnych szkieletów ludzi z plemienia Dropa i Kham!

Nawet przy maksymalnie dobrej woli! Kiedy Czi Pu Tei opublikował potem w roku 1940 swoją teorię, został wydrwiony. Czi Pu Tei twierdził bowiem, że jeśli idzie o plemiona Dropa i Kham, to musiał to być jakiś wymarły gatunek małpy górskiej. . .

- W jaki zatem sposób powstały kamienne talerze? Czyżby zrobiły je małpy?

- Oczywiście że nie. Zdaniem Czi Pu Tei w jaskiniach zdeponowali talerze dopiero przedstawiciele późniejszej kultury. Jego teoria na pierwszy rzut oka rzeczywiście wydaje się nieco śmieszna. Bo i któż kiedy słyszał o małpich grobach szeregowych?

- I co było dalej? Czy znaleziska trafiły do wielkiego archiwum niewyjaśnionych zagadek archeologiczno-antropologicznych i popadły w zapomnienie?

- O mały włos by się tak stało! Przez ponad 20 lat kilku mądrych ludzi głowiło się nad rozwiązaniem zagadki kamiennych talerzy.

Dopiero w roku 1962 profesor Tsum Um Nui z Akademii Historii Dawnej w Pekinie zdołał odcyfrować część znaków pisma z kamiennych krążków...

- I co było na nich napisane?

Kazancew spowaźniał.

- Odcyfrowana relacja była tak przerażająca, że początkowo Akademia zabroniła profesorowi Tsum Um Nui jej opublikowania.

- I na tym koniec?

- Profesor Tsum Um Nui nie należy do tych, co się łatwo zrażają i niestrudzenie pracował dalej. Udało mu się jednoznacznie dowieść, że teksty na kamiennych krążkach nie są perfidnym żartem jednego z naszych piśmiennych praprzodków. Wiadomo przecież, że i poważni naukowcy mają czasem poczucie humoru... We współpracy z geologami wykazał, że kamienne talerze charakteryzują się wysoką zawartością kobaltu i metali. Fizycy wykazali, że wszystkie 716 kamiennych krążków ma wysoki rytm drgań, co świadczy o tym, że kiedyś były wystawione na działanie prądu o bardzo wysokim napięciu...

Kazancew skręcił w lewo i przystanął pod Muzeum Puszkina przy ulicy Wołchonka. Byłem pod takim wielkim wrażeniem jego relacji, że

czekałem na chodniku na dokończenie. Kazancew jednak pociągnął mnie za rękaw i poprowadził do budynku. Usiedliśmy na ławce pomiędzy wysokimi gablotami.

- Proszę, niech pan opowiada dalej!

- Tsum Um Nui miał już więc czterech naukowców potwierdzających jego teorię. W roku 1963 zdecydował się ją opublikować mimo wątpliwości Akademii, Słyszałem, że publikacja ta jest wprawdzie znana u was na Złoty Chodzie, ale nikt nie potraktował jej poważnie. Także u nas tylko kilku co śmielszych uczonych zajęło się teorią kamiennych talerzy. Nasz filolog, dr Wiaczesław Zajcew opublikował właśnie niedawno w miesięczniku "Sputnik" fragmenty zawartych na kamiennych krążkach tekstów, Pełny tekst pracy profesora Tsum Um Nui przechowywany jest w Akademii w Pekinie i w Archiwum Historycznym w Taipei na Tajwanie.

- A co jest takiego szokującego w tym tekście?

- Ekscytujący i dziwny wydaje się ten tekst jedynie tym, którzy niechętnie patrzą na nowe aspekty pochodzenia człowieka. Utrwalony na kamiennych krążkach tekst powiada, że przed 12 tysiącami lat grupa przedstawicieli ludu, z którego wywodzą się autorzy, znalazła się na trzeciej planecie Układu Słonecznego. Ich pojazdy powietrzne - jak brzmi dosłowny przekład rowkowych hieroglifów - nie miały już jednak dość mocy, by mogła opuścić ten świat. Zostały zniszczone gdzieś w odległych i trudno dostępnych górach. Środków i możliwości budowy nowych pojazdów powietrznych nie było...

- I wszystko to jest na tych kamiennych talerzach?

- Tak. Mówi się też o tym, że zabłąkane na Ziemi istoty próbowały nawiązać przyjazne stosunki z mieszkańcami gór, ale ci zaczęli na nie polować i zabijać je. Relacja kończy się niemal dosłownie słowami: "Kobiety, dzieci i mężczyźni ukrywali się aż do wschodu słońca w jaskiniach. Potem zawierzyli znakom i zobaczyli, że mieszkańcy gór przybyli tym razem w pokojowych zamiarach..." Takie są mniej więcej ostatnie słowa relacji.

- Czy jest coś, co można uznać za uzupełnienie tej relacji potwierdzające realność jej treści?

- Są szeregowy graby, rysunki naskalne no i same kamienne talerze.

Są jednak także chińskie legendy, pochodzące właśnie z okolic Baian Kara Ula, które mówią o małych, chudych jak szczapy istotach, które zeszyły z chmur. Można się z nich dowiedzieć, że ludzie z plemienia Dropa unikali obcych istot z powodu ich brzydoty, a także iż mężczyźni zabijali je "dla ich zręczności"...

- Dlaczego ta fascynująca historia nie została rozpowszechniona na całym świecie? Czy ona jest w ogóle dostatecznie dobrze znana?

Aleksander Kazancew uśmiechnął się, położył mi dłoń na ramieniu i powiedział z cichą rezygnacją w głosie:

- Tutaj w Moskwie historia ta jest znana, wystarczy żeby pan porozmawiał z ludźmi. Ale jest w niej zbyt dużo faktów, których nie da się tak od razu włączyć w kalendarz mozolnie konstruowany przez archeologię i antropologię. Gdyby znakomitości świata nauki przywią-

zujące przecież wagę do swojej rangi i nazwiska chciałyby poważnie potraktować sprawę Baian Kara Ula, musiałyby udrzucić znaczne fragmenty własnych hipotez. Czyż więc niejest ludzkie, że wolą milczeć lub też uśmiechać się pobłaźliwie i z wyższością? Skoro uznani naukowcy solidarnie milczą z wyniosłym uśmieszkiem, to nawet najodważniejszy nie zdecyduje się zająć tym - przyznać trzeba - bardzo delikatnym tematem!

Jestem jeszcze zbyt młody, aby móc czy chcieć zrezygnować. Wierzę w nie dającą spokoju moc myśli, które nie dają się pominąć milczeniem.

VIII. Opłaca się badać przeszłość

Kiedy w roku 1965 byłem w Peru, mogłem sobie obejrzeć gigantyczny, wysoki na 250 m "kandelabr" na skalnej ścianie w zatoce Pisco tylko z morza z odległości około 2 km. Przy okazji podróży w roku 1968 wraz z Hansem Neunerem zaplanowaliśmy zejść na ląd, żeby oczyścić z warstwy piasku i sfotografować przynajmniej fragment jednego z jego ramion.

Po daremnej próbie dostania się do trójramiennego kandelabru wynajętym samochodem, który co chwila grzązł w piaszczystych

wydmach, udało nam się namówić jednego z rybaków, aby przewiózł nas do zatoki. Dobre dwie godziny kołysaliśmy się w lekkiej bryzie, aż wreszcie rybak oświadczył, że nie może już podpłynąć bliżej brzegu, bo w przeciwnym razie jego łódź może się rozbić na ostrych podwodnych skałach.

Nie pozostało nam nic innego, jak tylko w pełnym rynsztunku - nawet w butach, ze względu na kolczaste ryby - wejść do wody, żeby przebyć ostatnie 50 m dzielące nas od brzegu. Narzędzia, taśmy miernicze i aparaty fotograficzne zapakowaliśmy w plastikowe pojemniki, które pchaliśmy przed sobą. Kiedy dotarliśmy do pierwszych przybrzeżnych skał, zdjęliśmy mokre rzeczy i podążyliśmy przez gorący pustynny piasek w stronę skalnej ściany.

Niestety nawet gnanych ciekawością idealistów przychylni bogowie nie obdarzają nadziemskimi siłami. Po kilku godzinach pilnej pracy musieliśmy pogodzić się z faktem, że usunięcie twardej warstwy piasku nawet z niewielkiego fragmentu trójzęba przekracza nasze możliwości. Nasze wysiłki opłaciły się o tyle, że dokonaliśmy przynajmniej precyzyjnych pomiarów i oględzin. Poszczególne ramiona trójzęba mają szerokość do 3,8 m. Składają się z fosforyzujących śnieżnobiałym blaskiem bloków twardych jak granit. Zanim przykrył je piasek, to znaczy tak długo, jak długo oczyszczali je z piasku pierwotni mieszkańcy tych okolic, sygnały te musiały jaskrawo i wyraźnie "wołać" w niebo w stronę "bogów".

Są archeolodzy, którzy uważają ten wyryty na zboczu nadbrzeżnej

skały symbol za oznakowanie nawigacyjne dla statków. Przeciwno tej tezie przemawia fakt, że trójzęb znajduje się w zatoce i nie z każdej strony jest widoczny dla nadpływających statków. Kolejny argument przeciw: znak o takich gabarytach byłby zdecydowanie za duży jak na potrzeby żeglugi przybrzeżnej, zaś istnienie żeglugi pełnomorskiej w czasach prehistorycznych jest co najmniej wątpliwe. Głównym jednak argumentem na niekorzyść tej tezy jest to, że twórcy trójzęba wyraźnie skierowali go w niebo. Trzeba by też zadać sobie pytanie, czy jeśli już dla jakiegoś tam rodzaju żeglugi konieczne były punkty nawigacyjne, to dlaczego nie wykorzystano w tym celu dwóch wysepek położonych bliżej otwartego morza na przedłużeniu środkowego ramienia trójzęba. Mogłyby one stanowić naturalne punkty orientacyjne widoczne z daleka dla każdego statku, niezależnie od tego, z której strony zbliżałby się do zatoki. Po cóż więc umieszczać na skale znak, który pozostaje całkowicie niewidoczny dla żeglarzy zarówno od północy, jak i od południa? I dlaczego skierowany on jest w niebo? Dla dopełnienia obrazu dodam na marginesie, że poza piaszczystą pustynią nie ma tu nic, ale dosłownie nic, co mogłoby przywabić żeglarzy oraz że wody zatoki z ostrymi podwodnymi skałami także w zamierzonych czasach nie mogły się nadawać do cumowania statków.

Za moją tezę, że mamy tu do czynienia ze skierowanymi w niebo sygnałami, przemawia między innymi fakt, że zaledwie 160 kilometrów

w linii prostej od Pisco leży płaskowyż Nazca pokryty tajemniczymi liniami i symbolami, które odkryto dopiero pod koniec lat trzydziestych naszego stulecia. Od tego momentu geometryczne systemy linii prostych, abstrakcyjne figury i uporządkowane ciągi kamiennych okruców rozmieszczone na tej płaskiej kamiennej pustyni rozciągającej się na długości ponad 50 km między miastem Palpa na północy i Nazca na południu przyprawiają archeologów o ból głowy. Mnie nieodparcie przywodzą na myśl lądowisko.

Lecąc nad płaskowyżem widzimy - wyraźne nawet z dużej wysokości - jaśniejsze pasy utworzone przez linie, które ciągną się całymi kilometrami, częściowo równoległe obok siebie, w pewnych punktach krzyżują się lub zbiegają ze sobą tworząc trapezoidalne powierzchnie o bokach długich nawet na 800 m. Między tymi prostymi jak strzelił pasami widać kontury nadzwyczajnej wielkości sylwetek zwierząt, z których największa rozciąga się na długość mniej więcej 250 metrów. Oglądane z bliska linie okazują się wyrytymi w gruncie bruzdami odsłaniającymi białozółte podłoże, które jaskrawo odcina się od przypominającej skorupę powierzchni z brunatnego pustynnego piasku i zwiędzłych kamieni. Maria Reiche, która od roku 1946 zajmuje się konserwowaniem, obmierzaniem i interpretacją naziemnych znaków i zaraz na początku z pomocą taśmy mierniczej i sekstantów sporządziła dokładne odwzorowania figur, wykryła też dlaczego ziemia powyżej doliny rzeki Ingenio jak żadna inna nadawała się, by umieścić na niej wyraźnie rozpoznawalne oznaczenia, które mogły przetrwać stulecia.

Otóż w górach Nazca deszcze padają nie dłużej niż 20 minut w skali roku. Normalnie zaś panuje suchy i gorący klimat, o erozję dba niosący piasek wiatr, który zabiera ze sobą wszystkie luźne okruchy podłoża, pozostawiając jedynie większe kamienie, rozkruszające się stopniowo wskutek wielkich dobowych różnic temperatur. Na takiej powierzchni utworzył się potem tak zwany "pustynny lakier", który po utlenieniu staje się brunatny i błyszczący. Do sporządzenia rysunków odcinających się od jasnego tła naniesionego materiału wystarczyło, by ich twórcy usunęli ciemne kamienie z powierzchni i wyryli linie w podłożu.

Któż jednak stworzył owe "ryty" i dlaczego nadał im taką skalę, że całość ogarnąć można jedynie patrząc z dużej wysokości, na przykład z samolotu?

Czyżby ich twórcy znali już złożony system pomiarów kątowych, dzięki którym mogli jak najprecyzyjniej powiększyć swoje niewielkie projekty do gigantycznych rozmiarów?

Maria Reiche tak o tym mówi: "Rysownicy, którzy skończoność własnego dzieła ogarnąć mogliby jedynie z powietrza, od samego początku musieli je zaplanować i rozrysować w pomniejszonej skali. W jaki sposób zdołali potem na ogromnych dystansach nadać każdemu fragmentowi linii właściwy kierunek i usytuowanie, pozostaje zagadką, do której rozwiązania będziemy potrzebowali jeszcze długich lat badań."

Jak dotąd nauka poświęca fenomenowi płaskowyżu Nazca o wiele za

mało uwagi. Początkowo uważano, że biegnące prosto jak strzelił linie to stare drogi Inków albo kanały nawadniające. Interpretacje te są całkowicie pozbawione sensu! Dlaczego "ulice" miałyby się zaczynać w środku płaskowyżu, żeby potem równie nagle się urywać? Skoro linie miałyby być "ulicami", to dlaczego przecinając się tworzą systemy współrzędnych? I dlaczego zorientowane są według róży wiatrów, skoro przecież zadaniem ulic jest łączenie możliwie krótką drogą różnych punktów docelowych na ziemi? I dlaczego kanały nawadniające miałyby mieć kształty ptaków, pajaków czy gadów?

Maria Reiche, która najdłużej i najintensywniej ze wszystkich zajmuje się sprawą rozwikłania zagadki płaskowyżu Nazca, relacjonując wyniki swoich dociekań w wydanej w roku 1968 książce *Geheimnis der Wuste* (Tajemnica pustyni), także odrzuca te interpretacje. Jej zdaniem daleko bardziej prawdopodobne jest, że rysunki na płaskowyżu trzeba interpretować szerzej niż tylko kultowo i rozpatrywać z punktu widzenia wiedzy o kalendarzach. Według jej przypuszczeń w naziemnych rysunkach z Nazca zawarte są wyniki obserwacji nieba, które chciano przekazać w nienaruszonym stanie potomnym. W pewnym momencie jednak badaczka zastrzega: "Niejest absolutnie pewne, czy możliwa jest astronomiczna wykładnia wszystkich linii, ponieważ są wśród nich takie (m.in. bardzo liczne biegnące w osi północ-południe), które nie dadzą się przyporządkować żadnej z pojawiających się w dawnych wiekach na horyzoncie gwiazd. Jeśli jednak przyjmujemy, że utrwalono nie tylko pozycje gwiazd na horyzoncie, ale także nad nim, to możliwości

interpretacji linii stają się tak ogromne, iż byłoby rzeczą nad wyraz trudną dojść do jakichś niepodważalnych wyników."

Wiem, że Maria Reiche nie podziela mojej interpretacji geometrycznych figur z pustyni Nazca, ponieważ wyniki jej dotychczasowych badań nie usprawiedliwiają tak śmiałych hipotez. Mimo wszystko pozwolę sobie przedstawić w tym miejscu moją teorię.

W pobliżu dzisiejszego miasteczka Nazca na bezludnym płaskowyżu w zamierzonych czasach wylądowały obce istoty rozumne i urządziły zaimprovizowane lądowisko dla swoich statków kosmicznych, które miały operować w pobliżu Ziemi. Na idealnym terenie wytyczono dwa pasy. Albo może pasy startowe oznakowano jakimś nieznanym nam materiałem? Po pewnym czasie kosmonauci wykonali swoje zadanie i odlecieli z powrotem na macierzystą planetę.

Plemiona preinkaskie natomiast, które obserwowały pracę budzących szacunek obcych istot, gorąco pragnęły powrotu "bogów". Ludzie czekali całe lata i kiedy ich życzenie nadal się nie spełniało. zaczęli wytyczać na płaskowyżu nowe linie, tak jak zaobserwowali to u "bogów". W ten sposób powstały uzupełnienia pierwszych dwóch pasów startowych.

Lecz "bogowie" nadal się nie pojawiali. Co zrobiono nie tak? Czym rozgniewano "niebiańskie" istoty? Jeden z kapłanów przypomniał sobie, że "bogowie" przybyli z gwiazd i poradził, żeby zorientować wabiące linie według gwiazd. Ponownie rozgarzała praca i powstały skierowane w stronę paszczęólnych gwiazd pasy.

Lecz "bogów" jak nie było, tak nie ma.

W tym czasie zdążyło już narodzić się i umrzeć wiele pokoleń Indian.

Pierwotne, właściwe pasy startowe wytyczone przez obce istoty rozumne dawno już zniknęły. Nowe pokolenia Indian wiedziały o przybyłych z gwiazd "bogach" już tylko z ustnych przekazów. Z relacji o rzeczywistych wydarzeniach kapłani uczynili świętą tradycję i żądali, aby tworzyć coraz to nowe znaki dla "bogów", aby pewnego dnia pojawili się znowu.

Ponieważ wytyczanie linii nie przyniosło spodziewanego rezultatu, zaczęto ryc w podłożu wielkie wizerunki zwierząt. Najpierw przedstawiano wszelkiego rodzaju ptaki mające symbolizować latanie - później wyobrażenia podpowiedziała twórcom wizerunki pajaków, małp i ryb.

Przyznaję, że jest to czysto hipotetyczne wyjaśnienie genezy "rytów" z płaskowyżu Nazca. Ale czyż wydarzenia nie mogły się potoczyć podobnie? Sam widziałem, i każdy sam może się o tym przekonać, że krzyżujące się linie pasów i symbole zwierzęce rozpoznawalne są tylko z dużej wysokości.

Ale nie dość na tym. Wokół Nazca na skalnych zboczach znajdują się wizerunki ludzi, z których głów wystrzelają promienie przypominające nieco aureole chrześcijańskich świętych.

O 160 km w linii prostej od Pisco leży... Nazca! Nagle przyszło mi coś do głowy: A może jest jakiś związek między trójzębem z zatoki Pisco, rysunkami na płaskowyżu Nazca i polem ruin na płaskowyżu Tiahuanaco?! Pomijając drobne odchylenie, wszystkie te trzy miejsca leżą w linii

prostej. Jeśli płaskowyż Nazca miałby być lądowiskiem, a trójząb z Pisco punktem orientacyjnym, to w takim razie również na południe od Nazca powinny znajdować się jakieś znaki na ziemi, ponieważ trudno sobie wyobrazić, aby wszyscy astronauta nadlatywali z północy, od strony Pisco.

I rzeczywiście, w pobliżu południowoperuwiańskiego miasta Mollendo - 400 km w linii prostej od Nazca - znaleziono występujące na całym obszarze aż do pustyni i gór chilijskiej prowincji Antofagasta wyryte na wysokich stromych ścianach skalnych wielkie znaki, których sensu i znaczenia nie udało się jeszcze dotąd wyjaśnić. W niektórych miejscach można rozpoznać czworoboki, strzałki albo drabiny o wygiętych szczeblach, niekiedy całe zbocza gór pokryte są ornamentowanymi czworobokami. Wzdłuż wytyczonych na szorstkich skalnych ścianach linii widać też koła ze skierowanymi do wewnątrz promieniami, owalne figury pokryte szachownicą, a na jednym z trudno dostępnych skalnych zboczy na pustyni Tarapaca zobaczyć można gigantycznego "robota".

O odkryciu tym (750 kilometrów na południe od Nazca) poinformowała 26 lipca 1968 chilijska gazeta "El Mercurio" opatrując wiadomość tytułem "Nowe odkrycie archeologiczne dokonane dzięki zdjęciom lotniczym". W artykule czytamy między innymi: "Grupie specjalistów udało się dokonać z samolotu nowego odkrycia archeologicznego. Kiedy przelatywali nad pustynią Tarapaca, leżącą w najbardziej na północ wysuniętej części Chile, odkryli na piasku stylizowany wizerunek mężczyzny. Postać ma około 100 m długości, a jej kontury

zaznaczono okruchami skał wulkanicznych. Znajduje się ona na samotnym wzniesieniu o wysokości około 200 m [...] W kręgach naukowców przeważa pogląd, że rekonesans lotniczy ma wielkie znaczenie dla badań prehistorycznych [...]"

A więc uczestnicy wyprawy oceniają wysokość "robota" na około 100 m. Postać jest kanciasta jak skrzynka, nogi ma proste, a na cienkiej szyi znajduje się kwadratowa głowa, z której wystaje 12 prostych i jednakowych pod względem długości "antenek". Lewe ramię "robota" zwisa w dół, prawe jest zgięte ku górze. Z okolicy bioder po lewej i prawej stronie wyrastają trójkątne "skrzydełka" przypominające karłowate płyty samolotów naddźwiękowych.

Odkrycie zawdzięczamy Lautaro Nuñezowi z Universidad del Norte w Chile, generałowi Eduardo Iensenowi oraz Amerykaninowi Delbertowi Trou, którzy dokładnie oglądali z powietrza wszelkie naziemne formacje. Sensacyjne odkrycie zostało w pełni potwierdzone w wyniku następnego lotu zwiadowczego przez kierowniczkę Muzeum Archeologicznego z Antofagasta, panią Guacolde Boisset. Na wzniesieniach Pintados odkryto - i zaświadczone zdjęciami lotniczymi - istnienie dalszych stylizowanych postaci ciągnących się na odcinku 5 km.

Latem 1968 rządowa gazeta "El Arauco" z Santiago napisała: "Chile potrzebuje pomocy kogoś, kto zaspokoi naszą chroniczną ciekawość, ponieważ ani Gey, ani Domeyko nigdy nie wspominali nic o płaskowyżu El Enladrillado, o którym jedni powiadają, że został utworzony sztucznie, inni zaś, iż jest to dzieło istot z innej planety." W sierpniu

1968 opublikowano szczegóły odkryć na El Enladrillado. Pokryty skalnymi okruchami płaskowyz ma mniej więcej 3 km długości, a w miejscu, które dotrwało nietknięte do naszych czasów liczy sobie 800 m szerokości. Obszar ten sprawia wrażenie amfiteatru. Jeśliby jego budowniczymi mieli być ludzie, musieliby dysponować jakimiś mitycznymi "nadludzkimi" mocami! Ułożone tam skalne bloki są prostopadłościennie, mierzą 4-5 m wysokości i 7-8 m długości. Gdyby z miejsca tego korzystali olbrzymowie, oni również musieliby być niesłychanie wielcy. Kamienne fotele pozwalają wnioskować, że długość uda takiego olbrzyma wynosiła niemal 4 m. Nie starcza wyobraźni, by wymyślić istoty śmiertelne, które wybudowały ten amfiteatr. Gazeta "La Manana" z Talca w Chile postawiła zresztą 11 sierpnia 1968 roku pytanie: "Czy miejsce to mogło być lądowiskiem (dla bogów)? Bez wątpienia tak." Czy można żądać czegoś więcej?

Do płaskowyzu El Enladrillado dotrzeć można tylko konno. Trzeba jechać trzy godziny z małej miejsciny Alto de Vilches, żeby osiągnąć u ramion cel leżący na wysokości 1260 m nad poziomem morza.

Wulkaniczne bloki skalne, które znajdujemy tam w wielkich ilościach, mają pośrodku tak gładką powierzchnię, że mogła ona powstać jedynie wskutek nadzwyczaj starannej obróbki. Również na tym płaskowyzu widać coś jakby częściowo przerwany pas startowy długi na mniej więcej 1 km i szeroki na 60 m. W pobliżu znajdowano i nadal znajduje się prehistoryczne narzędzia, które miały rzekomo służyć do obróbki 233 równo przyciętych skalnych bloków o masie 10 ton każdy. Z takich

bowiem bloków składa się amfiteatr.

Gazeta "Conception" z El Sur w Chile w artykule z 25 sierpnia 1968 roku nazywa płaskowyż El Enladrillado "tajemniczym miejscem".

Miejsce to w istocie jest tajemnicze - zresztą tak jak tajemnicze są właściwie wszystkie miejsca prehistorycznych znalezisk. Po stronie zachodniej wzrok napotyka wielkie otchłanie, nad którymi krążą orły i kondory, za nimi wznoszą się niby niemi strażnicy stożki wulkanów. Po tej właśnie stronie znajduje się głęboka na 100 m naturalna jaskinia, w której stwierdzono ślady ludzkiej pracy. Obecnie uczeni zastanawiają się, czy to ludzie epoki kamiennej odsłoniли żyłę obsydianu (szklista formacja młodszych skał wylewowych) pozostawiając nam próbkę swoich zdolności przemysłowych w postaci zawierających metal narzędzi. Nie bardzo to do mnie dociera. Chyba ludzie epoki kamiennej nie mogli dysponować narzędziami z zawartością metalu. Dotychczasowa hipoteza nie może być moim zdaniem słuszna.

W toku badań geologicznych i archeologicznych odnaleziono wystający na 2 metry z ziemi monolit. Kiedy z wielkim trudem udało się go odwrócić, po drugiej stronie ukazały się rozliczne twarze! Zagadka, która zdaje się być godna zaliczenia do pytań narosłych wokół Wyspy Wielkanocnej...

Warto zapamiętać jeszcze jedną osobliwość. Otóż pośrodku płaskowyżu stoją trzy skalne bloki o średnicy 1-1,5 m każdy. W czasie pomiarów przeprowadzonych na początku 1968 roku stwierdzono, że dwa z tych bloków wyznaczają linię prostą prowadzącą z północy na

południe. Linia prowadząca od tych dwóch bloków do trzeciego, z niewielkim odchyleniem przecina horyzont dokładnie w miejscu, gdzie Słońce osiąga najwyższe położenie w czasie lata. I znów powstaje pytanie, czy są to ślady zdumiewającej wiedzy astronomicznej jakiejś wymarłej rasy, czy też nasi przodkowie działali tu na czyjeś "zlecenie". Nie można zbywać takich precyzyjnych świadectw przeszłości stwierdzeniem o "przypadkowej zbieżności".

W gazecie "El Mercurio" z Santiago kierownik ekspedycji badawczej, Humberto Sarnataro Bounaud, dał wyraz swojemu przekonaniu, że musi to być dzieło jakiejś nieznanej nam "cywilizacji", ponieważ tubylcy z tego regionu nigdy nie byłiby zdolni do osiągnięcia takich rezultatów. Bounaud twierdzi ponadto, że już dawniej wiedziano o tym płaskowyżu, jako znakomitym lądowisku dla wszelkiego rodzaju pojazdów latających. Dlatego też usytuowane w geometrycznym porządku 233 bloki skalne można zinterpretować jako skierowane w niebo optyczne znaki orientacyjne.

Dosłownie pisze on tak: "Albo może było po prostu tak, że były jakieś nieznane istoty, które wykorzystywały to miejsce do jakichś własnych celów."

Dwa są powody, dla których tak szczegółowo przedstawiłem najnowsze znaleziska na płaskowyżu El Enladrillado. Po pierwsze w Europie znane są one jedynie wąskiemu kręgowi zainteresowanych, a po drugie doskonale pasują do mojej tezy, iż znaki orientacyjne w zatoce Pisco sygnalizują kosmonautom korytarz powietrzny wzdłuż którego aż po

północne krańce Chile ciągną się lądowiska.

Nie wolno nam ani przez chwilę zapominać, że twórcy pradawnych kultur zniknęli, ale ślady, jakie pozostawili wciąż spoglądają na nas pytająco i z wyzwaniem. Aby znaleźć trafne odpowiedzi na te pytania i aby sprostać temu wyzwaniu placówki archeologiczne powinny otrzymać od rządów swoich krajów, a może także od organizacji międzynarodowych dostateczną ilość środków na prowadzenie systematycznych i bardziej intensywnych badań. Jest rzeczą jak najbardziej wskazaną i pożyteczną, że kraje uprzemysłowione topią miliardowe sumy w badaniach nad przyszłością. Czy jednak trzeba od razu traktować po macoszemu badanie naszej przeszłości? Może kiedyś nadejść dzień, że opatrzone klauzulami najgłębszej tajemnicy wojskowej rozpocznie się bezpardonowe współzawodnictwo archeologów. Powstanie wówczas sytuacja podobna do tej, jaką przeżyliśmy już przy okazji pierwszego lądowania człowieka na Księżycu - z tym że to współzawodnictwo nie będzie kwestią prestiżu, lecz raczej czysto użytkowych korzyści.

Pozwolę sobie w tym kontekście wymienić kilka miejsc na Ziemi, w których intensywne i prowadzone za pomocą najnowocześniejszych metod badania doprowadziłyby przypuszczalnie do "rozszyfrowania" z dużą korzyścią dla obecnej techniki tej czy owej zagadki z naszej przeszłości.

Na wyspie Santa Rosa w Kalifornii znaleziono resztki ludzkiej osady, których wiek określono za pomocą węgla C-14 na 29600 lat.

20 km na południe od hiszpańskiego miasteczka Ronda w samotnej górskiej dolinie znajduje się jaskinia La Pileta. Udało się wykazać, że w jaskini tej w okresie mniej więcej od trzydziestego do szóstego tysiąclecia przed Chrystusem mieszkali ludzie. Na ścianach jaskini znajdują się dziwnie stylizowane znaki, które na pewno nie są pozbawioną sensu bazgraniną, ponieważ wykonano je po mistrzowsku i występują w wielu miejscach. Najprawdopodobniej może to być pismo.

W górach Ennedi na południowej Saharze Peter Fuchs odkrył rytę naskalne przedstawiające cztery postacie kobiece, jakich nie ma nigdzie indziej w całej Afryce. Ich ciała mają stroje i tatuaże podobne do tych, jakie znamy z rejonu południowego Pacyfiku. Saharę dzieli od wysp Pacyfiku 25 tys. km w linii prostej!

Z wielu malowideł naskalnych w jaskiniach Afryki i Europy znane są od dawna tak zwane "labirynty". Chodzi o przedstawienia "błędnych ogrodów", z którymi po dziś dzień nie wiadomo, co począć. A teraz takie same symbole labiryntu znaleziono na skalnych ścianach w Ameryce Południowej - głównie na Territorio Nacional de Santa Cruz oraz Territorio de Neuguen w Argentynie. Czyżbyśmy mieli do czynienia z "kontaktem myślowym" pomiędzy artystami? No bo jak inaczej wytłumaczyć zbieżność przedstawionych symboli?

Argentyński uczyony Juan Moricz udowodnił, że w starym państwie

Quito na długo przed zdobyciem kontynentu przez Hiszpanów w użyciu był język madziarski. Odnotował on takie same nazwiska rodowe, takie same nazwy miejscowe i takie same zwyczaje grzebalne. Kiedy dawni Madziarowie grzebali zmarłego, żegnali go słowami "Powstanie w gwiazdozbiorze Wielkiej Niedźwiedzicy". W południowoamerykańskich dolinach Quinche oraz Cochasqui znajdują się kurhany grobowe będące wiernymi odwzorowaniami siedmiu głównych gwiazd Wielkiej Niedźwiedzicy.

Pomiędzy Abancay i wielką rzeką Rio Apurimac w Peru, na trasie Cuzco-Macchu Picchu na niewielkim wzgórzu stoi od niepamiętnych czasów kamień wysoki na 2,5 m i mający w obwodzie 11 metrów. Ów Piedra de Saihuite pokryty jest reliefami ukazującymi wspaniałe tarasy, świątynie i całe kwartały domów, do tego dziwne "kanały" i znów nie odcyfrowane do dziś znaki pisma. Podobne reliefy znane są w tym regionie pod nazwą Rumihuasi oraz Intihuasi. Rumihuasi przedstawia model świątyni z wysoką na 1,4 m niszą.

W lutym 1967 roku renomowany amerykański magazyn "National Geographic" opublikował artykuł o niewielkim szczepie Ainu, żyjącym na japońskiej wyspie Hokkaido. Ainowie dziś jeszcze twierdzą z całym przekonaniem dowodząc tego na podstawie swoich mitów, iż są bezpośrednimi potomkami "bogów", którzy przybyli z Kosmosu.

Na pewnej czarze, która znajduje się w Watykanie i pochodzi z VI w. przed Chrystusem, przedstawiony jest Apollo lecący nad morzem.

Uderzając w struny liry bóg siedzi na tak zwanym "trójnogu", czyli misie o trzech długich nogach. Całą konstrukcję unosi w powietrzu troje silnych orlich skrzydeł.

W parku-muzeum Villahermosa w Tabasco w Meksyku stoi gładko obrobiony monolit, na którym przedstawiono węża, czy raczej "smoka", opasującego tego kolosa z trzech stron. We wnętrzu bestii siedzi człowiek o zgiętych plecach i ułożonych wysoko nogach. Stopy obsługują pedały, lewa dłoń spoczywa na "dźwigni", prawa trzyma jakąś skrzynkę. Głowę otacza ściśle przylegający do niej hełm osłaniający także czoło, uszy i podbródek, tak że widoczna jest tylko twarz. Przy samych ustach widać przyrząd, który można uznać za mikrofon.

Ubranie i hełm siedzącej postaci są ze sobą ściśle połączone.

Na szerokim, zaostrowym z jednej strony dźwigni z miedzi, które znaleziono w królewskim grobie w Ur, znajdują się (od góry do dołu) następujące rysunki: pięć kul, przypominająca głośnik skrzynka, dwie absolutnie nowoczesne rakiety, które lecą obok siebie i wyrzucają z tyłu promienie, kilka smokopodobnych bestii i dosyć wierna kopia kapsuły "Gemini". Artysta, który wyrył te rysunki ponad 5500 lat temu musiał mieć godną pozazdroszczenia wyobraźnię!

Gerardo Niemann (Hacienda Casa Grande, Trujillo, Peru) ma w swym prywatnym posiadaniu dwa osobliwe gliniane naczynia. Jedno z nich liczy 22 cm wysokości i jest na nim wizerunek czegoś w rodzaju "kapsuły kosmicznej", której napęd i dysze wylotowe są równie wyraźnie rozpoznawalne, jak na słynnej płycie z Palenque przed-

stawiającej boga Kukulcana. Na kapsule siedzi w kucki przypominające psa zwierzę o szeroko otwartym pysku. Na drugim naczyniu przedstawiono mężczyznę, który palcami wskazującymi obu rąk obsługuje coś w rodzaju maszyny liczącej bądź pulpitu sterowniczego. To naczynie ma 40,5 cm wysokości. Obydwa znaleziono w dolinie Chicama na północnym wybrzeżu Peru.

Tak, wcale nie jesteśmy u kresu, lecz dopiero u początku wielkich wskazujących z przeszłości w przyszłość odkryć.

IX. Niewyczerpany temat:

Wyspa Wielkanocna

Niemal na wszystkich zamieszkałych wyspach mórz południowych znajdują się pozostałości nieznanymi a potężnymi cywilizacji. Turysta napotyka tajemnicze pozostałości całkowicie niepojętej, ale najwyraźniej bardzo wysoko rozwiniętej techniki, które wręcz prowokują do snucia spekulacji i hipotez.

Tak właśnie jest w przypadku Wyspy Wielkanocnej.

Mamy za sobą dziesięć dni na tej mikroskopijnej wysepce z wul-

kanicznych skał na południowym Pacyfiku. Czasy, kiedy do brzegów wyspy raz na sześć miesięcy przybijał chilijski okręt wojenny minęły. Na wysepkę przylecieliśmy czteromotorowym samolotem typu "Constellation" należącym do linii Lan-Chile. Hoteli tu jeszcze nie ma, toteż cały czas przemieszkaliśmy w namiocie. W produkty spożywcze, o które na wyspie trudno, zaopatrzyliśmy się zawczasu. Dwukrotnie tubylcy zapraszali nas na nocną ucztę. Była pieczona ryba, którą włożono do ziemnej jamy obkładając rozżarzoną węglą drzewnym i wieloma różnymi liśćmi, które stanowią kulinarny sekret gospodyń z plemienia Rapanui. Musieliśmy czekać niemal dwie godziny, zanim wydobyto parującą potrawę. Jako wytrawny smakosz muszę zaznaczyć, że była to prawdziwa uczta dla podniebienia, równa uczcie, jaką dla uszu są folklorystyczne śpiewy Rapanui.

Środkiem lokomocji na wyspie nadal jest koń, pomijając jeden jedyny prywatny samochód należący do Ropo, dwudziestosześcioletniego niewysokiego i puciołowatego burmistrza, którego mała społeczność wybrała zgodnie ze wszystkimi regułami demokracji. Ropo jest niekoronowanym królem wyspy, chociaż oprócz niego jest jeszcze "gubernator" i "komendant policji". Ropo pochodzi z bardzo starej miejscowej rodziny. O Wyspie Wielkanocnej oraz jej nie do końca wyjaśnionych zagadkach wie prawdopodobnie więcej od wszystkich pozostałych wyspiarzy. Wraz z dwoma pomocnikami zaoferował swoje usługi. Język plemienia Rapanui jest niezwykle bogaty w głoski ti-ta-pe-pe-tu-ti-lo-mu... Nie rozumiem z niego ani słowa, porozumie-

waliśmy się więc osobliwą mieszanką hiszpańskiego i angielskiego.

Tam gdzie to nie wystarczało, przywołyaliśmy jeszcze do pomocy ręce, nogi a także niewątpliwie niesłychanie komiczne dla osoby postronnej miny.

Na temat historii Wyspy Wielkanocnej istnieją liczne przekazy i nie mniej liczne teorie. Po dziesięciodniowym rekonesansie ja również nie mogę oczywiście poważyć, co tu się wydarzyło w zamierzłej przeszłości. Wydaje mi się natomiast, iż znalazłem kilka argumentów na potwierdzenie tego, co na pewno się nie wydarzyło.

Istnieje na przykład teoria, że przodkowie dzisiejszych Rapanui wyrąbali z twardych wulkanicznych skał znane dziś na całym świecie rzeźby, pracując w wielkim trudzie przez całe pokolenia.

Thor Heyerdahl, którego niezwykle wysoko cenię, opisuje w swojej książce *Aku Aku*, jak to znalazł w kamieniołomach setki poniewierających się wszędzie pięściaków. Z tego masowego znaleziska prehistorycznych narzędzi Heyerdahl wysnuł wniosek, że bliżej nie znana liczba ludzi pracowała tu nad rzeźbieniem posągów, by w pewnym momencie na łeb na szyję porzucić pracę. Narzędzia zostały tam, gdzie kto akurat stał.

Po 18 dniach pracy Heyerdahl z grupą mieszkańców wyspy za pomocą drewnianych belek oraz prymitywnej ale skutecznej techniki ustawił pionowo średniej wielkości posąg i przy udziale około 100 wyspiarzy przetransportował go na pewną odległość za pomocą lin metodą "hej-rób".

Wyglądało na to, że oto praktycznie dowiedziono prawdziwości teorii! Mimo to archeolodzy na całym świecie wnieśli zastrzeżenia co do wartości tego dokonania. Po pierwsze, stwierdzili, Wyspa Wielkanocna w każdym momencie swej historii dysponowała zbyt małą ilością mieszkańców i zbyt uboga była w pożywienie, aby mogła zapewnić niezbędną liczbę kamieniarzy, którzy - nawet przez wiele pokoleń - zdołaliby wykonać tę przeogromną pracę. Po drugie zaś jak dotąd żadne znalezisko nie świadczy o tym, aby na wyspie kiedykolwiek dysponowano drewnem jako budulcem (na rolki do przesuwania posągów).

Po własnych przemyśleniach, jakich dokonałem na miejscu, czuję się uprawniony do stwierdzenia, że w obliczu jak najdosłowniej "twardych" faktów teoria pięściaków nie ma szans się utrzymać na dalszą metę. Po udanym eksperymencie Heyerdahla byłem jak najbardziej gotowy skreślić kolejną nie rozwiązaną zagadkę z mojej długiej listy.

Kiedy jednak stanąłem przed utworzoną przez lawę ścianą krateru Rano Raraku, pozostawiłem znaki zapytania na swoim miejscu.

Zmierzyłem odległość między ścianą lawy i powierzchnią posągów i okazało się, że wolna przestrzeń miewa czasami do 1,84 m szerokości i prawie 32 m długości. Usunięcie tak potężnych bloków lawy za nic w świecie nie byłoby możliwe przy użyciu niewielkich prymitywnych tłuków pięściowych!

Thor Heyerdahl kazał tubylcom przez kilka tygodni walić w skałę krateru poniewierającymi się wszędzie w wielkich ilościach pięściakami.

Widziałem skromne rezultaty tego przedsięwzięcia: kilkumilimetrowej szerokości rysa w twardej wulkanicznej skale! My także tłukliśmy jak szaleni w skałę za pomocą największych odłamków, jakie udało nam się znaleźć. Po kilkuset uderzeniach zostały nam w dłoniach żałosne szczątki "narzędzi". Za to na skale nie było widać prawie zadrapania.

Być może teoria Heyerdahla dałaby się zastosować do kilku pomniejszych posągów, które powstały w bliższych nam czasach, ale w moim przekonaniu i w przekonaniu wielu mieszkańców Wyspy Wielkanocnej w żadnym razie nie może być prawdziwa, jeśli idzie o pozyskiwanie surowca wulkanicznego na największe posągi.

Krater Rano Raraku wygląda dziś jak jakaś gigantyczna pracownia rzeźbiarska, w której nagle wszyscy naraz porzucili pracę. Pionowo i poziomo, na krzyż i w poprzek leżą gotowe i dopiero zaczęte posągi. Tu wystaje z piasku jakiś gigantyczny nos, tam widać spod trawy stopy, na które nie znalazłoby się buta, a jeszcze gdzie indziej posąg stoi oparty czołem o ścianę, jakby dla złapania oddechu. Kiedy z całych sił waliliśmy w skałę, burmistrz Ropo stał obok kręcąc głową.

- Z czego się pan tak śmieje? - zawołał do niego mój przyjaciel Hans Neuner. - Przecież tak podobno robili to pana przodkowie?

Ropo uśmiechnął się szeroko.

- Tak mówią archeolodzy - stwierdził krótko z szelmowskim wyrazem twarzy.

Nikt nie zdołał jak dotąd podać choćby w części przekonującego motywu, dla którego kilkuset Polinezyjczyków mających dość trudności

przy samym zdobywaniu pożywienia, miałyby się zaharowywać przy wykuwaniu około 600 gigantycznych posągów.

Nikt nie zdołał wskazać, za pomocą jakiej wyrafinowanej techniki oddzielano od skały bloki twardej lawy. Nikt nie zdołał jak dotąd wyjaśnić, dlaczego Polinezyjczycy (jeśli to oni byli twórcami posągów) nadali twarzom posągów formy i rysy, dla których na ich wyspie w żadnym z polinezyjskich plemion nie ma żadnych wzorów: długie proste nosy - zaciśnięte usta o wąskich wargach - głęboko osadzone oczy - niskie czoła.

Nikt nie wie, kogo właściwie mają przedstawiać posągi.

Nie wie tego niestety także Thor Heyerdahl!

Ł rzeczywiście, wydaje się uzasadnione, by skonstruowanej przez Heyerdahla teorii powstania posągów nie tylko nie przyjąć, ale właśnie z istnienia setek kamiennych narzędzi udowodnić coś wręcz przeciwnego, mianowicie że gigantyczne posągi nie mogły powstać w ten sposób.

Czy ktoś coś z tego rozumie? Poniżej nasze -jak zwykle - pozornie "utopijne" wyjaśnienie.

Niewielka grupka istot rozumnych w wyniku "awarii technicznej" trafiła na Wyspę Wielkanocną. "Rozbitkowie" dysponowali ogromną wiedzą, zaawansowaną techniczną bronią oraz nieznanymi nam metodami obróbki kamienia, których ślady znajdujemy na całej kuli ziemskiej. Przybysze mieli nadzieję, że zostaną odnalezieni i zabrani przez swoich pobratymców. Ale najbliższy stały ląd leży w odległości

4000 km.

Mijał beczynnie dzień za dniem. Życie na małej wysepce stawało się nudne i monotonne. Przybysze zaczęli uczyć tubylców języka, opowiadać im o obcych światach, gwiazdach i słońcach. Próbowali nauczyć wyspiarzy prymitywnego pisma symbolicznego. Może aby pozostawić tubylcom jakąś pamiątkę po sobie, a może dlatego, by przekazać znaki przyjacielom, którzy ich szukają, obcy wykuli pewnego dnia z wulkanicznej skały kolosalny posąg. Po nim przysła kolej na dalsze kamienne giganty, które ustawiano na kamiennych podestach wzdłuż brzegu, tak że były widoczne z daleka.

Aż wreszcie pewnego dnia - nie zapowiedzianie i nagle - przybył ratunek.

No i wyspiarze zostali sam na sam ze zbiorowiskiem rozpoczętych czy na wpół gotowych posągów. Ale 200 posągów, których zarysy widnieją na skalnych ścianach skutecznie oparło się "komarzom ukłuciom" pięściaków. Wreszcie prowadzący dotąd beztroskie życie wyspiarze (dzisiaj także pracują niespecjalnie chętnie i pilnie) zrezygnowali z nie mających szans powodzenia wysiłków, porzucili kamienne pięściaki i wrócili do swoich prymitywnych jaskiń i chat.

Do nich zatem, a nie do właściwych twórców, należy arsenał wielu setek kamiennych pięściaków, które musiały skapitulować przed bezlitosną skałą. Pięściaki są moim zdaniem świadectwem rezygnacji z pracy, której nie sposób było wykonać.

Przypuszczam też, że na Wyspie Wielkanocnej, w Tiahuanaco,

Sacsayhuaman, w zatace Pisco i w tylu innych miejscach lekcji udzielali ci sami mistrzowie. Oczywiście jest to również tylko jedna z wielu możliwych teorii, którą można negować wskazując na wielkie odległości dzielące wspomniane miejsca. Tym samym jednak pomijano by reprezentowaną nie tylko przeze mnie tezę, iż w czasach prehistorycznych istniały dysponujące wysoko rozwiniętą techniką istoty, dla których pokonanie dalszych odległości za pomocą najróżniejszych pojazdów latających nie stanowiło żadnej przeszkody.

Można powątpiewać w prawdziwość mojej tezy, ale każdy musi przyznać, że wygląda na to, iż dla prawdziwych twórców posągów z Wyspy Wielkanocnej wycinanie kamiennych kolosów ze skalnej ściany była dziecinną igraszką.

Może w ogóle robili to tylko dla zabicia czasu.

A może jednak przyświecał im jak najbardziej konkretny cel.

Czyżby któregoś dnia znudziła im się zabawa w posągi?

A może otrzymali rozkaz polecający zaprzestanie prac?

Tak czy inaczej zniknęli całkiem nagle!

Dotychczas nie podjęto żadnych wykopalisk na większych głębokościach. Może w głębszych warstwach gruntu dałoby się znaleźć szczątki pozwalające na znacznie wcześniejsze datowania, niż ma to miejsce obecnie?

Amerykanie budują na wyspie lotnisko, zdejmują warstwę podłoża, żeby położyć betonowy pas startowy. Ale żadnych planowych wykopalisk tam nie widziałem ani też nie słyszałem, aby ktoś takowe zamierzył.

Wyspiarze beztrąsko - bo i dlaczego miałyby być inaczej - oddają się swoim zwykłym zajęciom. Turyści, którzy zadają sobie trud przybycia na wyspę dziwią się temu, co ukazują ich oczom i pstrykają fotki do pamiątkowego albumu. O istotnych badaniach archeologicznych, które mogłyby wyjaśnić zagadkę nikt nie myśli.

Moaisowie - bo tak tubylcy nazywają posągi - mieli niegdyś na podniebnych głowach czerwone kapelusze, które sporządzano z surowca pozyskiwanego w innym kamieniołomie niż kamień na głowy.

Obejrzałem sobie ten "kapeluszkowy" kamieniołom. W porównaniu z tym z krateru Rano Raraku wygląda on jak dołek, w którym bawiły się dzieci. Ten kamieniołom byłby dosyć ciasnym, jeśli nie nazbyt ciasnym warsztatem do produkcji wielkich czerwonych kapeluszy. Widoczne tam kapelusze, potrzaskane i porowate, również wybudziły mój sceptycyzm.

Czy one w ogóle były pozyskiwane i obrabiane tutaj?

Skłaniam się raczej ku przypuszczeniu, że odlewano je ze żwiru i mieszanki czerwonej ziemi. Niektóre z kapeluszy są w środku puste.

Czyżby chciano w ten sposób ująć nieco ciężaru, aby ułatwić transport?

Po zaakceptowaniu dość rozsądnie wyglądającej teorii o odlewaniu kapeluszy z masy żwirowo-ziemnej odpada od razu zagadkowa sprawa transportu: ze żwirowni okrągłe kapelusze wystarczyło stoczyć do we wszystkich przypadkach niżej położonych miejsc ustawienia posągów.

Kiedy prowadziliśmy dyskusję nad tą możliwością, burmistrz Ropo

stwierdził, że zaraz po zrobieniu kapelusze musiały być znacznie większe, i dopiero potem w czasie toczenia się starły... Bardzo możliwe. Ale nawet dzisiaj kapelusz o obwodzie 7,60 m i wysokości 2,18 m to całkiem słuszny rozmiar. Takie nakrycia głowy trudno byłoby z pogodnym "dzień dobry" wywindować na wystającą 10 m nad ziemię głowę.

Po co jednak tym dziwnym posągom w ogóle zakładano czerwone kapelusze? Jak dotąd w całej literaturze dotyczącej Wyspy Wielkanocnej nie znalazłem przekonującego wyjaśnienia. Dlatego nasuwają mi się następujące pytania:

Czy wyspiarze widzieli "bogów" chodzących w hełmach i takich zachowali we wspomnieniach?

Czy dlatego posągi bez kapeluszy-hełmów wydawały im się niekompletne?

Czy mają takie samo znaczenie jak "hełmy" i "aureole" na prehistorycznych malowidłach skalnych całego świata?

Kiedy pierwsi biali dotarli na Wyspę Wielkanocną, Moaisi mieli jeszcze na szyjach drewniane tabliczki pokryte znakami pisma. Ale już pierwsi ciekawi nie znaleźli wśród wyspiarzy żadnego, który umiałby to pismo przeczytać. Nieliczne zachowane po dziś dzień tabliczki wciąż jeszcze nie wyjawily swojej tajemnicy. Mimo wszystko stanowią dowód na to, że starożytni Rapanui znali pismo, które - zauważmy na marginesie - jest zdumiewająco podobne do chińskiego. Pokolenia, które przyszły na świat po "boskiej wizycie" zapomniały widać, czego

ich nauczono...

Znaki pisma i niezrozumiałe symbole znajdują się także na petroglifach, czyli wielkich kamiennych płytach, które niby chodniki pokrywają plażę wyspy. Niektóre z tych połamanych i spękanych płyt mają powierzchnię 20 m kwadratowych. Leżą one wszędzie tam, gdzie grunt jest choć trochę płaski. Na tych kamiennych chodnikach widać wizerunki ryb, trudnych do zdefiniowania embrionopodobnych istot, symbole słońca, kule i gwiazdy.

Abyśmy mogli wyraźniej zobaczyć te rysunki, burmistrz Ropo poprawił je kredą. Zapytałem, czy ktokolwiek umie wyjaśnić te znaki. Ropo odpowiedział przecząco dodając, że już jego ojciec i dziadek nie umieli nic na ten temat powiedzieć. On sam przypuszcza, że petroglify zawierają jakieś dane astronomiczne. Stare świątynie na wyspie również zorientowane są według Słońca i gwiazd.

Nasza wędrowka po Wyspie Wielkanocnej otrzymała na koniec szczególną pointę! Burmistrz Ropo zaprowadził nas na plażę i pokazał zdumiewające w swych proporcjach kamienne jajo. Kiedy obchodziliśmy kamienny relikwiarz naokoło, Ropo wyjaśnił nam, że stara legenda Rapanui powiada, iż jajo to leżało niegdyś pośrodku świątyni Słońca, ponieważ "bogowie" wyszli ku nim zjaja... (Odkryta w Wielkanoc 1722 roku wyspa jest niejako zobowiązana zaskoczyć niespodzianką w postaci wielkanocnego jaja.) Informację tę włączyłem z wdzięcznością do mojego zbioru osobliwych kamiennych jaj z różnych stron świata.

Kilka metrów od armii poprzewracanych posągów wietrzeje na

brzegu wyspy sztuczne kamienne jajo. Tylko namalowany na nim biały numer katalogowy wyróżnia je spośród kamiennego chaosu plaży.

X. Do Indii - z powodu świętych tekstów

[...] I wstąpiłem do wielkiego pomieszczenia, które jaśniało światłem niby wewnątrz przybytku. Wszędzie poruszały się istoty o ludzkich twarzach i rękach. Nosiły różne przedmioty, czasami także różnej wielkości relikwiarze. Podawały je innym istotom, które stały za niskimi ścianami i miały na głowach dziwne nakrycia głowy ze znakiem orła. Hala przybytku wypełniona była niebiańską muzyką. Nie wiadomo było, skąd ona dobiega. Chwilami słyszałem jakieś anielskie głosy, a raz usłyszałem słowa "Rejs numer sto jeden do Nowego Jorku, wyjście dwunaste."

A wtedy jakiś cherub ujął mnie za rękę i poprowadził do serafina, który był dla mnie bardzo miły i podarował mi niewielką białą tabliczkę wypowiadając słowa "Pański bilet". Znaków boskiego pisma, którymi był pokryty, nie potrafiłem odczytać.

A potem znów stanął przy mnie cherub i poprowadził mnie do

wiekiego błyszczącego niebiańskiego ptaka, który stał w rozległym parku niebiańskich zwierząt na wielkiej płaskiej powierzchni. Niebiański ptak spoczywał na ośmiu czarnych kołach, a były one jak kopyta cielęcia i wyrastały z metalowego brzucha potwora i lśniły jak garbowana skóra. Wielkie skrzydła błyszczącego ptaka były szeroko rozpostarte. Wszystko czekało na boga, który miał lecieć razem z nami, i którego imię było "Pilot".

Kiedy wspinałem się po srebrzystej drabinie do wnętrza ptaka, ujrzałem na skrzydłach cztery duże skrzynie, z których każda miała wielki otwór. I ujrzałem, że w jednym z tych otworów obraca się dużo kół. Niebiański ptak należał najpewniej do boga "Swissair", którego imię po wielekroć powtarzała jaśniejąca ściana.

W brzuchu boskiego ptaka powietrze wypełniały dźwięki harfy, a w moje nozdrza uderzył zapach jaśminu, fiołków i innych kwiatów.

Zbliżył się jeszcze jeden cherub o niezrównanie pięknej postaci i posadził mnie na tronie opasując moje biodra szerokim pasem.

Dźwięki harf umilkły i głos boga obwieścił: "Prosimy o zgaszenie papierosów i zapięcie pasów". Głos przekazał jeszcze wiele innych prorocstw, których jednak nie zrozumiałem, tak samo jak wszystkich poprzednich. Potem powstał piekielny hałas, jakby huk gromów potężnej burzy. Ptak zadrżał, ruszył z miejsca i szybciej niż uciekający leopold oddalił się od innych boskich ptaków. I pędził przed siebie coraz szybciej i szybciej pchany i unoszony nadziemską siłą, potężną jak przyływ morza, mocarną jak Synowie Słońca. Niby rozżarzony

pierścień opasał moją pierś strach. Poczułem, że tracę zmysły.

Wtedy od razu pojawił się przy mnie znowu przecudny cherub, podał mi oszłamiający boski nektar, uniósł dłoń i odsłonił nade mną jakby służę. Ożywczy boski wiatr wionął mi w twarz. Uniosłem wzrok i oto mogłem ujrzeć z brzucha ptaka jego skrzydła, które były nieruchome i nie poruszały się jak skrzydła ptaków. Pod sobą ujrzałem woddy i chmury i szarozieloną maź o dziwnie poszarpanych kształtach. Ogarnął mnie lęk, i wzdrygnąłem się. I znów stanął przy mnie cherub, złożył dłoń na moim czole i przekazał mi słowa boskiej mądrości: "Proszę się nie obawiać, jeszcze się nie zdarzyło, żeby ktoś na zawsze został w górze..."

Na przekór śmiertelnej powadze opisałem podróż samolotem tak, jak mógł ją relacjonować po powrocie do domu jakiś nasz praprzodek, gdyby miał okazję lecieć odrzutowym samolotem pasażerskim z Zurychu do Nowego Jorku. Pomysł z pozoru całkiem absurdalny, ale zaraz się przekonamy, że wcale nie pozbawiony sensu.

W 10 rozdziale Księgi Ezechiela, w wersetych 1-19 prorok zdaje sprawę z czegoś, co może budzić bardzo silne skojarzenia z przytoczoną powyżej hipotetyczną relacją naszego praprzodka z podróży samolotem.

"A gdy spojrzałem, oto na sklepieniu, które było nad głowami cherubów było coś jakby kamień szafirowy: coś z wyglądu podobne do tronu.

2. I rzekł do męża, odzianego w lnianą szatę, tak: Wejdź między koła pod cherubami i napełnij swoje garście rozżarzonymi węglami [...]

I wszedł na moich oczach.

3. A cheruby stały z prawej strony przybytku, gdy wszedł ów mąż, a obłok napełnił wewnętrzny dziedziniec.

4. I podniosła się chwała Pana znad cherubów do progu przybytku, i przybytek napełnił się obłokiem, a dziedziniec był pełen blasku chwały Pana.

5. A szum skrzydeł cherubów było słyszeć aż do zewnętrznego dziedzińca jak głos Boga Wszechmogącego, gdy przemawia.

6. A gdy rozkazał mężowi, odzianemu w lnianą szatę: Nabierz ognia spomiędzy kół, spomiędzy cherubów, ten przyszedł i stanął obok koła.

9. I spojrzałem, a oto obok cherubów były cztery koła, pojedynk obok każdego cheruba; a koła wyglądały jak blask chryzolit.

10. A z wyglądu wszystkie cztery miały jednakowy kształt, tak jak gdyby jedno koło było wewnątrz drugiego.

11. Gdy się posuwały, to posuwały się na wszystkie cztery strony, nie obracając się: W tym kierunku, w którym zwrócone były przednie, posuwały się za nim, nie obracając się, gdy się posuwały.

12. A całe ich ciało, więc ich grzbiet, ich ręce i ich skrzydła oraz koła były u wszystkich czterech zewsząd pełne oczu.

13. Co się tyczy kół, nazwane były -jak słyszałem - kręgiem kół.

16. A gdy cheruby się posuwały, posuwały się koła obok nich, a gdy

cheruby podnosiły skrzydła, aby się wzbić od ziemi, wtedy koła nie odsuwały się od ich boku.

17. Gdy tamte stanęły, stanęły i te; a gdy tamte się podnosiły, podnosiły się z nimi i te [...]

19. A gdy cheruby podniosły swoje skrzydła i na moich oczach wzbiły się w górę od ziemi, podniosły się wraz z nimi i koła."

Międzynarodowa Akademia Badań Sanskrytu w indyjskim mieście Mysore jako pierwsza odważyła się podjąć próbę przełożenia na język naszych współczesnych pojęć, sanskryckiego tekstu autorstwa starożytnego proroka, Maharishi Bharadwaja. Rezultat, który miałem oto czarno na białym przed sobą, był tak zdumiewający, że w czasie podróży do Indii jesienią 1968 roku, poprosiłem o potwierdzenie naukowej poprawności przekładu zarówno w Mysore, jak i w Central College w Bangalore. A oto jak brzmi współczesny przekład tego starego sanskryckiego tekstu:

6. "[...] Aparat, który porusza się wewnętrzną siłą niby ptak, czy to na ziemi, czy to na wodzie, czy to w powietrzu nazywa się vimana [...]"

8. "[...] który może się poruszać po niebie, z miejsca na miejsce [...]"

9. "[...] z kraju do kraju, ze świata do świata [...]"

10. "[...] nazwany jest vimana przez kapłanów nauki [...]"

11. "[...] Tajemnica budowy latających aparatów [...]"

12. "[...] które nie łamią się, nie mogą zostać rozczłonkowane, nie zajmują się od ognia [...]"
13. "[...] i nie dają się zniszczyć [...]"
14. "[...] Tajemnica zatrzymywania latających aparatów."
15. "[...] Tajemnica czynienia latających aparatów niewidzialnymi."
16. "[...] Tajemnica podsłuchiwania dźwięków i rozmów w nieprzyjacielskich latających aparatach."
17. "[...] Tajemnica widzenia obrazów z wnętrza nieprzyjacielskich latających aparatów."
18. "[...] Tajemnica ustalania kierunku lotu nieprzyjacielskich latających aparatów."
19. "[...] Tajemnica czynienia nieprzytomnymi istot w nieprzyjacielskich latających aparatach i niszczenia nieprzyjacielskich latających aparatów [...]"

W dalszej części tekstu znajdujemy dokładny opis, z jakich 31 głównych części składa się latający aparat. Równie dokładnie podane są też informacje na temat ubioru i pożywienia pilotów. Następnie tekst zawiera wyszczególnienie 16 rodzajów metali, które są potrzebne do skonstruowania pojazdu latającego, z tym że tylko trzy z nich są nam znane dzisiaj. Nazw wszystkich nie udało się przetłumaczyć.

Próba podjęta w Mysore na tekście, którego wieku po dziś dzień nie udało się ustalić, niech będzie przykładem tego, co mogą nam powiedzieć nowocześnie przetłumaczone stare teksty.

Od dawna już byłem mocno zaintrygowany starymi indyjskimi tekstami. Ileż bowiem zagadkowych i fascynujących rzeczy na temat latających maszyn i zupełnie fantastycznych broni z pradawnych czasów znaleźć można w przekładach indyjskich Wed i eposów! Stary Testament ze swoimi niezwykle plastycznymi i drastycznymi opisami wygląda po prostu blado w konfrontacji z indyjskimi rarytasami.

Moja ciekawość oryginalnych źródeł wzmożła się jeszcze wskutek pewnego zupełnie przypadkowego przeżycia. Po jednym z wykładów, jakie wygłosiłem w roku 1963 w Zurychu dla niewielkiego grona słuchaczy, podszedł do mnie hinduski student fizyki i powiedział z rozbijającą szczerością:

- Naprawdę uważa pan, że to, co nam pan tu powiedział, jest takie nowe i szokujące? Każdy jako tako wykształcony Hindus zna na pamięć duże fragmenty Wed i wie, że bogowie w pradawnych czasach dosiadali latających maszyn i dysponowali przerażającymi bronią. Właściwie wie o tym u nas każde dziecko!

Miły młody człowiek chciał w zasadzie tylko potwierdzić moje hipotezy, może zresztą chciał mnie nieco uspokoić, ponieważ wsiadłszy na mojego "konika" bardzo łatwo się ekscytuję. Osiągnął skutek wprost odwrotny od zamierzonego.

Przez następne lata prowadziłem dość jednostronną korespondencję z indyjskimi badaczami sanskrytu. Na moje szczegółowe pytania

odpowiadali oni niezwykle uprzejmie, przesyłając fotokopie tekstów sanskryckich, których jednak nie umiałem przeczytać. Na mojej pasji skorzystali jedynie zbierający egzotyczne znaczki przyjaciele. Ale wciąż nie dawało mi to spokoju. Musiałem pojechać do Indii - z powodu tekstów.

Jesienią 1968 poleciałem do Bangalore, stolicy stanu Mysore. Bangalore jest centrum uniwersyteckim południowych Indii, chociaż na początku trudno było mi to zauważyć. Pierwszego dnia pobytu przed moimi oczami przesunął się kalejdoskop oszałamiających wrażeń: żebracy i nędzarze, wozy zaprzężone w woły i motorowe riksze, kobiety z brylantami w skrzydełkach nosów i czerwoną kropką na czole, zmurszałe drewniane chaty i białe pałace w angielskim stylu kolonialnym, zgiełk ulicy i wychudłe święte krowy o czerwonych oczach, żołnierze w zielonkawych mundurach i brudnożółta woda na skrajach ulic, a nad tym wszystkim ów specyficzny zapach, który wciskał się przez nos niemal do mózgu.

Uniwersytet w Bangalore dofinansowany z pieniędzy na pomoc dla krajów rozwijających się jest znakomicie wyposażony i unosi się w nim duch postępu. Profesorowie i studenci pracują wspólnie i bez uprzedzeń nad nowymi problemami stawianymi przez naukę.

Znawcy sanskrytu, tacy jak profesor Ramesh J. Patel z Centrum Kulturalnego w Kochrabie i T.S. Nandi z uniwersytetu w Ahmedaba-

dzie znaleźli dla mnie czas. Najczęściej wystarczył jeden telefon, by ustalić termin rozmowy.

Pytałem o wiek ksiąg wedyjskich i eposów. Wszyscy zgodnie odpowiadali, że Mahabharata, liczący ponad 80 tysięcy podwójnych wersetów narodowy epos indyjski po raz pierwszy zapisany został najprawdopodobniej 1500 lat przed Chrystusem. Kiedy jednak dopytywałem się o zasadniczy zrąb eposu, wówczas datowania wahały się między rokiem 7016 a 2604 przed Chrystusem. Ta w przypadku tak odległych datowań niezwykła rozbieżność danych bierze się z pewnych określonych astronomicznych układów planet, o których mowa w opisie jednej z bitew. Pomimo tych astronomicznych informacji uczeni po dziś dzień nie mogą się zgodzić co do wieku tego eposu. Tak jak w przypadku Starego Testamentu, pierwotny autor Mahabharaty pozostaje nieznany. Przypuszcza się, że właściwym jego twórcą jest legendarny Wjasa, natomiast już ze znaczną pewnością badacze twierdzą, że tym, który po raz pierwszy zapisał pełny ustny przekaz, był Sauti.

Dla matematyków, którzy niedługo zaczną karmić komputery danymi, aby obliczyć dylatację czasu dla lotów międzygwiazdnych, pozwolę sobie podać informację, którą zanotowałem w Bangalore: otóż w Mahabharacie 1200 boskich lat to 360800 lat ludzkich!

Jakże się złościłem, że nie potrafię czytać sanskrytu!

Udzielano mi kompetentnych informacji, mówiono dokładnie, w jakich tekstach, w których miejscach mogę znaleźć poszukiwane przez

siebie superbronie, bronie latające i latające aparaty. Sięgano po telefon powiadamiając bibliotekarzy, że przyjdę i czego będę potrzebował, posyłano ze mną skorych do pomocy studentów, abym na pewno dotarł do tego, czego szukam... A kiedy potem z nadzieją trzymałem już w dłoni źródłowe odpowiedzi na moje pytania, znowu okazywało się, że najistotniejsze fragmenty są w sanskrycie albo innym języku Indii. Rozczarowany skąpymi rezultatami postanowiłem nie zrywać nawiązanych na miejscu kontaktów - i pewnego dnia wrócić tu mądrzejszy. Miałem jeszcze pewną nadzieję, że otrzymam dokładniejsze informacje dla zaspokojenia mojej ciekawości. Jeszcze w Szwajcarii nawiązałem kontakt korespondencyjny z profesorem dr T.S. Nandi, sanskrytologiem z uniwersytetu w Ahmedabadzie. Zasięgałem u niego konsultacji i za jego pośrednictwem dotarłem do profesor Esther Abraham Solomon, która jest jego przełożoną a także "Head of Department". Pani profesor dysponuje ogromną wiedzą na temat sanskrytu, od sześciu lat jest kierowniczką wydziału badań sanskrytologicznych i wśród specjalistów w tej dziedzinie wiedzy nie tylko w samych Indiach cieszy się sławą jednej z największych znawczyń tej materii. Miasto Ahmedabad to dawne centrum handlu bawełną, pełne słynnych meczetów i dostojnych grobów z XV i XVI wieku. Miasto leży na brzegu rzeki Sarbarmati, liczy ponad 1,2 mln mieszkańców i jest słynne w całych Indiach, ze względu na założony tu zaledwie w 1961 roku Uniwersytet Gudźurat. Dla turystów Ahmedabad ma atrakcję szczególną, mianowicie tak

zwane "Shaking Towers", czyli dwa wysokie kamienne minarety, mające w środku kręcone schodki, którymi - oczywiście boso - można się wspiąć na sam szczyt budowli. Wieże te odznaczają się wyjątkową w skali światowej właściwością. Kiedy grupka ludzi wspólnymi rytmicznymi ruchami wprawi jedną z wież w drgania, druga również zaczyna drgać. Jak dotąd obydwie wieże bez uszczerbku znoszą tę permanentną zabawę turystów i sprawiają wrażenie, jakby spokojnie miały przeżyć krzywą wieżę w Pizie...

Profesor Nandi zapowiedział mnie u pani Solomon na południe i tak mnie poinstruował:

- Proszę iść na pierwsze piętro, nazwisko jest na drzwiach, proszę wejść do gabinetu i rozgościć się.

Wyruszyłem w drogę przez rozpalone powietrze dnia - był listopad.

Uniwersytet okazał się nowoczesnym jednopiętrowym budynkiem z piaskowca, pozbawionym wszelkich zbędnych ozdób. Czekałem w hallu, ponieważ dla Europejczyka zaproszenie "proszę wejść do gabinetu i rozgościć się" jest trochę dziwne. Czekaając na panią Solomon przyglądałem się, jak profesorowie i studenci ze swobodną oczywistością i bez pukania wchodzili do różnych gabinetów i jak uprzejme choć wolne od ustalonych form są tu wzajemne kontakty.

Około pierwszej zjawiała się pani profesor Solomon. Okazało się, że ostatnie kolokwium trwało dłużej niż zaplanowano. Pani Solomon miała na sobie proste, białe sari. Oceniałem ją na mniej więcej pięćdziesiąt lat. Przywitała się ze mną jak ze starym znajomym, pewnie dlatego, że

przyszedłem z polecenia profesora Nandi. Rozmowę prowadziliśmy po angielsku i pani Solomon pozwoliła mi nagrywać ją na dyktafon.

A oto nasza rozmowa:

- Pani profesor, czy prawidłowo zinterpretuję informacje pani kolegów po fachu, jeśli powiem, że sanskrytolodzy uważają staroindyjskie Wedy i eposy za starsze od Starego Testamentu?

- Z tak absolutną pewnością nie da się tego powiedzieć! Ani starożytne indyjskie teksty, ani teksty Starego Testamentu nie dadzą się dokładnie datować. Jeśli mniej lub bardziej skłaniamy się ku temu, by najstarsze części Mahabharaty umiejscawiać około roku 1500 przed Chrystusem, to jest to bardzo ostrożna hipoteza odnosząca się w zasadzie do najstarszego zrębu tego eposu. Oczywiście jest mnóstwo dodatków i uzupełnień, włączonych dopiero "po Chrystusie". Dokładnych datowań trzeba dziś jeszcze dokonywać z dużą ostrożnością. Najstarsze części Mahabharaty mogą być nawet o sto i więcej lat dawniejsze niż dziś przypuszczamy! Najstarsze teksty spisywano na korze palmowej, lecz zanim teksty te zostały utrwalone na piśmie, przez wiele pokoleń przekazywano je ustnie. Są też zapisy w kamieniu, ale te są w Indiach stosunkowo rzadkie.

- Czy natrafiła pani w swoich badaniach na paralele między tekstami Starego Testamentu i starożytnymi eposami Indii?

- Pewne paralele oczywiście istnieją, ale podobieństwa takie, moim zdaniem, odnaleźć można w tej czy innej formie w większości starych legend wszystkich narodów. Proszę sobie tylko przypomnieć wydarze-

nie takie jak potop, czy też historię bogów płodzących ludzi, czy też herosów wziętych do nieba, czy też występujące w niezliczonych miejscach informacje na temat broni, jaką dysponowali.

- Ale kiedy to właśnie staroindyjskie i tybetańskie teksty wręcz naszpikowane są informacjami o różnych dziwnych broniach. Mam tu na myśli boskie błyskawice i miotacze promieni oraz coś w rodzaju broni hipnotycznej, a czym wspomina się w Mahabharacie, albo o tym dysku, którym miotają bogowie i który zawsze do nich powraca niby bumerang, a także teksty, w których jest mowa o czymś podobnym do broni bakteriologicznej. Co pani o tym sądzi?

- Mamy tu raczej do czynienia z przesadą lub pełnym fantazji przedstawieniem wyimaginowanej boskiej mocy. Starożytni bez wątplenia odczuwali potrzebę otoczenia swoich wodzów i królów nimbem tajemniczości i mistycyzmu. Oczywiście wszystkie te niewyobrażalne i niepokonane atrybuty wymyślano później, mnożąc je w kolejnych pokoleniach.

- Czy te fantazje dadzą się jakoś pogodzić ze światem wyobraźni czasów prehistorycznych?

- Jak najbardziej! Przecież nawet my bez przerwy stajemy przed jakimiś zagadkami.

- W tekstach indyjskich i starotybetańskich bezustannie pojawiają się opisy latających obiektów, tak zwanych vimana. Co pani o tym sądzi?

- Szczerze mówiąc, sama nie wiem, co na ten temat sądzić.

Widocznie opisy te odnoszą się do czegoś w rodzaju samolotów,

którymi bogowie walczyli ze sobą w niebie.

- Czy wolno nam i czy możemy klasyfikować tego rodzaju przekazy jako mitologię, a tym samym ucinąć wszelką nad nimi dyskusję?

Pani profesor Solornon zastanawiała się przez chwilę, a potem powiedziała prawie z rezygnacją w głosie:

- Pewnie nic innego nam nie pozostanie.

- A co by było, gdyby te teksty okazały się opisami bardzo odległych rzeczywistych wydarzeń?

- Byłoby to fantastyczne!

- A czy jest to wykluczone

- Nie wiem, naprawdę nie wiem... - powiedziała pani profesor po chwili milczenia.

Przed budynkiem ponownie zalała mnie fala nieznośnego żaru.

Powoli ruszyłem nie kończącym się mostem do miasta. Rzeka niemal wyschła, został tylko wąziutki strumyczek. Jak okiem sięgnąć koryto rzeki pokryte było barwnymi dywanami, które tkacze rozłożyli do wyschnięcia. Przez cały czas starałem się zrekapitulować w myślach niedawną rozmowę. Nawet ta mądra kobieta nie potrafiła udzielić mi zadowalającej odpowiedzi na moje pytania.

Lecz właśnie to, czego nie mogła mi jasno i wyraźnie potwierdzić pani profesor Solomon, od ponad dziesięciu lat nakazuje mi porównywać ze sobą najstarsze księgi ludzkości pod kątem mojej tezy i wyszukiwać

podobieństwa w opisach określonych wydarzeń.

Kiedy wróciłem do hotelu, klimatyzacja w moim pokoju przywróciła mi siły życiowe. Otworzyłem Mahabharatę i od razu natrafiłem na następujący fragment:

"Bhrigu, spytany o rozmiary niebiańskiego namiotu, odparł:

Nieskończona jest jego przestrzeń, zamieszкана przez zmarłych i bóstwa, radosna, usiana domostwami, a jego granice są nieosiągalne.

Powyżej zasięgu ich władzy i poniżej nie widać już Księżyca ni Słońca, tam bogowie są swoim własnym światłem, błyszczącym jak słońce i promieniejącym jak ogień.

Oni także nie widzą granicy potężnie rozpostartego namiotu niebieskiego, ponieważ jest ona trudna do osiągnięcia, gdyż jest nieskończona [...] Ku górze jednak, wciąż i niepowstrzymanie ku górze ową przestrzeń, nie do wymierzenia także przez bogów, wypełniają płomieniste, świecące własnym światłem istoty."

Relacje zawarte w Mahabharacie nadal zaliczają się do nie rozwiązanych zagadek przeszłości i to nawet tam, gdzie badacze zajmują się tymi starożytnymi tekstami z nie mającą sobie równych pieczołowitością.

Od kiedy ludzkość nauczyła się myśleć i dysponuje językami, zaczęła też wymyślać mity i legendy, które, przekazywane przez całe tysiąclecia z ust do ust, w którymś momencie zostały przez kogoś spisane. Jest sprawą zagadkową, dlaczego niektóre z tych starożytnych przekazów stały się religiami lub determinującymi człowieka filozofiami życia, inne

zaś z kolei były negocjowane i nie wywarły żadnego wpływu. Wspólną cechą wszystkich starożytnych przekazów jest to, że zawarte w nich treści nie dadzą się udowodnić, tyle że w te, które zostały wyniesione do rangi religii, po prostu się "wierzy". Kiedy dziś próbujemy interpretować starożytne teksty pod nowym kątem, to mamy do dyspozycji nie jakieś inne, a tylko i wyłącznie te właśnie stare, w które się "wierzy" i które zostały zanegowane. A mimo to dowiadujemy się z nich rzeczy zdumiewających. Lecz zarówno podawanie w wątpliwość tego, w co się "wierzy", jak też traktowanie mitycznych przekazów jako relacji z rzeczywistych wydarzeń, wydaje się niektórym dość niecodzienne.

W bibliotece paryskiej Sorbony zagłębiłem się w sześciotomowym kompletnym wydaniu tekstów Kabaly. Zanim przedstawię teraz owoce swojej lektury, muszę krótko powiedzieć, że Kabala jest chyba najobszerniejszą i najbardziej zagadkową nauką tajemną na świecie. Jej spisywanie rozpoczęto podobno w roku 1200 po Chrystusie. Powiada się też, że powstała jako reakcja na realistyczny i materialistyczny talmudyzm.

Kabala interpretuje tajemnicze przekazy zawarte w Starym Testamencie i komentuje na użytek wąskiego kręgu wtajemniczonych zaszyfrowane informacje starożytnych żydowskich zasad. Kabaliści powiadają, iż Kabalę spisano na polecenie Boga. Zawiera tajne znaki, symbole, wzory matematyczne i przedstawia wszelkie dane okultystyczne w relacji do mistycznej mocy najróżniejszych bogów. Kto należy do kręgu wtajemniczonych, ten ma podobno w wyniku znajomości i opanowania

tajników Kabały nabyć zdolność czynienia cudów na mocy uzyskanego tą drogą połączenia z bogami...

Tak jak zwykłem traktować jako realistyczne przekazy zawarte w innych starożytnych tekstach, tak samo oceniałem opisy Kabały jako relację z rzeczywistości. Tylko w ten sposób można odcedzić z okultystycznych poglądów autorów kabalistycznych realny ślad wiodący z naszej Ziemi ku "bogom".

W Kabale znajdujemy bardzo pogładowy opis "siedmiu światów" oraz ich mieszkańców, przy czym jednemu i temu samemu nadaje się różne nazwy. Oto niektóre fragmenty, które przytaczam tu w wolnym tłumaczeniu:

"Mieszkańcy świata Gej
sieją i sadzą drzewa. Jedzą
wszystko, co pochodzi z drzewa, nie znają
jednak żadnych zbóż. Ich
świat jest cienisty i jest tam mnóstwo
wielkich zwierząt.
Mieszkańcy świata Nescija
jedzą krzewy i rośliny, których nie muszą
siać. Są niewielkiego
wzrostu i zamiast nosów
mają tylko dwie dziurki w głowie, przez które
oddychają. Są bardzo roztargnieni
i wykonując jakąś pracę często nie wiedzą,

po co ją zaczęli. W ich

świecie widać czerwone słońce.

Mieszkańcy świata Cija nie muszą

jeść tego, co jedzą inne istoty. Zawsze

szukają żył wodnych. Mają bardzo

piękne twarze i znacznie więcej

wiary niż wszystkie inne istoty. W ich

świecie są wielkie bogactwa

i mnóstwo pięknych budowli. Ziemia

jest sucha i widać dwa słońca.

Mieszkańcy świata Tewel

jedzą wszystko, co pochodzi z wody. Przewyższają

wszystkie inne istoty, a ich

świat jest podzielony na strefy, których

mieszkańcy różnią się kolorem

i rysami twarzy. Wskrzeszają

swoich zmarłych. Ich świat jest

bardzo oddalony od słońca.

Mieszkańcy świata Erec są

potomkami Adarna.

Mieszkańcy świata Adama są

również potomkami Adama, ponieważ Adam

uskarżał się na beznadziejność życia w świecie

Erec. Uprawiają ziemię i

jedzą rośliny, zwierzęta oraz chleb. Są
przeważnie smutni i często toczą ze sobą
wojny. W świecie tym są dni i
widoczne są konstelacje
gwiazd. Dawniej często odwiedzali ich
mieszkańcy świata Tewel, lecz przybysze
zostali porażeni niepamięcią w świecie
Adama i już nie wiedzieli,
skąd przybyli.

Mieszkańcy świata Arka
sięją i zbierają. Ich twarze są
inne od naszych twarzy.

Odwiedzają wszystkie światy i mówią
wszystkimi językami."

I znów nasuwają się stare, swojsko już dla nas brzmiące pytania: Skąd
autorzy Kabały wiedzieli, że istoty zamieszkujące siedem innych świa-
tów mają wygląd inny niż mieszkańcy Ziemi? Że inaczej się odżywiają
i że na ich niebie świecą inne słońca?

Warto jeszcze wspomnieć stwierdzenie Kabały, że pierwotnie w czasie
stosunku płciowego ludzie nie patrzyli sobie w twarze i że połączenie
życiodajnych komórek następowało w jednej i tej samej istocie.

Współcześni kabaliści utrzymują, że przed Adamem Bóg stworzył inną
istotę, która była tylko "mężczyzną", co wcale jej nie przeszkadzało
płodzić dzieci. Te jednak niespodziewanie sparzyły się z wężem.

Główne dzieło Kabaly, Księga Zohar, zostało napisane po aramejsku i stanowi wyjaśnienie Pięcioksięgu Mojżesza w duchu kabalistycznego ujęcia Boga. Księga Zohar uważana jest za dzieło rabiego Szimona ben Jochaja (130 - 170), lecz spisana została - po wiekach ustnego przekazywania - dopiero prawdopodobnie pod koniec XIII wieku przez Mojżesza z Leonu w Hiszpanii, a wydrukowano ją po raz pierwszy w Cremonie w roku 1558.

W Księdze Zohar znajduje się zapis rozmowy pomiędzy - i to jest właśnie zdumiewające - mieszkańcem Ziemi i rozbitkiem ze świata Arka. Z dialogu tego dowiadujemy się, że - po spustoszeniu Ziemi przez ogień - pewna ilość uciekinierów, którzy przeżyli katastrofę, pod kierunkiem rabiego Yosse spotkali obcego, który niespodziewanie wyłonił się ze skalnej rozpadliny i który miał "inną twarz". Rabbi Yosse stanął przed obcym i zapytał, skąd też on pochodzi.

- Jestem mieszkańcem Arka - odparł obcy.

Uciekinier był zaskoczony i spytał:

- A więc na Arka są istoty żywe?

Obcy odrzekł:

- Tak. Kiedy was ujrzałem, wyszedłem z pieczary, aby dowiedzieć się nazwy świata, do którego przybyłem.

Następnie obcy opowiada, że w jego świecie pory roku są inne niż na Ziemi, że siew i zbiory ponowiłyby się tam dopiero po wielu latach, a także iż układ gwiazd jest inny niż ten, jaki można zaobserwować na ziemskim niebie...

Za tą relacją, którą spisano dopiero nie dawniej niż 700 lat,
a wydrukowano po raz pierwszy 400 lat temu, stoi prawie 1800 lat
ustnego przekazywania z pokolenia na pokolenie. Jakaż jednak wiedza
- ciśnie mi się na usta pytanie - kryje się za tymi słowami?

Oczywiście obcy, który przybył na Ziemię, widział gwiazdozbiory pod
innym kątem niż zwykłe widzieć ze swojej planety, na której w dodatku
panowało inne następstwo pór roku niż na Ziemi.

Jądro tych informacji jest zbyt realistyczne, aby mogło chodzić
o zwykły wytwór fantazji.

Mamy też księgę Dzjan zawierającą święte znaki symboliczne! Żaden
człowiek na świecie nie zna prawdziwego wieku tej księgi. Powiada się,
że oryginał jest starszy niż Ziemia. Powiada się też, że była tak mocno
namagnesowana, iż "upoważnieni", którzy brali ją w dłonie, widzieli
przesuwające się przed ich oczami opisane w niej wydarzenia i w tym
samym momencie poprzez rytmicznie przekazywane impulsy słyszeli
tajemnie teksty wypowiedane w ich języku - o ile dysponował on
zasobem słów zdolnych oddać treść przekazywanych tekstów.

Tajemna nauka Dzjan przechowywana była przez tysiąclecia w tybe-
tańskich krypcach jako ściśle tajna. Powiadano, iż tajniki w niej zawarte
mogłyby stać się niesłychanie niebezpieczne w niepowołanych rękach.
Tekst oryginalny - o którym nie wiadomo, czy w ogóle jeszcze istnieje
- z pokolenia na pokolenie był słowo w słowo kopiowany i uzupełniany
nowymi informacjami przez "upoważnionych".

Podobno księga ta miała powstać po tej stronie Himalajów. Nie-

znanymi drogarni jej nauki przedostały się aż do Japonu, Indii oraz Chin. Odpryski jej zawartości myślowej stwierdza się też podobno nawet w legendarnych przekazach południowoamerykańskich. Zbiorów ksiąg o niesłychanej objętości strzegły tajne bractwa, ukrywające się na samotnych przełęczach zachodniochińskich gór Kun-lun czy też w głębokich przepaściach masywu Altyn-tag również leżącego w zachodniej części dzisiejszych komunistycznych Chin. Bractwa te mieszkaly w nędznych świątyniach. Podziemne lochy i galerie kryły ich literackie skarby. W lochach tych przechowywano też księgę Dzjan. Pierwsi ojcowie Kościoła dokładali wszelkich starań, aby wykorzenić ową tajemną wiedzę z pamięci tych, którym była ona znana. Wszystkie te starania spełzły jednak na niczym i z pokolenia na pokolenie przekazywano sobie ustnie święte teksty.

W różnych krajach często opowiadano mi o tej nauce, nigdy jednak nie spotkałem nikogo, kto widziałby "prawdziwą" kopię tego dzieła. Zachowane, czy raczej poznane fragmenty księgi Dzjan rozpiezehlę się po całym świecie w tysiącach przełożonych na sanskryt tekstów. Z tego, co dotychczas wiadamo, owa osobliwa nauka tajemna ma zawierać pierwotne Słowo, forznułę Stworzenia, i przekazywać relację z trwającego miliony lat rozwoju ludzkości.

Siedem strof Genesis wedle księgi Dzjan wydaje mi się na tyle interesujących, że pragnę je tu przytoczyć we fragmentach:

Strofa 1:

"[...] Nie było czasu, gdyż leżał uśpiony w nieskończonym łonie

trwania [...]

[...] Sama ciemność wypełniała nieskończoną Przestrzeń [...]

[...] życie pulsowało nieświadome we Wszechświecie [...]

[...] Siedmiu wyniosłych władców i siedem prawd przestało istnieć

[...]"

Strofa 2:

"[...] gdzie byli budowniczy, świetliści synowie [...] Twórcy formy
z nie-formy, korzenia świata [...]?"

[...] Godzina jeszcze nie wybiła; promień nie przeniknął jeszcze do
zarodka [...]"

Strofa 3:

"[...] Ostatnia wibracja siódmej wieczności przenika nieskończoność.

[...] Wibracja rozprzestrzenia się, dotyka swym rączym skrzydłem
całego Wszechświata i zarodka, który mieszka w Ciemności i który
oddycha nad uśpionymi wodami życia [...]

[...] Korzeń życia zawarty był w każdej kropli oceanu nieśmiertelności,
a ocean był błyszczącym światłem, które było ogniem, ciepłem
i ruchem. Mrok zniknął i już go nie było [...]

[...] Oto jasna przestrzeń, która jest potomkiem mrocznej przestrzeni

[...] Od tej chwili świeci niby słońce; to ognisty, boski Smok

Mądrości.

[...] Gdzie był zarodek i gdzie jest teraz ciemność?"

[...] Zarodek jest czynem, a czyn jest światłem, białym promieniejącym synem mrocznego ukrytego ojca."

Strofa 4:

"[...] Synowie Ziemi słuchajcie swych nauczycieli, Synów Ognia.

[...] Słuchajcie, czego my, potomkowie pierwotnej Siódemki, którzyśmy zrodzeni z prapłomienia, nauczyli się od naszych ojców [...]

[...] z blasku światła, które promieniało z wiecznej ciemności, wyłoniły się w przestrzeni obudzone na nowo energie [...] A z Boga-Człowieka emanowały kształty, iskry, święte zwierzęta i posłańcy świętych ojców."

Strofa 5:

"[...] Pierwszych siedem tchnień Smoka Mądrości wytworzy ze swej strony poprzez święte wirujące tchnienia ognisty wirujący wicher.

[...] Szybki syn boskich synów [...] wypełni w wirowym ruchu swe posłannictwo [...] Niby błyskawica przesyje ogniste chmury [...]

[...] Jest ich wiodącym duchem i przewodnikiem; gdy rozpocznie swe dzieło, podzieli iskry dolnego królestwa, które drżąc z radości unoszą się w swoich promieniejących mieszkaniach [...]"

Strofa 6:

"[...] Szybki i promieniejący [...] postawi Wszechświat na tych wiecznotrwałych fundamentach [...]

[...] zbuduje je jako wizerunki dawnych kół i umocuje w nieprzemijających punktach środkowych [...]

[...] w jaki sposób zostaną zbudowane przez fohat? Fohat zbierze

ognisty pył. Uczyni kule z ognia, przechodzić będzie przez nie i naokoło nich i zaopatrzy je w życie, potem wprawi je w ruch [...] Są zimne, on uczyni je gorącymi. Są suche, on uczyni je wilgotnymi. One świecą, on powachluje je i ochłodzi. Tak pracować będzie fohat od jednego świtania do drugiego przez siedem wieczności [...] Matczyna ikra wypełniła całość. Doszło do walk pomiędzy Stwórcami a Niszczycielami, u walk o przestrzeń [...]"

Strofa 7:

"[...] Oto początek czującego bezkształtnego życia. Najpierw to, co boskie, Jedno z matczynego ducha [...]

[...] Promień powieliła mniejsze promienie [...]

[...] Potem Buzdowniczowie, którzy przywdziali już ponownie swoje pierwsze szaty, zstępują na promieniejącą Ziemię i panują między ludźmi, którzy są nimi samymi [...]"

Dla wytrawnych Czytelników ów mit o Stworzeniu naprawdę nie wymaga żadnych komentarzy. To wręcz niesamowite, jak starożytne teksty niejako "same" się interpretują w epoce lotów kosmicznych.

Wystarczy tylko wyjaśnić sens, w jakim użyto tu kilku pojęć:

Wieczna Matka - przestrzeń.

Siedem wieczności - eony lub okresy. "Wieczność" w sensie znanym z teologii chrześcijańskiej w azjatyckim świecie pojęć jest pozbawiona sensu. Okres ciągnie się przez "długi wiek", czyli 100 lat Brahmy lub 31104000000000 ziemskich lat. Jeden dzień Brahmy składa się z 4320000000 lat śmiertelników. "Brahma to moc, która stwarza

i podtrzymuje wszystkie światy. Pozwolę sobie w tym miejscu przypomnieć zasady dylatacji czasu, bez których zastosowania nie sposób pojąć tych miar.

Czas - ciąg stanów świadomości.

Przestrzeń - materia.

Światło - coś niewyobrażalnego, ponieważ nie jest znane jego pierwotne źródło.

Ojciec i Matka - męska i żeńska zasada Pranatury

Siedmiu wyniosłych wodzów - siedem twórczych duchów.

Budowniczości - prawdziwi stwórcy Wszechświata, systemu planetarnego

Tchnienie - pozbawiona wymiarów przestrzeń.

Promień - materia w kosmicznym jajku.

Ostatnia wibracja siódmej wieczności - okresowo pojawiające się zjawisko uniwersalnego rozumu.

Dziewicze Jajo - symbol pierwotnej formy wszystkiego, co widzialne, poczynając od atomu a na ciałach niebieskich kończąc.

Synowie Ziemi, Synowie Ognia - ubrane w kształt kosmiczne siły.

Fohat - twórcza siła energii kosmicznej.

(Cytaty i objaśnienia pojęć zaczerpnąłem z wydanego w roku 1888 (sic!) dzieła Heleny Bławatskiej Nauka tajemna.)

W dalszych częściach książki Dzjan jest podobno napisane, że przed 18 milionami lat na Ziemi żyły pozbawione kości, gumowate, bezrozumne istoty. Istoty te miały się rozmnażać przez podział. W toku długiej

ewolucji przed czterema milionami lat miał powstać w ten sposób gatunek łagodnych istot, żyjących w okresie przyjemnej rozkoszy, w świecie szczęśliwie śniących. W ciągu następnych 3 milionów lat rozwinęła się rasa bardzo zróżnicowanych olbrzymich istot. Olbrzymy, jak jest podobno napisane w księdze Dzjan, były dwupłciowe i same się zapładniały. Dopiero przed 700 tysiącami lat miały zacząć rozmnażać się jak inne zwierzęta, ale z tych aktów powstawały podobno straszliwe potwory. Potwory te nie potrafiły się już uwolnić od tego sposobu rozmnażania, uzależniły się od zwierząt i degenerowały się coraz bardziej się do nich upodabniając.

Księga Dzjan operuje podobno dokładnymi danymi powiadając, że w roku 9564 przed Chrystusem u wybrzeży dzisiejszej Kuby i Florydy pograżyły się w oceanie wielkie fragmenty lądu. Po dziś dzień nie udało się zlokalizować legendarnej Atlantydy. Czyżby miała być tożsama z zatopionym lądem, o którym mówi księga Dzjan? Nie wiem. Może z Atlantydą jest tak jak z UFO - i jedno, i drugie nie daje się już usunąć z ludzkiej wyobraźni.

Mahabharata - Kabała - Zohar - Dzjan... Wspólnota faktów, które układają się w jeden ciąg.

Czy są to relacje z pradawnych rzeczywistości?

XI. O perwersjach naszych przaprzodków

W zamierzchłej przeszłości musiały istnieć hybrydy, pół-ludzie, pół-zwierzęta. Starożytna literatura i sztuka nie pozostawiają co do tego żadnych wątpliwości. Wizerunki skrzydlatych byków z ludzkimi głowami, syren, ludzi-skorpionów, ludzi-ptaków, centaurów i wielogłowych monstrów każdy z nas ma żywo przed oczami. Stare księgi powiadają, że nawet w czasach historycznych istoty te żyły jeszcze w stadach, gromadach czy nawet dużych skupiskach plemiennych. W księgach tych czytamy o hodowanych mieszańcach, które dożywały swoich dni jako "zwierzęta świątynne" będąc najwyraźniej rozpieszczanymi pupilkami ludu. Władcy Sumeru a później także Asyryjczycy urządzali polowania na zwierzo-ludzi - prawdopodobnie dla czystej rozrywki. Tajemne teksty zawierają aluzje do "pół-ludzi" oraz "istot mieszanych", z tym że ich osobliwe istnienie nieustannie rozplywa się w niesprawdzalnych rejonach mitu.

Egipski kozioł snuje się jeszcze w opowieściach założonego w XII w. zakonu templariuszy. Przedstawia się go w postawie wyprostowanej, z ludzkimi włosami na głowie, koźlimi kopytami, koźlim zadem i potężnym phallusem. Herodot (490-425 przed Chr.) wspomina w swoich Historiach egipskich o dziwnych czarnych gołębiach, które były jakoby "człeko-zwierzęcymi samicami" (II,57). Mieszkający przy ujściu perskiej rzeki Araks ludzie mieli się - według Herodota - "łączyć z rybami" i być

pokryci łuską (1,202). W indyjskich Wedach jest mowa o matkach, które "chodzą na rękach". W eposie o Gilgameszu czytamy, iż niejakiego Enkidu trzeba było "obcym uczynić dla dzikich zwierząt". W czasie wesela Peirithoosa centaury, półzwierzęce istoty z ciałem konia i ludzkim tułowiem; dopuszczają się występków na kobietach Lapitów. Minotaurowi o głowie byka, trzeba było oddawać na "ofiarę" sześciu młodzianków i sześć dziewic. No i wreszcie żywe służebnice "wyprodukowane" przez Hefajstosa również chyba można rozpatrywać pod kątem rozrywki seksualnej. Nie mam też wątpliwości, że taniec wokół złotego cielca był punktem kulminacyjnym orgii seksualnej.

Platon pisze w swojej Uczcie:

"Bo naprzód trzy były płcie u ludzi, a nie, jak teraz, dwie: męska i żeńska. [...] postać człowieka [...] miała też cztery ręce i nogi [...]

Strasznie to były silne istoty i okropnie wolnomyślne, tak że się zaczęły zabierać do bogów [...] żeby bogów napastować." (Przeł.

Władysław Witwicki)

Kabirowie, na inskrypcjach tytułowani przeważnie "Wielkimi Bogami z Samotraki", uprawiali tajemniczy kult demonów płodności, który trwał od egipskiej starożytności poprzez epokę helleńską aż po okres rozkwitu kultury rzymskiej. Ponieważ ceremonie inicjacji Kabirów były tajne, po dziś dzień trudno ustalić dokładnie, jakie to jurne seksualne zabawy oni uprawiali. Pewne jest w każdym razie to, że w rozkoszach zawsze uczestniczyły dwie istoty męskie, dwie żeńskie oraz zwierzę: parzyli się ze sobą nie tylko mężczyźni i kobiety, również zwierzę miało

swój aktywny udział.

Być może należałoby w tym kontekście wymienić także egipskie byki Apisy, czyli "święte byki Memfis". Mumifikowano je ze względu na ich wielką płodność umieszczając w długich na trzy metry i wysokich na cztery metry sarkofagach. W roku 1965 byłem w kryjących je zatęchłych grobowcach głęboko pod piaskiem pustyni i zadawałem sobie pytanie: Ciekawe, co te płodne byki porabiały za życia?

Tacyt (Roczniki XV,37) opisuje wieczorną orgię w domu Tygellinusa, w czasie której "kopulowano przy współudziale ludzi-zwierząt". Od jak dawna oddawano się takim perwersjom w tajnych bractwach nie da się określić.

Dla Herodota cała sprawa musiała już być nieco niezręczna, ponieważ zbywa ją krótką wzmianką (Księga II, 46): "Kozioł sparzył się z kobietą publicznie."

Starożytni artyści przedstawiali bożka Pana z koźlimi nogami i kozią głową. Również to było dla Herodota krępujące (Księga II,46): "Niezręcznie mi mówić, dlaczego przedstawiają go w ten sposób."

W Talmudzie czytamy, iż Ewa obcowała cielesnie z wężem. Informacja ta zainspirowała wielu twórców. Na skorupach znalezionych w Nippur widzimy portret kobiety o dużych piersiach i ogonie węża postać bardzo nota bene przypominająca Syreny, które miały wzbudzać pożądanie młodzieńców.

Grzeszna strona naszej pradawnej przeszłości nie da się tak po prostu wymazać, nawet jeśli nie należy do najprzyjemniejszych. Pornografia

w każdej epoce stanowiła łakomy bodziec. Prehistoryczne przedstawienia ekscesów seksualnych na glinianych tabliczkach, skalnych ścianach i kościach zwierzęcych mówią same za siebie.

Na reliefach Czarnego Obelisku Salmanasara II w British Museum rozpoznać można osobliwe istoty, ni to ludzkie, ni to zwierzęce.

W Luwrze, w Muzeum Bagdadzkim i w wielu innych zbiorach znajdują się przedstawienia osobliwych krzyżówek ludzko-zwierzęcych. Na Malcie stoją wielkie kamienne figury odznaczające się osobliwą anatomią: mają kuliste uda i spiczaste stopy, zaś ich płci zupełnie nie da się zdefiniować. Na asyryjskich dziełach sztuki wizerunki pół-ludzi nie są rzadkością. "Teksty towarzyszące" informują o "pojmanyh ludziach-zwierzętach", których wojownicy zakuwają w kajdany, uprowadzają ze sobą i przekazują władcy jako łupy z Krainy Musri. Szczątki kostne ze starszej epoki kamiennej znalezione w Le Mas-d'Azil we Francji pochodzą z hybrydy, pół-człowieka, pół-małpy, której phallus musiał być atrybutem szczególnie imponującym.

Wedle dzisiejszej wiedzy biologicznej krzyżówka człowieka ze zwierzęciem nie jest możliwa, ponieważ nie zgadza się liczba chromosomów ewentualnych partnerów. W rezultacie nie mogłoby dojść do powstania zdolnej do życia istoty. Ale czy wiemy dzisiaj, według jakiego kodu genetycznego projektowano skład chromosomów starożytnych mieszańców?

Zwierzęco-ludzki kult seksualny, który z wielkim zaangażowaniem i lubością uprawiano w starożytności, wydaje mi się być celebrowany

wbrew tej wiedzy. Ale czy ta wiedza o prokreacji w obrębie jednego i tego samego gatunku nie mogła pochodzić tylko i wyłącznie od obcych istot rozumnych?

Czyżby po odlocie "bogów" mieszkańcy Ziemi popadli w stare, złe przyzwyczajenia?

I czy ten powrót do starych przyzwyczajzeń stał się grzechem pierworodnym?

Może dlatego obawiali się dnia, w którym "bogowie" powrócą?

Widocznie elementem hamującym rozwój w tamtych czasach były krzyżówki ze zwierzętami. Jeśli spojrzeć pod tym kątem, to "grzech pierworodny" okaże się niczym innym, jak tylko uwstecznieniem gatunku ludzkiego przez domieszanie krwi zwierzęcej. Idea "grzechu pierworodnego" staje się czymś logicznym tylko przez to, z każdym płodem przekazuje się coś pierwotnie zwierzęcego: zwierzęcy pierwiastek w człowieku.

No bo jakież jeszcze inny grzech można przekazywać z pokolenia na pokolenie?

Sumerowie mieli na określenie Wszechświata jedno pojęcie: an-ki, co znaczy mniej więcej "niebo i ziemia". Ich mity mówią o "bogach" którzy jeździli po niebie barkami i ognistymi statkami, zstąpili na ziemię z gwiazd, zapłodnili ich przodków i powrócili do gwiazd. Sumeryjski panteon "ożywiało" zbiorowisko istot o w miarę ludzkich kształtach, ale za to o nadludzkich możliwościach i właściwie nieśmiertelnych.

Tylko że sumeryjskie teksty nie mówią o tych "bogach" w jakiś mglisty

i niedookreślony sposób, lecz stwierdzają jasno i wyraźnie, iż lud widział ich na własne oczy. Mędrcy Sumeru twierdzili z całym przekonaniem, iż znają "bogów", którzy dokonali na ziemi swego dzieła. Z tekstów tych można wyczytać, jak to się wszystko stało: "bogowie" nauczyli Sumerów pisma, dali im wskazówki, jak robić metal (tłumaczenie sumeryjskiego słowa oznaczającego metal brzmi właściwie "metal niebiański") i nauczyli uprawy zbóż. Dla naszych rozważań istotną jest informacja, iż według sumeryjskich zapisków pierwsi ludzie powstać mieli ze skrzyżowania "bogów" z "dziećmi Ziemi"...

Według przekazów sumeryjskich z Kosmosu przybyli co najmniej bóg Słońca Utu i bogini Wenus Inana. Sumeryjskie słowo na oznaczenie żebra ("ti") znaczy zarazem "stwarzać życie". Imię sumeryjskiej bogini "stwarzającej życie" brzmi Ninti. W przekazach znajdujemy informację, że bóg przestworzy Enlil "zapłodnił" wielu ludzi. Jedna z pokrytych pismem klinowym tabliczek mówi, że Enlil wlał swe nasienie do łona Meslamtaei: "Nasienie twego pana, prześwietne nasienie, jest w mym łonie, nasienie Sina, o boskie imię, jest w mym łonie".

Kiedy ludzie nie byli jeszcze stworzeni i w mieście Nippur mieszkali tylko bogowie, Enlil zgwałcił zachwycającą Ninlil zapładniając ją na rozkaz z góry. Piękne dziecko Ziemi, Ninlil, wzbraniała się początkowo przed zapłodnieniem właśnie przez "boga". Oto co powiada tabliczka z Nippur na temat lęku Ninlil przed aktem gwałtu:

"Moja vagina jest zbyt mała, nie zda się do obcowania. Moje wargi są zbyt małe, nie zdadzą się do całowania."

Boski Enlil puścił mimo uszu trwożne słowa Ninlil. "Bogowie zdecydowali, że trzeba wyplenić na Ziemi ohydny pomiot nieczystego życia, toteż Enlil wypuścił swoje nasienie do łona Ninlil. Na jednej z przełożonych przez sumerologa S.N. Kramera tabliczek czytamy: "[...] Aby wyplenić nasienie ludzkości, Rada Bogów zdecydowała. Na rozkazujące słowa Anu i Enlila [...] zakończy się ich władanie na ziemi...

Chodziło więc jasno i wyraźnie o to, aby wyeliminować osobniki nieczyste! Na innej tabliczce czytamy: "W owych dniach, w komorze stworzenia u bogów, w ich domu duku uformowano Lahara i Aszmana [...] W owych dniach powiada Enki do Enlila:

'Ojcie Enlilu, Lahar i Aszman, ci, którzy zostali stworzeni w duku, pozwólmy im wyniść z duku!'

Czy "komora stworzenia" bogów i duku to jedno i to samo? Czy duku, z którego mieli "wyniść" Lahar i Aszman to kosmiczny statek "bogów"? Przy tak obrazowym przedstawieniu takie przypuszczenie samo się narzuca!

W roku 1889 uczeni uniwersytetu w Pensylwanii przywieźli z jednej z wypraw badawczych najstarszy bodaj na świecie sporządzony w jednolitej skali plan miasta, na którym przedstawiono Enlil-ki, czyli Nippur. W tym mieście boga przestworzy Enlila była "brama seksualnie nieczystych"! Moim zdaniem brama ta, to środek profilaktyczny podjęty przez "bogów" po wykonanej pracy. Stworzywszy

nowe pokolenie chcieli zapobiec wtórnemu popadnięciu w sodomie izolując "nowych ludzi" od wciąż zanieczyszczonego środowiska.

Tabliczki wspominają nawet pobieżnie o metodzie zapładniania stosowanej przez "bogów", mianowicie "wszczepianiu" boskiego nasienia.

Księgi Mojżeszowe, które dostarczyły mi takiego bogactwa materiału pogładowego na sprawę sposobów poruszania się galaktycznych super-istot z pradawnych czasów, są też prawdziwą kopalnią argumentów na potwierdzenie moich tez - wystarczy spojrzeć na nie śmiało i z wyobraźnią okiem człowieka ery kosmicznej. Pozwólmy zatem, by zstąpili do nas "bogowie" Pięcioksięgu. Może zresztą wiedzą coś nowego i zaskakującego na temat uprawiających sodomie praistot...

W Drugiej Księdze Mojżeszowej, rozdział 19, wersety 16-19, czytamy:

"Trzeciego dnia, z nastaniem poranku, pojawiły się grzmoty i błyskawice, i gęsty obłok nad górą, i doniosły głos trąby, tak że zadrżał cały lud, który był w obozie.

Mojżesz wyprowadził z obozu lud naprzeciw Boga, a oni ustawili się u stóp góry.

A góra Synaj cała dymiła, gdyż Pan zstąpił na nią w ogniu. Jej dym unosił się jak dym z pieca, a cała góra trzęsła się bardzo.

A głos trąby wzmagał się coraz bardziej."

Druga Księga Mojżeszowa, rozdział 20, werset 18:

"A gdy wszystek lud zauważył grzmoty i błyskawice, i głos trąby, i górę dymiącą, zląkł się lud i zadrżał, i stanął z daleka."

Któż dziś jeszcze wierzy, iż wielki, nieskończenie potężny Bóg porusza się z wykorzystaniem pojazdu, który dymi, ciska błyskawice, powoduje drżenie ziemi i w dodatku wytwarza piekielny hałas - zupełnie jak odrzutowiec przebijający barierę dźwięku? Bóg jest wszechobecny. Jak wobec tego może doglądać swoich "dzieci" pojawiając się z towarzyszeniem tak spektakularnych efektów? I po co napędza swoim "dzieciom" takiego stracha, że aż od niego uciekają? Wielki Bóg! W każdym razie Mojżesz nakazał ludowi trzymać się przy lądowaniu boskiego pojazdu z daleka od góry.

W Drugiej Księdze Mojżeszowej, w rozdziale 19, wersety 23-24, tak się o tym pisze:

"[...] Lud nie może wejść na górę Synaj, gdyż Ty przestrzegłeś nas, mówiąc: Zakreśl granicę dokoła góry i miej ją za świętą.

A Pan rzekł do niego: Idź, zstąp, a potem wstąpisz ty z Aaronem, kapłani zaś i lud niech nie napierają, by wstąpić do Pana, boby ich pobił."

Jeden z Psalmów Dawidowych przekazuje szczególnie dramatyczny opis pojawienia się Boga (Ps. 29, 7-9):

"Głos Pana krzesze płomienie ogniste.

Głos Pana wstrząsa pustynią,

Pan wstrząsa pustynią Kadesz.

Głos Pana wykorzenia dęby

I obnaża lasy [...]"

Niezwykłe poetycki opis lądowania statku kosmicznego zawiera

Psalm 104, wersety 3 i 4:

"[...] Czynisz obłoki rydwanem swoim,

Suniesz na skrzydłach wiatru.

Czynisz wiatry posłańcami swymi,

Ogień płonący sługami swymi."

Prorok Micheasz jednak przebija ten obraz dramatyzmem (Mich. 1,

3-4):

"[...] Pan [...] zstępuje i kroczy po wzniesieniach ziemi.

I rozpływają się pod nim góry,

jak wosk od ognia, [...]"

Wyobraźnia potrzebuje punktu zaczepienia. Jakie jednak były

punkty zaczepienia autorów Starego Testamentu? Czy opisują coś,

czego nigdy nie widzieli? Nazbyt często zapewniamy nas, że wszystko

było dokładnie tak, jak to opisali. I ja wierzę im na słowo: wszystko,

co nam przekazują, to relacje naocznych świadków lub to, co oni

sami widzieli. Nie ma fantazji, która mogła w tamtych czasach

podsunąć wyobrażenie pojazdu, który bucha ogniem, sprawia że

drży pustynia, że rozpływają się pod nim góry... Dopiero my, dzieci

XX wieku, którzy czytaliśmy relacje z Hiroszimy, możemy się

domyślić, co oznacza tak naprawdę ukazanie się Boga w opisach

Starego Testamentu.

Przekonajmy się też, co mówi Stary Testament o sztucznym zapłodnieniu. "Bóg" (lub "bogowie") wylądowali na Ziemi swoim kosmicznym pojazdem. Rozpoczęli swoje najważniejsze zadanie: zapładnianie mieszkańców Ziemi swoim nasieniem. Wszyscy wybrani do tego eksperymentu zostali odseparowani ze zwierzęcego świata mieszańców i otrzymali polecenie "wyruszenia na pustynię". Tam odbyła się kwarantanna. "Bogowie" chronili swoje twory przed wrogami, dawali im manę i ambrozię, aby nie pomarły z głodu. Musiały wytrzymać na pustyni przez całe jedno pokolenie. Druga Księga Mojżeszowa 19,4 tak to uzasadnia:

"Wy widzieliście, co uczyniłem Egipcjanom, jak nosiłem was na skrzydłach orlich (sic!) i przywiodłem was do siebie."

Jeśli to prawda, że "bogowie" znali tajemnice kodu genetycznego, to rozjaśniają się mroki spowijające wiele tekstów biblijnych, jak na przykład tego fragmentu Pierwszej Księgi Mojżeszowej (1, 26-27):

"[...] Uczyńmy człowieka na obraz nasz, podobnego do nas [...]"

I stworzył Bóg człowieka na obraz swój. Na obraz Boga stworzył go."

Dopiero później - jak już wspomniano - z człowieka uczyniono kobietę, o czym mówi Pierwsza Księga Mojżeszowa (2, 22):

"A z żebra, które wyjął z człowieka, ukształtował Pan Bóg kobietę [...]"

Noe, ten który przeżył potop i został praojcem nowych ludzkich plemion, został przeniesiony przez "bogów" na łono Enosza. Żona Abrahama, Sara, która ze względu na swój zaawansowany wiek nie mogła już rodzić, została nawiedzona przez "boga" i wydała na świat wspaniałego syna Izaaka. Koronny świadek, Mojżesz, opowiada o tym w Pierwszej Księdze, rozdział 21, wersety 1 i 2:

"I nawiedził Pan Sarę, jak obiecał: uczynił Pan Sarze, jak zapowiedział.

I poczęła Sara, i urodziła Abrahamowi syna w starości jego [...]"

Prorokowi Jeremiaszowi (Jer. 1,5) "Pan" oznajmił:

"Wybrałem cię sobie, zanim cię
utworzyłem w łonie matki,
zanim się urodziłeś, [...]"

W kontekście programowania zgodnie z kodem genetycznym takie "wybranie przed urodzeniem" jest całkowicie jednoznaczne. W ogóle wiele starotestamentowych relacji zdaje się wskazywać na boskie zapłodnienia. Zgodnie z tymi tekstami "bogowie" spłodzili ród, który miał wypełnić powierzone mu ziemskie zadania. Mojżesz tak powiada o tych przyszłych zadaniach (I Mojż. 15, 5):

"[...] Spójrz ku niebu i policz gwiazdy, jeśli możesz je policzyć! [...]"

Tak liczne będzie potomstwo twoje."

Potomkowie ci jednak - jak czytamy w wersecie piątym 15 rozdziału Trzeciej Księgi Mojżeszowej - powinni trzymać się swojego gatunku, gdyż:

"[...] Ja, Pan, jestem Bogiem waszym, który was oddzieliłem od ludów."

"Bogowie" mieli jednak stałe utrapienie ze swoimi tworam, ponieważ nie umiały się one powstrzymać od obcowania ze zwierzętami. I tak w Trzeciej Księdze Mojżeszowej, rozdział 18, werset 23 i następne, zawarte są ostrzeżenia i kary przewidywane dla recydywistów:

"Nie będziesz obcował z żadnym zwierzęciem, bo przez to stałbyś się nieczysty. Także kobieta nie będzie się kładła pod zwierzę, aby się z nim parzyć. Jest to ohyda.

Nie kalajcie się tym wszystkim, gdyż tym wszystkim kalają się narody, które Ja przed wami wypędzam.

Także i ziemia została skalana, przeto ukarałem ją za jej winę i wyrzuciła ziemia swoich mieszkańców.

Przestrzegajcie zatem ustaw moich i praw moich [...]"

Kary za grzech pierworodny były twarde, i musiały takie być, ponieważ obcowanie ze zwierzętami było widocznie na porządku dziennym. Oto rejestr kar zaczerpnięty z Trzeciej Księgi Mojżeszowej, rozdział 20, werset 15 i 16:

"Mężczyzna, który obcuje cielesnie ze zwierzęciem, poniesie śmierć; zwierzę także zabijcie.

Kobietę, która zbliży się do jakiegoś zwierzęcia, aby się z nim parzyć, zabijesz, zarówno kobietę jak i zwierzę to także; oboje poniosą śmierć [...]"

Dopiero "naród wybrany" miał być wolny od tych zdrożnych chuci

- po czterdziestoletniej kwarantannie na pustyni. Po upływie tego czasu nowe pokolenie będzie czuło obrzydzenie przed krzyżowaniem się ze zwierzętami. Tak więc "bogowie" prowadzą twardą, ale uwieńczoną sukcesem walkę przeciwko zwierzo-ludziom w celu uzyskania wyższej, zaprogramowanej przez nich genetycznie rasy ludzi. Dlatego też pozwolili wrócić do "ziemi obiecanej" tylko młodemu pokoleniu. Oto co mówi na ten temat IV Mojż. 14, 29-30:

"Na tej pustyni legną wasze trupy [...] od dwudziestego roku życia wzyż, wy, którzy szemraliście przeciwko mnie.

Nie wejdziecie do ziemi [...]"

Ale również w życiu w "ziemi obiecanej" obowiązywały te same surowe prawa (Joz. 23, 7 - 13):

"Abyście się nie pomieszali z tymi narodami, które jeszcze pozostały u was [...]"

Pilnujcie się usilnie ze względu na wasze życie [...]"

Bo jeśli się odwrócicie i przyłgniecie do resztki tych narodów, które pozostały u was, i będziecie zawierać z nimi małżeństwa, i pomieszcacie się wy z nimi, a oni z wami [...]"

[...] one staną się dla was pułapką i sidłem, biczem na wasze boki i cierniem [...]"

Po przybyciu do "ziemi obiecanej" obyczaje nadal pozostają surowe.

Dopiero nowe prawa "bogów" kładą kres sodomii.

"Bogowie" pozostawili zmutowanej przez siebie grupie ludzi dokład-

ne zalecenia higieniczne, które przytacza III Mojż. 13, 2-4:

"Jeżeli u jakiegoś człowieka pojawi się na skórze jego ciała obrzęk albo wysypka, albo plama i rozwinie się to na skórze jego ciała tak, że wygląda to na trąd, to zaprowadzą tego człowieka do kapłana Aarona lub do jednego z jego synów, kapłanów.

A gdy kapłan obejrzy to chore miejsce na skórze ciała i zauważy, że włosy na tym chorym miejscu zbiałały i to chore miejsce wygląda jak wgłębienie na skórze ciała, to jest to plaga trądu. [...]

A jeżeli to jest biała plama na jego skórze, lecz nie wygląda na wgłębienie w skórze i włos na niej nie zbiałał, to kapłan odosobni tego chorego na siedem dni."

"Bogowie", czyli obce istoty rozumne, nauczyli nowych ludzi diagnozowania chorób oraz - jak w przytoczonym przypadku - umieszczania chorych w "izolatkach".

Ludzie otrzymują też nowoczesne wskazówki co do pełnej i starannej dezynfekcji. Szczegóły znajdujemy w Trzeciej Księdze Mojżeszowej, w rozdziale 15, wersety 4-12:

"Każde łożo, na którym będzie leżał mający wyciek, będzie nieczyste i każdy sprzęt, na którym usiądzie, będzie nieczysty.

A każdy, kto się dotknie jego łoża, wypierze swoje szaty i obmyje się wodą [...]

A kto siądzie na sprzęcie, na którym siedział mający wyciek, wypierze swoje szaty i obmyje się wodą [...]

A kto się dotknie ciała tego, który ma wyciek, wypierze swoje szaty

i obmyje się wodą [...]

A jeżeli splunie ten, który ma wyciek na czystego, to ten wypierze swoje szaty i obmyje się wodą [...]

Każde siodło, na którym siedział mający wyciek, będzie nieczyste.

Każdy, kto się dotknie czegokolwiek, co było pod nim, będzie nieczysty [...]

Naczynie zaś gliniane, którego się dotknie mający wyciek, zostanie stłuczone [...]"

Wszystko to są jak najbardziej nowoczesne zalecenia higieniczne. Kto jednak mógł dysponować taką wiedzą w starożytności? Kiedy czytam to przez swoje okulary - rocznik 1969 - rzeczy mają się dla mnie następująco:

"Bogowie" przybyli z Kosmosu.

"Bogowie" wyselekcjonowali grupę istot żywych i zapłodnili je.

"Bogowie" przekazali noszącej w sobie ich materiał genetyczny grupie prawa i zalecenia umożliwiające rozwój cywilizacyjny.

"Bogowie" niszczyli uwsteczniające się istoty.

"Bogowie" przekazali grupie wybrańców istotną wiedzę higieniczną, medyczną i techniczną.

"Bogowie" zapoznali ludzi z pismem oraz metodami uprawy zbóż.

Zestawiając tę wersję wydarzeń świadomie pomiąłem chronologię.

Starotestamentowe teksty są kolejnymi stopniami budowania religii

i nie odzwierciedlają zaświadczonych historycznie etapów rozwoju.

Porównania z piśmiennictwem innych równie dawnych (a nawet jeszcze dawniejszych) ludów pozwalają wnioskować, że opisane w Pięcioksięgu oraz księgach proroków wydarzenia nie mogły rozgrywać się w okresie, w którym sytuują je religioznawcy. Stary Testament jest gigantycznym zbiorem praw i praktycznych zaleceń cywilizacyjnych, mitów i okruchów prawdziwej historii. Zbiór ten zawiera mnóstwo nie rozwiązanych zagadek. Już od stuleci wierzący czytelnicy trudzą się solidnie nad znalezieniem ich rozwiązania. Ale zbyt wiele jest faktów, których nie sposób połączyć z obrazem wszechmocnego, dobrego i wszechwiedzącego Boga.

W centrum tych usiłowań stoi kwestia: Jak to możliwe, żeby wszechwiedzący Bóg się mylił? Czy naprawdę wszechmocny jest Bóg, który po stworzeniu człowieka najpierw stwierdza, że jego dzieło jest dobre, a niewiele później zaczyna żałować, że go dokonał?

Oto, co mówi na ten temat I Mojż. 1, 31:

"I spojrział Bóg na wszystko, co uczynił, a było to bardzo dobre."

Natomiast już w I Mojż. 6, 6 czytamy:

"Żałował Pan, że uczynił człowieka na ziemi i bolał nad tym w sercu swoim."

Ten sam Bóg, który stworzył człowieka, postanowił zniszczyć swoje dzieło. W dodatku nie zdarza mu się to raz - czynił tak wielokrotnie.

Dlaczego?

Pełna sprzeczności wydaje mi się też idea "grzechu pierworodnego".

Czyżby Bóg, który stworzył człowieka, mógł nie wiedzieć, że jego twory będą grzeszne? Skoro tego nie wiedział, czyż można go nazywać wszechwiedzącym?

Za grzech pierworodny Bóg karze nie tylko Adama i Ewę, ale także - niby rzeszę współników - całe ich niewinne potomstwo. A przecież ich wnukowie ani nie mieli w grzechu pierworodnym swego udziału, ani nawet o nim nie wiedzieli. Bóg żądający w gniewie, by przebłagać go ofiarą krwi niewinnego? Wątpię, czy nieskończenie dobry Bóg może odczuwać chęć zemsty. Nie rozumiem też, dlaczego wszechmocny Bóg pozwala stracić w okrutny sposób swego niewinnego syna, aby dopiero potem odpuścić grzechy całemu światu.

Jestem jak najdalszy od tego, by poprzez tego rodzaju pytania i wątpliwości w dosłownym sensie "podawać w wątpliwość" wielkie religie. Wskazuję na te sprzeczności jedynie dlatego, iż uważam, że wielki Bóg Wszechświata nie ma nic, ale to nic wspólnego z "bogami", którzy snują się po legendach, mitach i religiach, i którzy dokonali mutacji zwierzęcia w człowieka.

Przy okazji tego bogactwa "literackich" dowodów przychodzi mi do głowy zdanie Michała Montaigne'a (1533-1592), którym zakończył on swoje wystąpienie w kręgu uczonych filozofów:

"Panowie, ja tylko zebrałem bukiet kwiatów, dodając jedynie wstążkę, którą są przewiązane."

Ponieważ staram się dotrzeć do samego sedna każdej sprawy,

wciąż słyszę przejęte głosy, że przecież nie wolno brać źródeł tak dosłownie. Cóż, naszym przodkom przez 2000 lat nakazywano traktować Biblię jak najbardziej dosłownie. Gdyby tylko zaczęli mieć wątpliwości, nie wyszłoby im to na zdrowie. Dziś wolno już rozmawiać o problemach i niejasnościach, dlatego pozwolę sobie postawić następujące pytania.

Dlaczego "Bóg" i "aniołowie" ukazywali się zawsze z towarzyszeniem takich zjawisk, jak ogień, dym, drzenie, huk, wiatr? Proponuje się różne śmiałe i pełne fantazji interpretacje, które w toku dwóch tysięcy lat dialektycznego treningu można było uznać za "niezbite dowody".

Dlaczego jednak brakuje odwagi, by to, co tak tajemnicze, potraktować jako rzeczywistość?

Szwajcarski profesor Othmar Keel uważał, iż zjawiska towarzyszące pojawianiu się Boga rozumieć należy jako ideogramy. Przeciwnego zdania jest profesor Lindborg, który te same zjawiska tłumaczy jako przeżycia halucynacyjne. Znacznik Starego Testamentu, dr A. Guillaume, widzi w nich zjawiska przyrodnicze, podczas kiedy dr W. Beyerlein niemal we wszystkich tych zjawiskach widzi rytualne elementy kultu ceremonialnego Izraelitów.

Fachowe interpretacje? Ja widzę w nich same sprzeczności. Zmiany w sposobie myślenia młodej generacji są jednak pocieszające!

I tak n.p. dr Fritz Dumermuth napisał w czasopiśmie Wydziału Teologicznego uniwersytetu w Bazylei (nr 21/1965):

"[...] relacje, o których mowa, trudno po bliższej analizie uznać za

zjawiska natury meteorologicznej czy wulkanicznej [...] Jeśli egzegeza biblijna ma się posunąć naprzód, czas już spojrzeć na rzeczy pod nowym kątem."

Przypuszczam, iż obce istoty rozumne dokładały starań, by stworzyć nowego człowieka nie tylko z powodów altruistycznych. Choć nie potwierdziły tego jeszcze żadne badania, można przecież przyjąć, iż "bogowie" spodziewali się znaleźć na Ziemi "surowiec" i szukali tego, czego im było potrzeba. Czyżby chodziło o paliwo do ich statków kosmicznych?

Niektóre wzmianki pozwalają wnioskować, że "bogowie" inkasowali za swoją pomoc zapłatę! Druga Księga Mojżeszowa, rozdział 25, werset 2 wspomina o "darze ofiarnym", określeniu, które bardzo łatwo jest przeczytać bez uchwycenia istoty jego treści. Rutynowani tłumacze zapewniają mnie, że słowo użyte w oryginale może oznaczać przedmioty, które dają się podnieść lub też w coś wsunąć. Ponownie przytoczmy naszego koronnego świadka, Mojżesza (II Mojż. 25, 2-7): "Powiedz synom izraelskim, aby zebrali dla mnie dar ofiarny. Od każdego człowieka, którego pobudzi serce jego, zbierzcie dla mnie dar ofiarny.

A taki jest dar ofiarny, który od nich zbierzecie: Złoto, srebro i miedź,

Fioletową purpurę, czerwoną purpurę i karmazyn dwakroć farbowany, bisior i kozią sierść,

I skóry baranie czerwono farbowane, i skóry borsucze, i drzewo

akacyjne [...]

Kamienie onyksowe i drogie kamienie do oprawy naramiennika i napierśnika."

Aby wykluczyć jakąkolwiek pomyłkę, lista wymienia dokładnie wszystkie żądane dary. W Czwartej Księdze Mojżeszowej, rozdział 31, wersety 50-52 czytamy:

"Jako dar ofiarny dla Pana przynosimy każdy to, co znaleźliśmy ze złotych przedmiotów, czy bransoletę, czy naramiennik, czy pierścień, czy kolczyk, czy naszyjnik [...]

Mojżesz i Eleazar przyjęli to złoto od dowódców tysięcy i od setników szesnaście tysięcy siedemset pięćdziesiąt sykli."

Ale przecież Bóg nie będzie raczej żądał regularnej zapłaty od dzieci Ziemi, dla których zrobił dobry uczynek. Z tekstu Księgi Mojżeszowej wynika też, iż dar ten nie był przeznaczony powiedzmy dla kapłanów, ponieważ kapłani mieli tylko ów dar przyjąć i dostarczyć go w całości "bogom". Rezultat tej zbiórki na "bogów" został tak dokładnie wyliczony, iż byłoby to wprost niegodne prawdziwego Boga.

Czyżby "dar ofiarny" był ceną, jakiej "bogowie" zażądali za przekazany ludziom zasób wiedzy i inteligencji?

Stare źródła pozwalają przypuszczać, iż "bogowie" nie pozostawali na Ziemi przez cały czas. Załatwiali swoje zaplanowane sprawy i znikali na dłuższe okresy. Zastanawiali się jednak, w jaki sposób chronić podczas swojej nieobecności to, co stworzyli. Ponieważ dysponowali nadzwyczajnymi umiejętnościami, przypuszczalnie pozostawiali na

straży jakieś urządzenia techniczne.

W okresie nieobecności "bogów" zdarzało się często, iż jakiś prorok, szukając rady i pomocy, wołał swego pana - tak jak czyni to Samuel w Pierwszej Księdze Samuela, w rozdziale 3, werset I:

"A pacholę Samuel służyło Panu przed Helim. Słowo Pańskie było w tych czasach rzadkością, a widzenia nie były rozpowszechnione."

Nowi ludzie nie zostali bez ochrony na łasce losu. Teksty mówią o "sługach bożych", pełniących straż na Ziemi, chroniących wybrańców i siedziby "bogów".

W eposie o Gilgameszu znajdujemy opis dramatycznej walki Enkidu i Gilgamesza z potworem Humbabą, który z powodzeniem sam jeden ochrania siedzibę bogów. Włócznie i maczugi Enkidu i Gilgamesza odbijały się od "błyszczącego potwora", ale za nim jakieś "wrota" przemawiały "grzmiącym głosem" ludzkiej istoty. Enkidu odkrył słaby punkt boskiego sługi i udało mu się go unieszkodliwić.

Humbaba nie był ani "bogiem", ani człowiekiem. Wynika to z glinianych tabliczek z tekstami eposu, które James Pritchard opublikował w roku 1950 w *Anrient Near Eustern Texts*. Tabliczki z pismem klinowym tak mówiły o Humbabie:

"[...] Aż ubijemy tego męża, jeśli jest mężem, tego boga, jeżeli jest bogiem: drogi raz obranej do kraju żywych już nie obrócę do miasta Uruku! [...] Nie znasz, przyjacielu mój, tego męża i dlatego ci przed nim niestraszno. Mnie on znany i przeto się lękam. Zęby ma Humbaba jako kły smoka, lwa oblicze [...]"

Czyż nie wygląda to na opis walki z robotem? Może Enkidu

przypadkiem wiedział, gdzie jest wyłącznik maszyny, i w ten sposób rozstrzygnął nierówną walkę na swoją korzyść?

Tłumaczenie innej tabliczki z pismem klinowym dokonane przez N.S.

Kramera również każe się domyślać w "sługach bożych" zaprogramowanych wcześniej automatów:

"[...] którzy jej towarzyszyli, towarzyszyli bogini Inana, były to istoty, które nie znają pożywienia, wody nie znają; nie jedzą sypanej im mąki, nie piją poświęconej wody [...]"

O takich to właśnie istotach, które "nie znają pożywienia, wody nie znają" informują sumeryjskie i asyryjskie gliniane tabliczki. Niekiedy potwory te określa się mianem "latających lwów", "zionących ogniem smoków" czy "wysyłających promienie jaj niebios".

Pozostawione przez "bogów" oddziały strażników spotykamy także w greckich mitach. Mit o Herkulesie opowiada o lwie nemejskim, który spadł z Księżyca i którego "nie mogła zranić żadna ludzka broń". Inny mit mówi o smoku Ladonie, którego oko nie znało snu i który walczył "ogniem i przerażającym sykiem". Zanim Medei i Jazonowi udało się zdobyć Złote Runo, musieli przechytrzyć smoka spowitego w "błyszczące łuski z żelaza" i tarzającego się w płomieniach.

Roboty spotykamy też w Biblii. Czymże innym mogły bowiem być anioły, które uratowały z Sodomy i Gomory Lota i jego rodzinę przed sprowadzeniem zagłady na te miasta? Cóż innego rozumieć przez

"ramię Pana", które ingerowało pomocnie w bitwy prowadzone przez wybranych? W Drugiej Księdze Mojżeszowej, w rozdziale 23, wersety 20-21 czytamy o aniele, który ma pomagać na polecenie "Boga":

"Oto ja posyłam anioła przed tobą, aby cię strzegł w drodze i zaprowadził cię na miejsce, które przygotowałem.

Miej się przed nim na baczności, słuchaj głosu jego i nie przeciwstawiaj mu się, bo nie przebaczy występków waszych, gdyż imię moje jest w nim."

Wydaje mi się aż nadto logiczne, iż robot "ma w sobie" imię czy ducha swojego konstruktora, aby nigdy nie mógł odejść od raz załadowanego programu.

Kiedy byłem jeszcze w szkole, cudowne wydało mi się przeżycie biblijnego Jakuba, które znajdujemy w Pierwszej Księdze Mojżeszowej, rozdział 28, werset 12, gdzie mowa jest o tym, że kiedy Jakub będąc w podróży położył się pewnego wieczora na spoczynek, ujrzał drabinę, której szczyt "sięgał nieba, po niej zaś wstępowali i zstępowali aniołowie Boży". Czyżby Jakub zaskoczył "sługi Boże" przy załadunku statku kosmicznego? Czy cudowne widzenie Jakuba miałoby się okazać relacją naocznego świadka?

Żeby wypróbować moje pozornie jakże śmiałe twierdzenia, wystarczy wszędzie tam, gdzie w starożytnych tekstach występują smoki, postawić pospolite dziś dla nas słowo "robot" - aż dziw bierze, jak jasne stają się nagle wszystkie niejasności!

Spodziewam się, że przedstawione przeze mnie tezy będą zacię-
cie atakowane. Ludzie mieliby otrzymać pierwsze wskazówki co
do cywilizowanej koegzystencji od obcych istot rozumnych? Po
wykonaniu zadania obce istoty miałyby odlecieć z powrotem w Kos-
mos, zostawiając jednak strażników, którzy mieli uważać na no-
wych ludzi? I w dodatku strażnicy ci mieliby być robotami, auto-
matami?

Za zasłoną mitów, legend i starożytnych przekazów staram się
dostrzec pradawną rzeczywistość. Stwierdzam co następuje:

Tybetańczycy i Hindusi uczynili Wszechświat "matką" ziemskiej
rasy.

Tubylcy z Malekula (Nowe Hebrydy) utrzymują, że pierwsza pod-
stawowa rasa ludzka składała się z potomków "synów nieba".

Indianie powiadają, że są potomkami "grzmiących ptaków".

Inkowie twierdzą, że pochodzą od "Synów Słońca".

Majowie mają być "Dziećmi Plejad".

Germanie utrzymują, że ich przodkowie przybyli wraz z "latającymi
Vanami".

Hindusi uważają, że pochodzą od Indry, Gurki lub Bihmy - wszyscy
trzej poruszali się "ognistymi statkami" po niebie.

Henoch i Eliasza po spłodzeniu potomstwa znikają na zawsze w "og-
nistym wozie".

Wyspiarze z Oceanii twierdzą, że pochodzą od boga Tangalao, który
przybył na ziemię z nieba w groźnie błyszczącym jaju.

Wszystkie te legendy o pochodzeniu człowieka mają jedno wspólne jądro: przybyli "bogowie", wybrali grupę istot ziemskich, które zapłodnili i oddzielili od nieczystych. Wyposażyli ją potem w nowoczesną wiedzę, aby następnie zniknąć na jakiś czas lub na zawsze.

Po tak oszałamiających nowych przemyśleniach otrzymujemy coś, co jakże trafnie ujął F. Kohlenberg, w swojej książce Volkerkunde (Etnologia):

"[...] zagadka bogów, zagadka pochodzenia człowieka, chaos świadectw, których rzeczywistego sensu nasza ograniczona wiedza nie jest w stanie pojąć."

Jeśli idzie o "zagadkę bogów", pozwolę sobie jeszcze wspomnieć o jednym. Otóż w swojej pierwszej książce napomknąłem o teorii względności, podstawowych równaniach matematycznych z tej dziedziny oraz przesunięciach czasowych w trakcie lotów międzygwiazdnych. Widzieliśmy, że dla załogi statku kosmicznego poruszającego się z prędkością bliską prędkości światła, czas upływa znacznie wolniej niż dla ludzi pozostałych na macierzystej planecie. Czy może to być tylko przypadek, że najstarsze teksty zupełnie niezależnie od siebie podkreślają, iż dla "bogów" czas liczył się zupełnie inaczej niż dla nas?

Dla indyjskiego boga Wisznu okres życia człowieka to tylko "mgnienie oka". Każdy z legendarnych cesarzy chińskiej prehistorii był "panem niebios", latał po niebie na "zionącym ogniem smoku" i żył 18 tysięcy ziemskich lat. Pan Ku, pierwszy Pan Niebios, krążył po Kosmosie już przed dwoma milionami lat i nawet nasz poczciwy Stary

Testament zapewnia, iż w ręku Boga wszystko będzie "[...] aż do czasu i dwóch czasów i pół czasu" (Daniel 7,25) lub też, jak brzmią wspaniałe słowa z Księgi Psalmów (90,4):

"Albowiem tysiąc lat w oczach twoich
Jest jak dzień wczorajszy, który przeminął,
I jak straż nocna."

XII. Pytania, pytania, pytania...

Czy przez ostatnie tysiąclecia opacznie rozumiano znaki zawarte w starożytnych przekazach?

Czy nasze próby interpretacji zmierzały w fałszywym kierunku?

Czy to, co od dawien dawna mamy przed oczami, komplikujemy bardziej, niż można?

Czy doszło do przeinterpretowania suchych instrukcji natury praktyczno-technicznej w misteria religijno-filozoficzne?

Czy nie jest tak, że przekazy zawarte w mitach i religiach są znacznie mniej tajemnicze, a za to o wiele praktyczniej pomyślane, niż sądzono przez całe tysiąclecia?

Czy skromne relikty prehistorii ludzkości zdążą jeszcze udzielić nam

informacji, zanim dojdzie do ostatecznego zniszczenia, rozpuszczenia, i rozjechania buldożerami tych mizernych resztek historycznego materiału?

Kiedy wreszcie archeolodzy zajmą się na serio pogańskim sanktuarium w Lesie Teutoburskim?

Kiedy wreszcie jakaś ekspedycja badawcza będzie mogła bez obciążeń i bez strachu prowadzić wykopaliska na owianych tajemnicą stanowiskach w pobliżu Maribu?

Kiedy wreszcie podejmie się za pomocą nowoczesnego sprzętu podwodne badania promieniowania w Morzu Martwym?

Kiedy wreszcie archeolodzy wpadną na pomysł, na który powinni wpaść już dawno, mianowicie aby wysondować teren pod innymi piramidami, tak jak zrobiono w przypadku piramidy Chefrena?

Kiedy wreszcie koparki zdejmą w Tiahuanaco pierwszą warstwę gleby, abyśmy się dowiedzieli, jakie jeszcze tajemnice kryje tam ziemia?

Jak długo jeszcze gnani ciekawością indywidualiści mają kopać na Saharze bez jakiegokolwiek wsparcia? Kiedy wreszcie przynajmniej na jakiś czas udostępni się im śmigłowce?

Kiedy wreszcie przeprowadzi się na płaskowyżu Nazca chemiczną analizę śladów?

Jak długo jeszcze samotni idealiści mają "uwalniać" kamienne ruiny w sercu honduraskiej i gwatemalskiej dżungli?

Kiedy wreszcie przeprowadzi się głębokościowe wykopaliska w Zimbabwie?

Jaka organizacja światowa wykaże gotowość sfinansowania instytutu kartograficznego, który wreszcie wyjaśni osobliwe geograficzne i geometryczne współzależności zachodzące pomiędzy resztkami zagadkowych pradawnych cywilizacji na różnych kontynentach?

Czy któraś z międzynarodowych organizacji, powiedzmy takie UNESCO, zdobędzie się na decyzję skatalogowania rysunków naskalnych i jaskiniowych ze wszystkich stron świata?

Czy nie jest tak, że klucze do "nieba" leżą ukryte w wielu miejscach na Ziemi?

Czy przez całe tysiąclecia mieliśmy bielmo na oczach?

Czy nadal je mamy?

Rzeczywiście, starożytni bogowie co chwila powtarzali nam, że jesteśmy "ślepi i głusi", ale pewnego dnia poznamy "prawdę". Od niepamiętnych czasów wszystkie religie obiecują, że znajdziemy "bogów", gdy tylko zaczniemy ich szukać. Gdybyśmy ich jednak znaleźli, to weszlibyśmy do nieba, a na ziemi zapanowałby pokój.

Dlaczego nie chcemy potraktować tych obietnic dosłownie?

Może jest pomyłką interpretowanie pojęcia "niebo" jako nierzeczywistego stanu szczęśliwości? Może przez pojęcie to należy rozumieć zwyczajnie i po prostu "Kosmos"?

Czy "bogów" i pozostawionych przez nich posłannictw nie powinniśmy całkiem realnie szukać na Ziemi, zamiast oczekiwać ich gdzieś w bliżej nieokreślonej wieczności?

A może ci przez całe wieki wyczekiwani "bogowie", do których

wznosimy modły, zostawili nam wskazówki techniczne, które pozwolą nam spotkać się z nimi w Kosmosie?

Od zarania dziejów ludzkości bezustannie prowadzono i nadal prowadzi się gdzieś wojny. Czy "bogowie" datęgo obiecywali pokój na ziemi, ponieważ wiedzieli, że mieszkańcy Ziemi pod wrażeniem, jakie wywołuje skierowane na naszą planetę spojrzenie z głębin Kosmosu, uznają wszystkie ziemskie spory za nieistotne bzdury? Czy "bogowie" oczekują, mają nadzieję, że gdy tylko istoty ziemskie odkryją Kosmos, utracą wpajaną im przez wieki świadomość narodową i uznają nieskończony Wszechświat za kolebkę wszelkiego życia?

Z perspektywy Kosmosu wszyscy ludzie stają się jedynie mieszkańcami "trzeciej planety" niewielkiego Słońca na skraju Galaktyki - nie są już Rosjanami, Chińczykami, Amerykanami czy Europejczykami, białymi czy czarnymi.

Czy ludzkość mogłaby spełnić swoje odwieczne marzenie, by "pójść do nieba" na mocy dotrzymania obietnicy przez "bogów"? O tym, że "bogowie" przyobiecali ludziom możliwość powrotu do gwiazd, czytamy już w Pierwszej Księdze Mojżeszowej, rozdział 11, werset 6:

"[...] a to dopiero początek ich dzieła. Teraz już dla nich nic nie będzie niemożliwe, cokolwiek zamierzą uczynić."

A kiedy pewnego dnia nawiążemy pierwszy kontakt z istotami rozumnymi z innej planety, wówczas porozumiewać się będziemy już tylko jednym językiem, jak za czasów wieży Babel. Tych 2976 języków, którymi mówi się dziś na Ziemi, zachowa się wówczas co najwyżej jako

dialekty poszczególnych wspólnot. Naukowcy ze wszystkich krajów i planet będą wymieniać między sobą informacje o osiągnięciach w jednym i tym samym języku.

Jednocześnie jednak zawali się hołubiony przez nas swojski obraz świata, a młode pokolenie epoki lotów kosmicznych wykorzeni ze swojej świadomości ostatnie całkowicie już pozbawione sensu nacjonalistyczne uczucia.

Już choćby dlatego, jak sądzę, należałoby zanalizować z najwyższą naukową starannością uchodzące dziś jeszcze za utopijne interpretacje starożytnych przekazów i kamiennych świadectw przeszłości. Kiedy już poznamy wszystkie pozostawione nam przez "bogów" wieści, spotkanie oko w oko z astronautami z obcych planet utraci swój przerażający walor, ponieważ będziemy wówczas wiedzieli, że istoty te mają z nami coś wspólnego: mianowicie one również przeżyły kiedyś dzień swego stworzenia...